

margaret mazzantini

nikt nie ocali się sam



margaret mazzantini

nikt nie ocali się sam

Z języka włoskiego przełożyła
Alina Pawłowska-Zampino



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału:

Nessuno si salva da solo

Copyright © 2011 by Margaret Mazzantini

First Italian edition by Arnoldo Mondadori Editore S.p.A., Milano

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: © Susanna Mannelin

Wykonanie okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Jolanta Olejniczak-Kulan

Korekta: Barbara Meisner, Anna Just, Magdalena Światała

ISBN: 978-83-7999-621-6

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: info@soniadraga.pl

www.soniadraga.pl

www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

The logo for 'virtualo' is displayed in a bold, lowercase, sans-serif font. The letters 'v', 'i', 'r', 't', 'u', 'a', 'l', 'o' are all in a dark blue color. The 'i' and 'l' have a slight shadow or gradient effect, giving the logo a three-dimensional appearance.

konwersja.virtualo.pl

Sergiowi

Prawym i gniewnym

One love
One blood
One life
U2

– Napijesz się wina?

Reaguje nieznacznym ruchem głowy zdradzającym irytację, jakby tym pytaniem odciągnął jej myśli od czegoś drogiego sercu, co naturalnie nie może mieć z nim nic wspólnego.

Posadzili ich w samym środku zatłoczonego restauracyjnego ogródka, przy stoliku nakrytym serwetami z papieru pakowego. Delia nie zdjęła nawet jeszcze torebki z ramienia.

Spogląda na parę starszych ludzi, od których dzieli ich kilka stolików. Wolałaby siedzieć na ich miejscu, z samego brzegu. Czułaby się bezpieczniej, mając za plecami ścianę.

Gaetano nalewa jej wina. Robi to szerokim, przesadnie ceremonialnym gestem. Nauczył się go pewnie od sommeliera, którego ogląda w telewizji w bezsenne noce. Delia patrzy, jak wino leje się z butelki, wydając charakterystyczny, przyjemny dźwięk, który dzisiaj żadnego z nich nie ekscytuje. Wino nie może podgrzać ich uczuć ani nawet złagodzić niechęci. Zmarnowane wysiłki i pieniądze.

Być może nie powinien proponować jej spotkania w restauracji. Nigdy nie przykładła wagi do jedzenia, mierzył ją rytuał podawania potraw. Najlepsze chwile przeżyli w przypadkowych sytuacjach, kiedy jedli kebab albo gorące kasztany z papierowej torebki i łupiny wyrzucali na chodnik.

Z wizyt w restauracjach nie mają miłych wspomnień. Zaczęli w nich bywać, kiedy nareszcie mieli trochę pieniędzy, kiedy w ich prywatnym rajku zgrzytało już jak w zawiasach niesprawnej huśtawki.

Kelnerka położyła kartę dań na stoliku.

– Co zamówimy? Na co masz ochotę?

Delia wskazuje palcem jedno z dań wegetariańskich, kawałek jakiegoś taniego placka z nadzieniem. On natomiast przyszedł tutaj, żeby dobrze zjeść, żeby w jedzeniu znaleźć pociechę.

Delia podnosi do ust napełniony do połowy kieliszek. Dotyka wargami brzegu, ale nie pije, zamiast tego przytyka wybruszoną czarkę do policzka. Jest niewiele mniejsza od jej twarzy.

Schudła. Kryzys w ich związku i jego następstwa sprawiły, że straciła na wadze. Gaetana przez chwilę ogarnia niepokój, pomyślał, że być może powróciły jej dawne problemy.

Kiedy się poznali, miała za sobą terapię zaburzeń odżywiania. Już podczas pierwszych pocałunków, dotykając językiem jej zębów, wyczuł nierówności na szkliwie uszkodzonym kwasem wymiocin. Przywiodły mu na myśl ostre krawędzie dziecięcych zębów, które dopiero co przebiły dziąsła. Nigdy nie zapomni, jakie to zrobiło wtedy na nim wrażenie, ale niewątpliwie zbliżyło ich do siebie. Dobrze było móc podzielić się cierpieniami, mieć przy sobie kogoś, komu można o nich

opowiedzieć. On też nosił na plecach worek pełen gówna i nie mógł się doczekać, kiedy opróżni go u stóp dziewczyny takiej jak ona.

Zanim ją poznał, jego związki z kobietami były dość powierzchowne. Kreował się na faceta niestałego w uczuciach, a nawet okrutnego, jaguara z miejskiej dżungli. Grał na perkusji i to wyostrzało jeszcze jego wizerunek twardziela. Miał głęboko osadzone oczy i szczękę lekko cofniętą w stosunku do czoła, co upodabniało go do jaskiniowca i ułatwiało pozowanie na człowieka tajemniczego, jakim nie był. Był za to bardzo sentymentalny i desperacko szukał miłości.

Miał jeszcze młodych rodziców, którzy – choć niekonwencjonalni – wciąż byli razem i stanowili dla niego wzór do naśladowania. Nigdy nie przyznałby się do tego przed swoimi znajomymi ze świata ketaminy i ostrych rżnięć, od których zresztą czuł się bardziej prawy. Myślał czasem, że wszystkie te elementy złożone w całość czynią z niego kogoś w rodzaju Frankensteina, potwora zszytego z kawałków, które do siebie zupełnie nie pasują.

Delia przyciągnęła go do siebie. Otworzyła przed nim drzwi do związku głębokiego i trwałego. Wcisnęła się swoim językiem w jego usta, on odwzajemnił się jej tym samym. Dotykał jej zębów nadżartych pogardą do samej siebie i szalał z bólu i miłości.

Kelnerka stawia koszyczek z chlebem na stoliku.

– Chciałabym się wybrać w podróż.

Ma najświętsze prawo do takich pragnień. Na pewno jest bardzo zmęczona. Obydwoje są zmęczeni.

– Chciałabym pojechać do Kalkuty.

Zawsze miała bzika na punkcie Kalkuty, miasta Tagorego, jej ukochanego pisarza. *Ból przemija, zapomnienie trwa.* Ileż to razy zanudzała go tym Tagorem.

– To chyba nie jest odpowiednia pora roku.

– Pewnie skończyłoby się na tym, że dostałabym biegunki i leżała z gorączką, zamknięta w hotelowym pokoju.

Dopiero teraz po raz pierwszy uśmiechają się do siebie.

– To nie jest dobry pomysł.

– Chciałabym być przez jakiś czas sama, bez dzieci. Ale nie mogę sobie pozwolić na tak daleką podróż.

Boi się je zostawić.

Często pozwala im się bawić najbardziej nieodpowiednimi przedmiotami, korkociągiem czy słuchawką telefonu z jej monotonnym sygnałem. Dzieci baraszkują przy niej na podłodze jak króliki, a ona patrzy na nie wzrokiem przepelnionym miłością, w którym jednak nie ma prawdziwego życia. Delia jest wtedy jak planeta świecąca odbitym światłem. Wydaje się oderwana od rzeczywistości, jakby przebywała w świecie, w którym miłość nie jest wymagająca

i nie sprawia cierpienia, a dzieci są dobrymi duszkami pozbawionymi fizycznych potrzeb, nie muszą jeść i nie robią kupy.

Niedawno zaczęły się letnie wakacje, ogromna pusta przestrzeń trzech miesięcy bez zajęć szkolnych.

– Wybierz się w jakieś weselsze miejsce.

– Nie ma sensu podróżować w kierunku przeciwnym do stanu psychiki.

Gaetano wypija łyk wina. Zna ją. Potrzebuje silnych wrażeń. Pusta monotonia dobrobytu nudzi ją, gasi.

Przeżył z nią prawie dziesięć lat. Przez cały ten czas wysłuchiwał krytycznych opinii na temat ludzi, którzy koncentrują się jedynie na zarabianiu i wydawaniu pieniędzy, którzy dokonują ogromnych wysiłków po to tylko, by doświadczyć banalnych uczuć, nieuzasadnionych smutków i depresji.

– Wiesz, w czym tkwi problem? W naszych czasach nikt nie ma dość odwagi, by zrobić to, co najprostsze i konieczne, dać sens własnemu życiu. To, o co ludzie od początku swoich dziejów starali się najbardziej, walcząc, ryzykując, podejmując najtrudniejsze wyzwania, my dzisiaj uważamy za niepotrzebny wysiłek.

Gaetano przytakuje. Znalazł właśnie w karcie danie o nazwie kotlet wiosenny. Smażony na tłuszczu kawał mięsa, któremu pozorów lekkości i wiosennego charakteru ma przydać sos ze świeżych pomidorów. Szuka wzrokiem kelnerki, jej pupy w opiętych, wytartych dżinsach.

– Ludziom nie zależy na tym, żeby poznać samych siebie.

Widać, że sformułowanie tych zarzutów poprawiło jej samopoczucie, uznała pewnie siebie za osobę o inteligencji wyższej niż przeciętna.

Ponownie podnosi kieliszek do ust.

– Dopadła nas depresja, jak kretyni daliśmy się dopaść.

Gaetano spuszcza głowę, odrywa palcami kawałek chleba. Nie ma wątpliwości, do kogo Delia kieruje swoje zarzuty. Zanim usiadła przy tym stoliku, postanowiła go zgnębić. Sprawić, żeby poczuł się łajdakiem. Jednym z tych, którzy zgadzają się na bezwartościowe życie.

– To niezbyt pocieszające...

– Nie ja zaproponowałam to spotkanie.

Gaetano wie, że nie tak powinien się rozpocząć ten ich wspólny wieczór. Jest scenarzystą. Najchętniej podarłby kartki z opisem tej sceny i zaczął od nowa.

Delia umyła włosy, zrobiła makijaż. Chciała pokazać, że dobrze sobie radzi, postawić mur godności. Ma na sobie sukienkę, której on nie zna, a może tylko nie pamięta.

– To nowa sukienka?

– Mam ją od dawna.

Sprawia mu przyjemność, że dla niego włożyła tę sukienkę z łądkowym

dekoltem. Cieszy się, że skłonił ją do spotkania poza domem. Wyobraża ją sobie, jak się ubierała, jak wkładała sandały na wysokich obcasach.

On też ubrał się starannie, włożył nową, białą koszulę, rozwichrzył włosy przed lustrem w wynajętym mieszkaniu, podciągnął się pięćdziesiąt razy na drążku. Jest zadowolony, że siedzą w tej restauracyjce, z daleka od rozrzuconych dresów dzieci, od zapachu domowej kolacji. Że znajdują się na ziemi niczyjej.

To modny lokal, podają w nim dania niewymyślne, ale i niebanalne, mają dobre wina. Wybrał go Gaetano, spodobała mu się jego pogodna i nieformalna atmosfera. Stoliki chwieją się trochę na nierównym podłożu. Miał nadzieję, że prowizoryczna scenografia tego miejsca pomoże im się rozluźnić, zachowywać mniej sztywno. Tak, żeby mogli w każdej chwili powiedzieć: *znaleźliśmy się tutaj przypadkiem, zjemy coś albo tylko przekąsimy. Ale jeżeli chcesz, możemy równie dobrze zaraz wstać od stolika i pospacerować w ciemnościach.* Zależało mu na tym, żeby Delia poczuła się swobodnie. Przynajmniej przez jeden wieczór. I żeby nie było im tak ciężko przebywać z sobą.

Zastanawia się, kiedy pojawił się ten ciężar. Chyba wtedy, gdy wewnętrzne rozchybotanie każdego z nich stopiło się w jedno i utworzyło jarzmo o wadze ołowiu.

Oboje utkwili wzrok w prostokątnych kawałkach papieru w kolorze jutowego worka. Delia gładzi swoją serwetę tuż przy widelcach, oddziera kawałeczek papieru paznokciem.

Gaetana razi ta naddarta serweta. Było tak miło i estetycznie. Wystarczył drobiazg, prawie niezauważalny gest, żeby zmienił mu się humor. Gdyby poddał się impulsowi, posłałby wszystko do diabła. Miał ochotę złapać ją za przegub i wykręcić jej rękę.

Delia zwiąja oderwany kawałeczek serwety, zbliża go do świecy, nadpalony papier spada do miękkiego wosku jak martwy owad.

Do stolika podchodzi kelnerka, pyta, co wybrali. To ładna dziewczyna, wszystkie kelnerki w tym lokalu są ładne. I bardzo młode.

– Ja zamówię kotlet wiosenny.

Kelnerka zapisuje w swoim bloczku, pociąga nosem, widać, że się spieszy.

– A pani?

Delia prostuje się. Nie spodobało jej się to obcesowe pytanie. Niczego nie wybrała. Nie jest głodna. Patrzy na kelnerkę, na jej odkryty brzuch, którym prawie dotyka ich stolika.

Gaetano czuje się skrępowany, ma ochotę powiedzieć dziewczynie, żeby odstąpiła krok do tyłu. Kiedy odbierała zamówienie od pary starszych ludzi, pochyliła się i naprężyła jak kotka, uwydatniając jędrne pośladki. Nie mógł się w tym momencie powstrzymać od myśli, że jest już we właściwej pozycji i że chciałby wiedzieć, do jakiego typu kobiet należy. To normalne, że mężczyzn

osaczają takie myśli, i kelnerka naturalnie nie mogła tego nie wiedzieć.

Gaetano uderza palcem po wargach, nie patrzy na Delię. Czuje się, jakby go złapano na gorącym uczynku, choć przecież jest zupełnie niewinny. Dopiero od paru miesięcy nachodzą go na nowo fantazje erotyczne, od popołudnia, gdy świętowali urodziny jednego z synów. Wcześniej było mu tak bardzo źle, że gdyby nawet przyszła do niego naga Megan Fox, usłyszałyby od niego: *przepraszam, kotku, ale jestem zajęty, właśnie umieram i przed śmiercią nie mam ochoty się z nikim kochać.*

Delia rezygnuje z placka wegetariańskiego. Zamawia zupę jarzynową z ryżem. Pyta, czy jarzyny są na pewno sezonowe i czy w zupie jest imbir. Ma uczulenie na imbir, a ostatnio dodaje się go do wszystkiego, w przekonaniu, że elementy Orientu przydają lekkości ponuremu Zachodowi. Odkryła, że cały imbir jest importowany z Chin i jako korzeń wchłania i magazynuje substancje chemiczne używane w ogromnych ilościach przy jego uprawie.

Gaetano natomiast zajada się imbirem, w restauracjach japońskich potrafi jeść go całymi łyżkami. Może to forma buntu przeciw Delii i lalkom Daruma. A może po prostu imbir mu smakuje.

Chciałby kiedyś znowu tak żyć jak przed dziesięciu laty, kiedy w ogóle nie przejmował się tym, co ma na talerzu. Jednak tego wieczoru przychodzi mu do głowy, że może już nigdy nie będzie potrafił beztrudnie używać życia, nie asekurując się zaciśniętymi pięściami.

Wszystko się skomplikowało. Zmienił się dogłębnie i bezpowrotnie. Ale czy nie tego właśnie pragnął, wiążąc się z Delią? Chciał stać się człowiekiem bardziej świadomym, bardziej troskliwym i zapobiegliwym. Jak bohaterzy niektórych filmów biorący na siebie ciężar podejmowania decyzji, pełną odpowiedzialność za życie swoje i swojej kobiety. A ona wydawała mu się wręcz niewiarygodnie skłonna wpasować się w ten plan, gotowa zostawić wszystko, by założyć z nim rodzinę, żeby się o niego troszczyć i pomóc mu stać się takim człowiekiem, jakim zawsze chciał być, ale nie wierzył, że może mu się to udać.

W świecie, w którym prawość nie jest w cenie, Delia była dla niego jak latarnia morska. Podobały mu się dziewczęta w pogniecionych spódnicach, obszernych swetrach i sportowych butach, z dziwnymi fryzurami i książkami pod pachą. Delia była właśnie taka. Energiczna i niekonwencjonalna, przesiąknięta rozterkami egzystencjalnymi, ale przy tym emanowała spokojem. Kojarzyła mu się z kotwicą szarpaną sztormowymi falami, która jednak trwa na swoim miejscu i niewzruszenie wypełnia swoje zadanie.

– Może pojedę do Szkocji.

Z Kalkuty do Szkocji – niezły przeskok. Gaetano wypił już kieliszek wina, więc teraz jest mu łatwiej potakiwać. Otwiera szeroko oczy i przybiera tępowy wyraz twarzy jak zawsze, gdy chce okazać zainteresowanie czymś, co

w rzeczywistości w ogóle do niego nie dociera.

Delia jest poważna, widać, że zanurzyła się głęboko w nastroju dramatycznym, znać po niej napięcie jak u skippera kierującego jachtem „New Zealand”.

– W końcu nie byliśmy w Nowej Zelandii. I nigdy już tam nie pojedziemy.

Gaetano nie może powstrzymać się od uśmiechu, w którym mieszają się czułość i politowanie.

Nie mówi, że i on pomyślał o Nowej Zelandii, o długiej podróży, w którą zamierzali się wybrać z dziećmi, o ciągnących się kilometrami połaciach dziewiczej ziemi i nieprzeliczonych stadach owiec.

To jedna z tych rzeczy, które go złoszczą, bo wciąż jeszcze robią na nim ogromne wrażenie. Czyli fakt, że myślą jednocześnie o tym samym. I to o czymś, co nie ma żadnego związku z sytuacją ani z toczącą się rozmową. Nie wiadomo, skąd nadlatuje, i dokładnie w tym samym momencie przychodzi obojgu do głowy ta sama myśl.

Kiedyś w takich wypadkach wybuchali śmiechem i Gaetano zaczepiał najmniejszy palec u ręki o palec Delii. Jak w dziecięcej zabawie, oboje wypowiadali potem jedno z dwóch słów: flik albo flok. Wierzyli, że jeśli powiedzą to samo, spełnią się marzenia, o których przy tym myśleli, ale zwykle były to marzenia tak błahe albo szalone, że szybko o nich zapominali i nie sprawdzali, czy się ziściły. Przy ostatniej takiej okazji Gaetano wyraził pragnienie, żeby im się udało zostać razem.

Teraz jest jak najdalszy od takich idiotycznych zabaw. Nie przyniosły mu szczęścia. Podobnie zresztą jak wiele innych rzeczy, których już nigdy więcej nie będzie musiał robić.

Pomyślał, że dzieci też nie dały mu szczęścia. Ale zaraz się tego zawstydził.

Gdyby nie dzieci, nie musiałby teraz siedzieć naprzeciwko tej kobiety. *Kim ona właściwie jest? Jak to się dzieje, że sięga się do tej, a nie innej kieszeni? Tylko po to, żeby potem cierpieć...*

Wiele razy, spoglądając na nią, myślał: *co ja mam z tobą wspólnego? Dlaczego muszę cię znosić? Twój zapach i całą resztę. Twoją twarz z wymalowanymi na niej rozczarowaniem i niechęcią.*

Patrzy przed siebie. Kelnerka niesie kotlet wiosenny, ale nie dla niego. Stawia go przed starszym panem przy stoliku pod ścianą. Gaetano widzi, jak ten podnosi pomarszczoną, opaloną dłoń w geście podziękowania. Wygląda na podstarzałego bon vivanta, z tych, którzy w restauracji mają swoje stałe miejsce. Przytrzymuje kelnerkę za łokieć, rozśmiesza ją, udając, że gra na skrzypcach.

Gaetano przypomina sobie, że słyszał tu kiedyś dźwięki instrumentów. Gdzieś w pobliżu restauracji jest ognisko muzyczne. Chciał nawet tam zająć i zapytać, czy mógłby się zapisać na lekcje. Z przyjemnością wróciłby do gry na

perkusji. Właściwie nigdy nie uczył się muzyki, grał ze słuchu, kierował się instynktem.

Nie należy kierować się instynktem. To błąd. Instynkt doprowadzi cię do pewnego miejsca, po czym cię opuści. Dojrzewasz, starzejesz się i wtedy zostajesz z niczym, bo instynkt umiera młodo. Zastępuje go niepewność, a ty już zawsze będziesz więźniem swoich ograniczeń i ignorancji.

Kilka razy zdarzyło im się kochać na odległość. W tej samej chwili zaczęli się pocić, zwijać z pożądania i rozkoszy gdzieś w parku czy autobusie, daleko od siebie.

Ta sama myśl, przemierzywszy błyskawicznie dzielącą ich odległość, mury budynków i ulice zakorkowane samochodami, atakowała ich jednocześnie. Dopadało ich uczucie bliskości tak silne, jakby to były ręce sięgające z przeciwległego końca miasta, by rozchylić żebra i dotknąć serca.

– *Dzisiaj wyobraziłem sobie, że się z tobą Kocham.*

– *Ja też.*

– *Kiedy? Gdzie wtedy byłaś?*

Bardzo ich ekscytowało to duchowe zespolenie (oboje byli w tamtych czasach dość egzaltowani). Pozacielesny kontakt – ten przywilej mistyków, którego można dostąpić tylko po latach ćwiczeń i medytacji – dla nich był rzeczą naturalną i niezbędną do życia.

Gaetano już właściwie w to nie wierzy, nie ma pewności, czy naprawdę tego doświadczali. Jedynie Delia, siedząca teraz przed nim, przypomina, że tak właśnie było.

Ale być może doznawali po prostu wyuzdanej żądz i maskowali ją różową sukienką duchowej miłości. Nadprogramowe polucje – na jawie, bez wilgotnych snów.

Delia się zastanawia.

Za każdym razem, gdy ma przed sobą Gaetana, jego szerokie ramiona, ten skrawek skóry nad kołnierzykiem koszuli, zastanawia się, dlaczego wtedy się nie zatrzymała, nie cofnęła. Dlaczego przekroczyła ten próg.

Wystarczyło, żeby wyjechała ze swoją przyjaciółką Micol, tak jak to planowały tamtego lata, znalazłszy się w próżni po obronie pracy magisterskiej. Miały jechać do Londynu. To miasto pobudziłoby ją do działania, tam prowadzono awangardowe badania nad makrobiotyką i uprawami biodynamicznymi. W Londynie mogła rozpocząć karierę dietetyczki. W nocy kelnerowanie, w dzień wielka przygoda.

Micol dzwoni jeszcze od czasu do czasu. Została tam, ma mieszkanie w South Kensington. Pracuje w teatrze jako scenografka i jest wściekła na laburzystów jak wszyscy postępowi Brytyjczycy. Ma syna i męża, który ją zdradza i którego ona też zdradza. Pomimo to twierdzi, że żyją w udanym związku. Delia

nie rozumie, jak można żyć z kimś w udanym związku i jednocześnie przeżyć biodra w cudzych łóżkach.

A może to rozumie. Teraz rozumie dużo rzeczy, których wolałaby nie rozumieć. Zna wszystkie odcienie szarości.

Poznała też czerń, ale jej unika. Co nie znaczy, że czerń zniknęła z jej życia.

Biel należy już tylko do dzieci. Biel skóry, gdy są chore, biel kartek, na których rysują.

Mogła wyjechać, zostawić tę dzielnicę, park, w którym paliła skręty, gdy była młodą dziewczyną, i do którego chodzi teraz z dziećmi na spacer i schyla się po każdy papier zaśmiecający alejki.

Mogła mieć inne życie, beztroskie. Życie egoisty i samotnika, który w każdej chwili może wybrać się w podróż do Kalkuty albo Aberdeen, zgubić się gdzieś w świecie. Albo się odnaleźć.

Ona, pomimo wszystko, odnalazła się.

Kiedyś powiedziała Gaetanowi: *ludzie stają się po prostu tacy, jacy są.*

Ale ona nie była taka, jaką się stała.

Była o wiele bardziej prawa. Tylko że życie jest jednym wielkim oszustwem.

Więc teraz jest taka, jaka jest.

W wieku trzydziestu pięciu lat znalazła się za zatrzaśniętymi drzwiami.

W wieku trzydziestu pięciu lat wciąż stoi na progu.

Wystarczyło przyjrzeć się uważnie Gaetanowi, żeby zrozumieć, że do niej nie pasuje, że oboje do siebie nawzajem nie pasują. Nie było ich stać na wypełnienie zadania, które sobie wyznaczyli. Oboje mieli przerost ambicji i zaburzenia życia uczuciowego. Obwąchali się w ciągu kilku zaledwie godzin i byli przekonani, że uda im się zapełnić wszystkie luki samą tylko siłą woli. Ale w tej ich egzaltacji tkwił już zarodek klęski.

Dwoje nieśmiałych ludzi pragnących powetować sobie stracone szanse, bardzo chcących wierzyć w wyjątkowość ich relacji. Przerażający przykład współczesnego związku kobiety i mężczyzny.

– W Szkocji przynajmniej nie jest gorąco.

Tak, Delia źle znosi wysoką temperaturę i on, rzecz jasna, dobrze o tym wie. Minęło za mało czasu, by dostał łaski zapomnienia o czymkolwiek, co jej dotyczy.

– Zresztą nie wiem. Może nie wyjadę, zostanę. Zamknę się w domu. Będę czytać.

Gaetano nie pyta, jaką książkę teraz czyta albo ma zamiar przeczytać.

– Tak, to chyba najlepszy pomysł.

Sam dużo czytał, kiedy jeszcze mieszkali pod jednym dachem. Karcił się tandetą. Polykał biografie piosenkarzy rockowych i neonazistów wytatuowanych od stóp do głów, obkładał się podręcznikami kreatywnego pisania, na początku

każdego roku kupował sobie nową *Księgę rekordów Guinnessa*. Rechotał ze śmiechu nad zdjęciem człowieka o najbardziej na świecie rozciągliwej skórze przekłutej niezliczonymi piercingami. Fascynowały go wszelkie zniekształcenia i szpetota, zdjęcia ultrasonograficzne cięż mnogich, na których płody przypominały mrówki.

– *Powinieneś się poważnie zastanowić nad swoim upodobaniem do wszystkiego, co anormalne i ohydne.*

– *To mnie bawi i inspiruje.*

– *Oddala cię od rzeczywistości.*

– *Właśnie o to mi chodzi.*

Zwyczajność odstręczała go, wystrzegał się jej. Uwielbiał horrory pośledniej klasy i psychodeliczne fantasy.

– Tego właśnie oczekuję od filmów i książek: silnego kopniaka. Żeby się znaleźć jak najdalej od powszedniego gówna.

Na co dzień musiał się taplać w brei telewizyjnych oper mydlanych, ale w pamięci swojego maca trzymał tobolek z odlotowymi koszmarami, z bajkami miejskimi zaludnionymi ohydnyimi karłami i dobrymi wrózkami ladacznicami.

Delia uwielbiała książki bez akcji. Wystarczały jej emocje, ludzie, którzy się mijają, czasem ocierają o siebie, ale się z sobą nie łączą. Stosunki bez ejakulacji.

Podobnie było w łóżku. On wolałby wszystko załatwić od razu, ona natomiast wpatrywała się w niego nieruchomo, jakby czekała na nadejście wieczności.

Miała nosa do dobrych książek. Mało znani autorzy, niszowe wydawnictwa, pisarze z Afryki. Kupowała je w małych księgarniach, zawsze potrafiła dobrze wybrać. Wkładała spinkę do włosów między kartki, by zaznaczyć miejsce, w którym przerwała lekturę. Być może te książki były lepsze od innych tylko dlatego, że to ona je wybrała. Tego wieczoru wspomnienie Delii siedzącej na kanapie z podwiniętymi nogami, w bawełnianej bluzce, z twarzą bez makijażu skupioną na lekturze przyprawiło go o lekkie mdłości.

Teraz już wie. Ludzie powinni się rozstać, zanim dojdą do tego punktu. Tego, do którego doszli oni. Żeby uniknąć najgorszego.

Ale tak się prawie nigdy nie dzieje. Ludzie schodzą na samo dno, nurzają się po szyję w gównie, także tym, które nie jest ich. W gównie wylewającym się ze ścieków całego miasta, pochodzącym od wszystkich par, które rozstały się wcześniej albo rozstają w tym samym czasie co oni. Bo gówno zlewa się w podziemnych kanałach i wszystkie pary dają się w nie wessać, przemierzają tę samą trasę w zamku strachu.

Nie, nie należy dochodzić do punktu, do którego doszli oni.

Przy pierwszych symptomach trzeba odejść, zostawić puste pole. I tak nie będzie już lepiej, tylko coraz gorzej.

Ale ludzie o tym nie wiedzą. Do końca mają nadzieję i przez cały czas cierpią.

Tylko ci, co przez to przeszli, wiedzą, jak to boli.

Kiedy wracasz i kiedy wychodzisz, kiedy zaczynasz wyładowywać się na przedmiotach, tłuczysz filiżankę do kawy, z której piłeś wino, strącasz ułożone w stos płyty kompaktowe. Kiedy młodszy synek płacze, a starszy oddycha płytko jak kot, który nie chce, żeby go znaleziono. Bo już się nauczył. A ty nawet na nie nie patrzysz, na te twoje dzieci, bo nie chcesz, żeby się do ciebie przyczepiły. Bo wolałbyś, żeby nigdy nie przyszły na świat. Bo czujesz, że nie jesteś nic wart. I to ona do tego doprowadziła.

Masz rację. Wiesz, że masz rację.

Ona też uważa, że ma rację.

W rzeczywistości żadna racja nie istnieje. Dzieci wiedzą, że przestały być racją istnienia, że przestały być czymkolwiek.

Będzie trzeba czasu, żeby każde z nich znów stało się kimś lub czymś. Na przykład zranionym złym psem.

Tak czy inaczej, rodzina umarła. Tworzą ją nierozsądni dorośli i zagubione dzieci, które sikają do łóżek i skarżą się na głód o drugiej w nocy.

Doszli do punktu szczytowego. Już się pozabijali, ale dalej żyją. Mordercy i ofiary przy jednym kuchennym stole.

To chwila, kiedy chciałbyś umrzeć, ale wiesz, że nikt nie umrze, i to jest jeszcze gorsze.

To cholerne obsmarkane dziecko patrzy na ciebie. Jest naprawdę małe. Jest naprawdę twoje. I wiesz, że to nie w porządku, ale nic na to nie możesz poradzić.

Wszystko się powykrzywiało i poplątało jak zarośla w zaczarowanym lesie, a ty leżysz w nim przygnieciony ciężkim pniem. I dusisz się.

Gaetano tkwił przy konsoli Wii, brał zakręty na symulatorze z prędkością 300 kilometrów na godzinę. Delia starała się sprowadzić go z powrotem.

– *Popatrz przez dziesięć minut na rękę Cosma.*

On roześmiał się.

– *Popatrzyłem, i co z tego?*

– *To nie było dziesięć minut.*

– *Wszystko jedno. Nie nudź.*

– *Gdybyś naprawdę popatrzył dłuższą chwilę na jego rękę...*

– *To co?*

– *To dowiedziałbyś się, gdzie jesteś. Gdzie powinieneś być.*

Tego wieczoru siedzą przy stoliku wystawionym na lato do restauracyjnego ogródka. Wokół są ludzie, mężczyźni i kobiety, pary. Piją wino.

Delia przygląda się mężowi, jego niewinnej twarzy, zawsze wyrażającej lekkie zdegustowanie. Twarzy kogoś, kto nigdy nie dotarł do celu, bo za każdym

razem wyslizgiwał się na chwilę przed jego osiągnięciem. Właściwie zawsze był tchórzem. Jest o tym przekonana, zwłaszcza gdy ściera mu z twarzy ten jego uśmiech i nie myśli o tym, jak łapał ją za szyję i przyciągał do siebie tak silnie, jakby wrywał roślinę z doniczki. Po to, żeby ją pocałować i wyszeptać do ucha wszystkie te słowa... *tęsknię za tobą, zawsze będę za tobą tęsknić, nie potrafię żyć bez ciebie, urodziłaś się dla mnie, a ja urodziłem się dla ciebie.*

Człowiek daje się nabrać pluszakom. Teraz już to wie. Misiaczkom ze sztucznym futerkiem. Które budzą czułość, które chciałyby się trzymać przy sobie pod kołdrą.

Była głupia. Zawsze czekała jak żebraczka pod kinem, w którym wyświetlano film o miłości.

Opiera plecy na krześle. Chce patrzeć na Gaetana z większej odległości. Jeżeli zmruży lekko oczy, zdoła zneutralizować to ciało.

Od jakiegoś czasu codziennie przez dwadzieścia minut medytuje. Instrukcje znalazła w Internecie. Medytacja bardzo jej pomaga. Ucisza wrzawę myśli, czyści tablicę.

Dzisiejszego ranka skupiła się na jabłkach, które leżały na kuchennym stole. Weszła myślą do mięszu, do ich zapachu, do pestek w samym środku. Później, kiedy kroiła dla dzieci jedno z nich na cząstki, płakała. Ale to był dobry płacz.

Musi się nauczyć *być*. Po prostu być. Wrócić do własnego życia. Wyjąć rękę z tej rękawicy, raz na zawsze. Zrobić krok do przodu.

To nie jest łatwe dla kobiety, która niedawno zatrzymała się nagle pośrodku supermarketu z butelką mleka w ręce i nie wiedziała, dokąd pójść.

Gaetano uśmiecha się. Cięży mu jej spojrzenie, które go osądza i w którym nie ma miłości. Kopie nogą w stół. Ogarnia go zniecierpliwienie. Jest głodny. Właściwie to nie wie, co mu jest. Wprawia stolik w drżenie.

Delia kładzie rękę na blacie, żeby zatrzymać wibrację, udziela jej się jego rozedrganie... krótkie spięcie przy połączeniu niewłaściwych biegunów. Przypomniały jej się narodziny Cosma. Tamtej nocy też oboje drżeli.

– Po co tu przyszliśmy?

– Żeby porozmawiać o wakacjach chłopców.

Kelnerka przyniosła kotlet. Gaetano podnosi widelec, kieruje go w stronę Delii. Przez chwilę ma minę jak Cosmo, gdy prosi o coś i czeka na jej zgodę. Potem łapie za nóż, odkrawa spory kawałek mięsa, wkłada go cały do ust i przeżuwa jak koń – skupia się na tej czynności jak zwierzę, zadowolone, że udało mu się coś wyszarpać.

Delia prześlizguje się spojrzeniem po jego twarzy, wzdycha głęboko. Nie jest głodna, ale jest niecierpliwa, choć na nic nie czeka.

Kiedy staje przed nią zupa z ryżem, wpatruje się w nią, jakby to była jakaś odległa, niedosięgła planeta, księżyc w studni.

– Smaczna?

Delia wykonuje głową ruch, który nie jest ani zaprzeczeniem, ani potwierdzeniem.

Nie powinien zapraszać jej do restauracji. Lepiej byłoby, gdyby przyszedł do domu, posiedział trochę z dziećmi, potem włożył DVD z filmem rysunkowym do konsoli PlayStation i zostawił Cosma i Nica przed telewizorem, a sam porozmawiał z nią w kuchni. Byłaby to rozmowa krótka, rozsądna i praktyczna. Ona stałaby boso, ubrana w spodnie z dresu, on nawet nie zdjąłby kurtki. Nie miałyby najmniejszej ochoty zatrzymać się dłużej, przeciwnie – chciałyby uciec jak najprędzej. Wystarczyłby mu zapach prania suszonego w mieszkaniu i jedzenia, żeby zapragnął zniknąć stamtąd w jednej chwili, rozpuścić się w ciemnościach nocy. Jak to czasem robił, w piżamie pod spodniami, założywszy tylko naprędce sportowe buty. Siedział potem w barze z grami wideo, z podłogą wysypaną trocinami.

Ale Delia nie chce, żeby przychodził do domu.

– Dzieci cierpią, kiedy widzą, jak wychodzisz.

Używa dzieci jak tarczy, ustawia je na wygodnych dla siebie pozycjach, pokazuje mu tylko to, co chce, żeby zobaczyć.

– Potrzebują czasu, żeby się przyzwyczaić do tego, że z nami nie mieszkasz.

– Masz zamiar ułożyć sobie życie na nowo?

– Nie rozumiem.

– Odwiedza cię ktoś w domu?

Gaetano jako szpicel, głupia mina, gumowa twarz jak u sąsiada chorego na alzheimera. Twarz człowieka, który nie pamięta.

– Masz do tego prawo.

– Nie jestem taka jak ty.

Przytakuje jej słowom, uśmiecha się. Wygląda, jakby umiał być szczęśliwy. Podnosi kieliszek.

– Jesteś lepsza ode mnie. Wszyscy o tym wiedzą.

– Niewiele trzeba, żeby być lepszym od ciebie.

– Na zdrowie!

Zaprosił ją na kolację, żeby mogła się wyrwać z tej klatki czterech ścian, w której, biedaczka, utknęła. Biedaczka? Nic podobnego! Zostało jej mieszkanie, w którym on własnoręcznie zamontował wszystkie półki i zaprojektował antresolę.

Jasne, że nie poradziłby sobie sam z dziećmi. Rozpuściłby je jak dziadowskie bicze. Przy nim chłopcy spóźnialiby się do szkoły i na pewno zaraz zgubiłby smoczek Nica. Ładował najczęściej pod kanapą i to Delia zawsze się schylała, żeby go stamtąd wydobyć. Traktowali go jak jakąś relikwię, bo ten stary model Baby Chicco był nie do zdobycia, a Nico nie chciał innego. Rodzina z dwuletnim dzieckiem, które uspokaja tylko jeden smoczek na świecie, ryzykuje,

że w każdej chwili może nastąpić w niej eksplozja albo przynajmniej zachwianie równowagi, żyje więc w stałym napięciu, jak na polu minowym. Nieraz przychodziło mu to do głowy, zwłaszcza w sobotnie popołudnia, gdy chodzili po Ikei. *Jeżeli zgubimy smoczek, mamy przerąbane. Nico zacznie płakać i nie przestanie, a my oszalejemy i w końcu odkręcę chyba gaz.*

– Nico jeszcze używa smoczka?

– Jak możesz myśleć, że przestał potrzebować smoczka... po tym wszystkim.

Nawet nie próbował jej zaproponować: ty się wyprowadź, ja zostanę. A może właśnie dałby sobie radę sam z dziećmi. Po pierwszym okresie naturalnego rozprężenia, jedzenia z puszek i zafajdanych majtek porzuconych na podłodze, zaczęłyby zaprowadzać porządek, ustalać zasady. Przypomniałyby sobie, jak ona organizowała domowe życie. Zresztą urządziłyby to lepiej, mniej schematycznie i monotennie. Ma dużo fantazji i lubi się bawić. Zdjąłby kosz do koszykówki, na którym Delia suszyła wyprane koszule, a zamiast niego zamontowałyby worek bokserski. Wziąłby Cosma na barana: *uderzaj! mocno!* Temu dziecku boks dobrze by zrobił. Straszny z niego filozof.

Odmalowałyby całe mieszkanie, przestawiłyby meble, wywalił tę ohydną spłowiałą kanapę. Zrobiłby to wszystko szybko i energicznie, przy akompaniamencie muzyki. Jak w filmach, w których upływ czasu jest pokazywany za pomocą szybko następujących po sobie kadrów. Już się widział w tej roli, w koszuli poplamionej farbą, jak wieczorami karmi dzieci pizzą.

Nie, nie pizzą.

Pizzę przynosił do domu, kiedy byli jeszcze razem. Trzeba było widzieć, co się działo, gdy stawał w drzwiach z pachnącymi pudełkami. Dzieci były szczęśliwe jak E.T. w filmie Spielberga. On otwierał puszkę z piwem i napełniał szklanekę Delii.

– *Proszę, kochanie.*

Nauczyłyby się gotować, robić hamburgery i spaghetti.

Ale żeby tak cudowny scenariusz mógł się zrealizować, musiałyby owdowieć.

Czasem, gdy już całkiem sobie nie radził, wyobrażał sobie siebie jako wdowca. Gdyby Delia umarła, strasznie by rozpaczał, nareszcie mógłby się pograć w prawdziwej żałobie.

Czuł, że gdyby umarła, potrafiłby ją bardzo kochać.

To życie ich dzieliło, krew, która tak silnie pulsowała.

On sam z dziećmi. Trzy sierotki. Bawiliby się na łóżku. Robili tak w tym obrzydliwym mieszkaniu w suterenie, które wynajmował w czynszówce przy viale Somalia. Tymczasowo – jak zwykle się mówić. Śmierdziało tam brudną wykładziną, chińską smażeniną i spalinami autobusów. Z myślą o chłopcach Gaetano kupił lody i włożył je do zamrażalnika. Jak tylko podał je dzieciom, lody

zaczęły się topić, bo zamrażalnik był marny.

– *Wskakujcie na łóżko do tatusia.*

Było im niewygodnie, nie mieli o co oprzeć pleców, spory kawałek lodu Nica spadł na narzutę. Chłopczykowi zachciało się sikać, ale nic nie powiedział. Gaetano zaniósł go na sedes, kiedy już wszystko było mokre. Resztę czasu spędził na suszeniu jego spodni suszarką do włosów. W powietrzu unosił się smród moczu i widmo Delii. Gaetano zapalił papierosa, w nadziei, że zajmie się ogniem.

Gdyby ona umarła, nikt nie mógłby mieć do niego żadnych pretensji, nawet teściowa nie mogłaby mu robić wyrzutów, nie mogłaby już nigdy więcej powiedzieć tego, co usłyszał od niej, kiedy się wyprowadził. *Jesteś nieodpowiedzialny, oboje jesteście nieodpowiedzialni.* Co w ustach kogoś takiego jak ona miało znaczenie szczególne.

Delia też wyobrażała sobie, jak by to było, gdyby została wdową.

Gdyby na przykład Gaetano zabił się na motocyklu. Ona też by płakała, rozpaczała nad wszystkim, co razem zniszczyli. W jej fantazjach Gaetano był na powrót tym samym wspaniałym facetem, w którym kiedyś się zakochała. Zgniłe korzenie, które ich opłotły, odpadły, umarły razem z nim.

Wyobrażała sobie siebie, jak przygotowuje dzieci na pogrzeb. Granatowe płaszczyki, prezent babci, kolanówki na białych nóżkach, przygładzone włosy – dwoje dzieci z innej epoki. Po pogrzebie ludzie wyszliby z cmentarza pospiesznie, w milczeniu. Oni zostaliby przy grobie sami, tylko ich troje i żółte liście poruszane wiatrem... Rzuciłaby się na ziemię, ubrana w czarną sukienkę (tak chuda i czarna jak żelowy wężyk lukrecji). I kochałaby go desperacko, i tęskniła za jego ustami, i błagała, żeby jej wszystko wybaczył, wszystko.

Kochałaby się z Gaetanem porywem myśli, jak kiedyś, bezcieleśnie, jęcząc w pustce. Gest najwyższej desperacji, równie patetyczny jak obietnice, które dawali sobie na początku.

Od dawna się nie kochali. Nużyła ich nawet sama myśl o tym. Jakby chodziło o żmudne mocowanie się z oporną materią. Coś jakby gwałt.

Delia powiedziała mu to kiedyś po stosunku, jednym z ostatnich, jakie mieli. (Dlaczego nie potrafiła milczeć? Skąd ta potrzeba dzielenia się z nim wszystkim, co tylko przychodziło jej do głowy? Dlaczego nie nauczyła się, że nadmiar szczerości w miłości szkodzi, wywołuje złe instynkty?).

Nie zauważyłeś, że jesteś sam? Że pieprzysz się z murem? Czym jestem dla ciebie? Szparą między żeberkami kaloryfera?

I zaraz potem wypowiedziała to okrutne zdanie prosto z jakiegoś kretyńskiego poradnika, tak bardzo kretyńskiego, że bardziej się nie da.

– *Czułam się, jakbyś mnie gwałcił.*

Gaetano momentalnie oderwał się od niej, jakby ukąsiła go żmija, zaskoczony i już zatruty jadem. Pociemniałe żyły, ból w oczodołach. Znieważony.

Albo raczej: postrzelony w genitalia. Jak ktoś, kto nie zasługuje nawet, żeby patrzeć śmierci w oczy.

Wyszedł z domu półnagi, jakby był cieniem oddzielnym od ciała. Trzasnął drzwiami i zostawił za nimi wszystko.

Chciała biec za nim, żeby go przeprosić. Stokrotnie. Na kolanach, jak kiedyś. Jak kiedyś, kiedy tak bardzo lubiła być przez niego gwałcona. Gaetano nie był typem gwałciciela, ale starał się czasem sprawiać takie wrażenie. Robił to dla niej, ale co chwila pytał: *zabolało cię?* Jak dziecko.

Dokładnie tak samo jak Cosmo, kiedy w nocy szarpał ją za włosy.

Nocami mieszały się ciała ich wszystkich. Czyste i niewinne ciała dzieci. I ciała męża i żony, tak drapieżne, że aż plugawe.

Usłyszała, jak trzasnął drzwiami i poszedł.

Idź do diabła! Niech cię szlag trafi! Rzuć się pod tramwaj! Jedno z nas powinno zniknąć z tego świata. Po prostu nie możemy żyć razem.

Ale potem czekała na niego. Wystarczyło, że oddalił się od niej, a znowu go trochę kochała. Patrzyła na śpiące dzieci, głaskała je po główkach i czekała na niego.

Może nam się jeszcze uda. Musi nam się udać. Dla nich.

Ale to niemożliwe, żeby się udało z powodu dzieci.

Zresztą one same doskonale wiedzą, że od nich nic nie zależy. I robią, co mogą – nakrywają do śniadania, śledzą spojrzenia rodziców, nasłuchują cizy. Rozdają całusy, ale boją się przy tym, że zrobią to w nieodpowiedniej chwili, że pocałują nie ten policzek. One też czekają. Aż miłość powróci.

Wystarczyło, że postawił szklankę na niewłaściwym miejscu, a ogarniała ją niechęć. Takie drobiazgi u innych nie przeszkadzały jej w najmniejszym stopniu, nawet ich nie zauważała. Z nim jednak było inaczej. Czego właściwie od niego chciała?

Wszystkiego. Od niego chciała wszystkiego. I to był największy błąd – zamknąć się w tej miłości i wymagać od niej wszystkiego. Bo potrzebowała wszystkiego. Musiała wszystkiego nauczyć się od nowa: ubierać się, chodzić, kochać się. I nauczyli się wszystkiego od siebie nawzajem, wszystko sobie dali, rozpoczęli całkiem nowe, wspólne życie. Dwoje niepewnych siebie ludzi, przypominających nowo narodzone, jeszcze wilgotne źrebaki, które po raz pierwszy stają na nogi i bardzo się starają na nich utrzymać.

Ale im się to nie udało. I trudno im się z tym pogodzić.

Gaetano wracał do domu, *cześć!*, i przechodził obok niej. Szukał pendrive'a do komputera, wiatrówki, żeby pobiegać. Zatrzymywał się przy lodówce. Powinna była się z tym pogodzić. Wszystko działo się przy dzieciach.

– *Jestem strasznie zmęczony.*

– *Co się stało?*

– *Nic.*

Cholernie niemiła, burkliwa odpowiedź, a jednocześnie najnormalniejsza.

Ale jeżeli nic, to po co jesteśmy razem? Dlaczego mieszkamy pod jednym dachem?

Ich łóżko było wąskie i pachniało płynem do płukania prania. Delia łapała za książkę, żeby mieć spokój, żeby się odseparować. Drażniło ją nawet, jak się przewracał na drugi bok.

– *Włącz sobie telewizor, jeżeli nie możesz zasnąć.*

On nie widział w tym nic niezwykłego. Gaetano bardziej nadawał się do życia. Jasne, że chwilami było mu przykro, czuł, że nie jest między nimi tak samo jak kiedyś. Że sierść żrebaków zdążyła już wyschnąć, a one upodobiły się do tych apatycznych zwierząt, które w parku noszą na grzbiecie dzieci za parę groszy. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Gaetano zawsze był optymistą.

– *Co ty na to, jakbym kupił pizzę na kolację?*

Do szczęścia wystarczyły mu pizze. Te ciepłe, pachnące pudełka, rozmiękła szynka. A ona płakała każdej nocy.

Wszystko do niej wracało. Rodzice żyjący w separacji, od kiedy pamiętała. Matka w kostiumie kąpielowym i jej pytanie: *Na co się tak patrzysz?* Ona dostrzegła właśnie parę czarnych włosków wychodzących z trójkąta kostiumu bikini i już wiedziała, że nic w życiu nie jest takie, jak jej się wydawało, i że zawsze może się zdarzyć coś przykrego. Miała to do siebie, że zauważała to, na co nie powinna nawet patrzeć i, na dodatek, od razu wyobrażała sobie, co może się za tym kryć. I rzeczywiście, zawsze widziała jakąś ciemną chmurę, znajdowała zdechłego nietoperza, jak ten, którego zobaczyła w letnim domku nad morzem, gdzie został uwięziony poprzedniego lata. I nie dało się tego wyjaśnić, bo nie było żadnego wytłumaczenia.

Przypomniał jej się pewien spektakl teatralny. *Trzy siostry*. Trzy uwięzione ptaszki, trzy podstarzałe dziewczynki. Proscenium okrywał woal z przezroczystej gazy. Zrobiło to na niej ogromne wrażenie. Przez całe przedstawienie siedziała z uniesioną głową na sztywnej szyi. Przytłaczała ją ta ściana rozproszonego światła. Nie dotarła do niej ani jedna kwestia aktorów, patrzyła tylko na nich z otwartymi ustami, jak poruszali się za białym woalem, podobni do duchów, i czuła się, jakby piła źródlaną wodę.

Teraz już wiedziała, czego szukała przez całe życie. Niczego więcej jak tylko świata, w którym przebywała, zanim się urodziła. Byłoby lepiej, gdyby w nim została. Wolalaby nie widzieć włosów łonowych matki.

– *Na co się tak patrzysz?*

Patrzyła na kobietę leżącą na słońcu, na jej opalony brzuch i myślała, że to nie może być miejsce, w którym uformowało się jej ciało, w którym żyła przez kilka miesięcy.

Pewnego dnia przestała jeść i nie widziała w tym nic nienaturalnego. Po prostu odnalazła siebie taką, jaką chciała być. Biały woal, za którym widać tylko duszę. Czowała się żywa, niewiarygodnie żywa, choć znajdowała się w przedsionku śmierci.

Była wtedy naprawdę szczęśliwa. Pamięta to doskonale. Niewiarygodnie wręcz szczęśliwa. Miała nad sobą pełną kontrolę i nie wymagało to od niej żadnego wysiłku. Nie potrzebowała świata, jego barów i restauracji.

Matka kiedyś często zabierała ją do restauracji. *Zamów sobie coś. Jedz!* A potem kradła jedzenie z talerza córki. Fiamma była zawsze na diecie.

Teraz Delii wystarczyło jedno jabłko, żeby móc godzinami chodzić po mieście.

W tamtym czasie wszystko było proste. Jak zawsze, kiedy wchodzi się w uzależnienie, gdy zaczyna się wciągać kokainę czy zażywać amfetaminę. Poznała wtedy wielu współczesnych świętych, poszczących, nawiedzonych, mających fantastyczne chemiczne wizje. Ale do nikogo się nie zbliżyła.

Nie chciała się nikomu podporządkowywać. Pragnęła sama sobą rządzić. Jeżeli potrafi panować nad głodem, może panować nad wszystkim.

Budzić się rano z dziurą w brzuchu. Rejestrować każdy ruch we wnętrznościach. Doznawać przyjemności, gdy głód znika bez śladu, a ściany żołądka pozbawione śluzu zdają się przylegać do siebie, jakby to była zaszyta dziurka na guzik. I mieć przy tym mnóstwo energii pochodzącej wyłącznie z wewnętrznego źródła, z *psyche*.

To były szczęśliwe dni, czas oczekiwania, aż pod skórą pokażą się kości, jak kwiaty, które rankiem otwierają kielichy.

A potem utkwiała w tym na dobre. Całkiem tak samo jak narkomani.

Siły ją opuszczały, wszystko widziała zasypane prochem, szarym pyłem. Także jedzenie. Ale nie mogła zrobić nic innego, jak tylko brnąć dalej. I wymiotować żółcią.

Chciała przestać, a może tylko tak się okłamywała.

Często myślała o życiu. Obserwowała, jak żyją inni, przyglądała się normalnym dziewczętom, ich normalnym ciałom, pupom w dżinsach. Sama jednak była uwięziona w stadium spoczynkowym rozwoju, w świecie konających i mistyków z bandażami na ranach.

Przestała chodzić. Całymi dniami leżała w łóżku. Jej włosy były jak wełna w mysim kolorze, cera nabrała barwy skóry ekshumowanego trupa. Była prochem, który jeszcze trzyma się zespolony.

Delia przeprowadziła się do mieszkania, które wynajęły razem z Micol. Studiowała biologię, owady, gatunki mimetyczne. Odwiedzała ją tam czasem matka ze swoim partnerem (*Czy twoja córka jest lesbijką?*). Zawsze hałaśliwa, nietaktowna, nic nie rozumiała. Fiamma też musiała przebyć długą drogę, radziła

się specjalistów. Delia nigdy nie mówiła o jedzeniu, to było dla niej jak wzywianie diabła albo mówienie o włosach łonowych wymykających się z kostiumu bikini.

Prowadziła dzienniczek, w którym pisała o swoich problemach z odżywianiem.

Nie potrafimy rozmawiać. Słowa rodzą się gdzieś głęboko i pchają się na powierzchnię, ale pozostają pod nią jak ryby. Martwe ryby. Dusza jest bramą na morski cmentarz. Nie przechodź przez nią gołymi stopami, z opaloną skórą i kanapką w ręce. Nie banalizuj problemów swojej córki, tej istoty ludzkiej, która cierpi od dawna, a jej ból pochodzi z daleka. Nikt nie ponosi za to odpowiedzialności. Jesteś bez winy. Po prostu tak się stało.

Zbyt krucha, żeby żyć, zbyt silna, żeby umrzeć – taka była Delia w tamtych czasach.

Żałosne sceny w sklepach. Ubrania w dziecięcych rozmiarach. Spojrzenia sprzedawczyń.

Bolały ją kolana, jej ekskrementy wyglądały, jakby pochodziły od królików – twarde leśne jagody.

Wiele lat później Gaetano przesuwiał językiem po jej zębach nadzartych przez anoreksję.

– *Co jest?*

– *Wszystko mi się w tobie podoba.*

– *Czy powinnam założyć sobie licówki?*

– *Nie waż się!*

Także tego wieczoru z trudem połyka zupę. Staje jej w gardle, ziarenka ryżu zdają się kawałkami gipsu. Przełknięcie każdej łyżki kosztuje ją mnóstwo wysiłku. Ale wie, że musi to robić. Musi jeść.

Powoli, cierpliwie. Musi się odżywiać.

Ma dzieci i nie może sobie na to pozwolić. „To” budzi w niej strach największy z możliwych. Ponieważ nie ma nad tym kontroli. „To” daje ci uczucie, że panujesz nad wszystkim, ale w rzeczywistości nie panujesz nad niczym.

A ona należy do osób, które chcą mieć wszystko pod kontrolą.

Od kiedy ma dzieci, odkryła w sobie niesamowite zdolności organizacyjne. Potrafi robić wiele rzeczy naraz. Kiedy je planuje, zagryza policzek od środka i trzyma go między zębami przez dłuższą chwilę. Jakby naklejała Post-it z wypisanymi na nim zadaniami. Zrobiła jej się od tego blizna, w niej kryją się wszystkie jej zmartwienia.

Przestaje jeść zupę, zaciska zęby i zawiesza się na tym policzku.

– *Udało mi się jakoś urządzić. Robię zakupy... kupiłem odkurzacz, który praktycznie sprząta sam. Dlaczego nie kupiliśmy sobie nigdy takiego odkurzacza?*

– *Czy ja wiem...*

Gaetano potłuścił sobie brodę kotлетem. Delia ma ochotę podać mu serwetkę.

Wyrobiła w sobie taki odruch – bez zastanowienia czyści brudne buzie.

– Mieszkam w suterenie. Obrzydliwe miejsce...

– Wiem.

– Cosmo ci powiedział?

– Tak...

– Nicowi się podoba... Podobają mu się tapety i białe pajęczki. Miałem tam pełno roztoczy. Dlatego kupiłem odkurzacz.

Wypycha językiem policzek, najpierw z jednej, potem drugiej strony.

– Nie mogę tam długo zostać...

– Wytrzymaj sobie brodę.

Gaetano myśli o młodszym synku, o Nicu. Tęskni za nim. Kiedy ma go przy sobie, czuje się, jakby tulił się do niego szop pracz. Woził go często rowerem do parku, Nico zasypiał w siodełku. Jego włosy – myśli o jego włosach, gładkich, o rudawym odcieniu, podobnych do jego. Ale od jakiegoś czasu Delia nie pozwala mu zabierać dzieci, kiedy ma na to ochotę.

– *Nie możesz robić wszystkiego według własnego widzimisię.*

Sędzia wyznaczył mu dni spotkań z dziećmi. Umówili się na schodach Pałacu Sprawiedliwości tamtego fatalnego poranka, przed miesiącem. Wtedy widzieli się po raz ostatni. Było już ciepło, ale Delia miała na sobie tę swoją grubą kurtkę ze sztruksu. Tę, która zawsze wisiała w przedpokoju, przy drzwiach wyjściowych.

Sędzia był młody, ale już łysy, przypominał kurczaka na styropianowej tacce.

We wszystkim przyznawał rację Delii.

Ona nie chciała, żeby ojciec przychodził, kiedy ma na to ochotę, na pół godzinki, z jakimś prezentem albo paczką cukierków, po których dzieci nie chcą jeść kolacji.

– *Robią się nerwowe, dziwne, nie słuchają mnie.*

To zbyt proste: przyjsć, rzucić jakiś ochłap i pójsć sobie.

Kiedy byli jeszcze na etapie przejściowym, miał zwyczaj pojawiać się niespodziewanie. Dzwonił przez domofon.

– *Mogę wejść na górę?*

Najczęściej słuchawkę podnosił Cosmo.

– *Zapytaj mamę, czy mogę wejść.*

To był błąd. Nie powinno się mieszać do tego dzieci. Ale miał tak straszną ochotę poczuć ich zapach. Bo życie może zaprowadzić cię daleko, ale w końcu zawsze przyjdzie moment, kiedy znów znajdziesz się w tym samym miejscu. Zanim nacisnął dzwonek domofonu, chodził tam i z powrotem pod domem. *Może wyjdzie wyrzucić śmieci, złapię ją za łokieć, zapytam: „Co z nami będzie?”*

Pewnego razu próbował ją pocałować. Ona otworzyła już nawet usta. Ale ich

języki były twarde od złości, dwa średniowieczne miecze. Jak można się kochać z żelazem? Potrzebny byłby do tego jakiś cholerny Iron Man.

Uwielbiał jej język. Malutki, czerwony, łagodny i nadspodziewanie unerwiony i ukrwiony – tak samo jak ona cała.

Godziny pocałunków. W parkach, pod murami, jak nastolatki, gdy zaczynają penetrować nie swoje ciało. Dwa splecione z sobą ciepłe robaki, które ześlizgują się bezwolnie, w odrętwieniu. On wciskał się językiem w jej usta i tam już zostawał, poruszając nim jak kopyścią przy mieszaniu polenty. Kiedy go wyjmował, był rozplomieniony i cały wilgotny. Potężniał dzięki jej ślinie, nie był już jednym z wielu jak jeszcze tydzień wcześniej, bo ona właśnie jego pragnęła jak pijawka, jak roślina wyciągająca się do słońca. Pragnęła go, jak pragnie się wszystkiego, co jest niezbędne do życia.

Odrywali się od siebie na chwilę i patrzeli sobie w oczy szczęśliwi. Właściwie bez powodu. Tylko dlatego, że mogli spleść się językami. Potem kontynuowali tę pracę, dwoje spoconych robotników sklejących śliną fundament miłości.

Kiedy przestali się całować?

To ona jako pierwsza zaczęła lekko skrzywić usta, gdy w ciągu dnia próbował ich dotknąć wargami. Tak naprawdę działo się to zawsze wieczorem, bo reszta dnia mija niepostrzeżenie (nie wiadomo kiedy; po prostu mija) i zostaje tylko wieczór, żeby na siebie spojrzeć, żeby się do siebie zbliżyć.

Ona przygotowuje kolację, ty wyjmujesz serwetki z szuflady. Patrzysz na jej plecy i myślisz, ile z nią przeżyłeś, myślisz, że widziałeś, jak rodziła twojego syna. Dała ci tego małego człowieczka, takiego samego, jakim ty kiedyś byłeś. Płakałeś wtedy, bo pragnąłeś zacząć wszystko jeszcze raz od nowa, wtedy na pewno byłbyś całkiem inny i wszystko potoczyłoby się inaczej. Bez wątpienia lepiej. Bo należysz do innego pokolenia, pokolenia ludzi wrażliwych. Masz w genach błędy rodziców, ale na pewno byś ich nie powtórzył.

Możesz być pewny, synku, że ich nie powtórzę. Każdy myśli tak samo, gdy zostaje ojcem, ale wtedy te myśli były wyłącznie twoje.

Wraca do ciebie błysk wspomnienia tamtej nocy. Zbliżasz się więc do niej, żeby ją pocałować, chociaż widzisz, że ma na sobie ten sprany domowy T-shirt, a wyraz jej twarzy też nie zachęca do miłosnych wyznań. Na pewno nie tak jak w filmach. Ale tyle razy sobie powiedzieliście: *życie nas zżera, jednak w tych chwilach, które spędzamy sam na sam, idylla trwa nadal.* Bo zawsze można się zakochać na nowo. Niektóre pary uprawiają miłość do samej śmierci. Jesteś przekonany, że zawsze pozostanie ci jeszcze jakaś szansa. Podniosłeś książkę porzuconą przez Cosma i zbliżyłeś się do niej. Tylko że może zbyt gwałtownie przyciągnąłeś jej twarz do swojej i zabolą ją szyja. Poza tym była rozdrażniona. Nie lubi gotować, a musi to robić każdego wieczoru. Zobaczyłeś więc jej

skrzywione usta, grymas jak u kogoś, kto dostał udaru. *Oddaliliśmy się zaledwie o krok od młodości i już znaleźliśmy się tak daleko od siebie? Niech to szlag – pomyślałeś. I jeszcze: Trzeba nacieszyć się życiem, zanim ono cię wykantuje.*

Bo może pewnego dnia naprawdę dostaniesz apopleksji.

Gaetano czytał dużo książek o drugiej szansie w życiu. O ludziach, którzy wyszli ze strasznych katastrof i po raz pierwszy zdali sobie sprawę z istnienia na przykład motyli albo czegoś innego, równie banalnego.

Pracował kiedyś nad serialem telewizyjnym. Gównu rozwodnione tak, że wystarczyłoby na pięć odcinków. Potrzebował spokoju, ale nie potrafił go w sobie odnaleźć. Chciało mu się od tego rzygać. Czuł się, jakby był tym bezdomnym, chorym na zapalenie jąder, który chodzi czasem po parku. Wiąże sobie spodnie sznurkiem wysoko, prawie pod pachami, i wyraźnie widać spuchnięte genitalia. Wystawia je na pokaz, żeby przyciągnąć spojrzenia przechodniów i napluć im w oczy. Gaetano myśli o tej chorobie, o monstrualnie wielkich jądrach bezdomnego mężczyzny w dresie. Człowieka, który zerwał się z kotwicy i teraz pokazuje wszystkim swój ciężar – cierpienia, nieufności, nienawiści, pogardy. Zastanawia się, jak on by się zachował, gdyby miał jądra tak wielkie, że można by je wozić na taczce.

Gdyby potrafił, napisałby książkę i zamieścił w niej wszystkie te myśli i obrazy, które nosi w głowie. Chciałby w niej opowiedzieć historię faceta, który przemierzył ulicę, wszedł do parku i kompletnie zmienił tożsamość.

Tak, chciałby napisać coś takiego jak *Wszystko za życie* Krakauera, tylko w swojskiej scenerii. Akcja, zamiast w lasach Alaski, toczyłaby się na tle drzew przy via Salaria, anten na dachach i potoków deszczu spływających po ulicach.

Dlaczego ciągle pada?

To było jedno z pytań, jakie ostatnio często sobie zadawał. Miał już dość błota i szarości. Gdzie, do cholery, schowało się słońce?

Gaetano nie wierzy w życie pozagrobowe. Chce korzystać z tego, które jest teraz.

Lubi filmy o eutanazji, o ludziach, którzy w pewnym momencie mówią: nie, nie chcę już dłużej patrzeć, jak inni żyją.

To właśnie powiedział Delii, kiedy się rozstawali. Czuł się wtedy w ich wspólnym domu jak śmiertelnie chory człowiek.

– Pozwól mi zdechnąć w spokoju. Odłącz mnie od wszystkiego, pielęgniarcko.

To samo robią także tego wieczoru, siedząc w restauracyjnym ogródku, obsługiwani przez kelnerki w krótko obciętych dżinsach, z gołymi brzuchami. To znaczy patrzą, jak inni żyją, kompletnie opanowani przez negatywne emocje. Ale czy mogą być radośni po tym, co przeszli?

– *Moglibyście żyć w separacji, ale mieszkać razem.*

Usłyszeli to od Cosma tego dnia, gdy Gaetano ściągnął ze stołu obrus i cała kolacja znalazła się na podłodze.

Cosmo, z tą swoją twarzą małego mądrali, patrzył dłuższą chwilę na to dzieło zniszczenia.

Przypominał Berlusconi w Aquili zrujnowanej trzęsieniem ziemi.

Był gotów oddać im swój pokój. (Gaetano nieraz zasypiał w nim na dywanie w zielone żabki, między dwoma łóżeczkami).

– *Cosmo, co ty mówisz?!*

– *Tak powiedziała pani w szkole.*

Poszli razem na rozmowę z nauczycielką Cosma.

– Rzeczywiście, rozmawiam o tym z dziećmi w szkole. To jak najbardziej naturalne.

Ona też żyła w separacji z mężem. Dla poprawienia nastroju powiększyła sobie biust. Dwa balony wypychały jej bluzkę. Niech tatusiowie sobie popatrzą. Gaetano też zwrócił na nie uwagę. *Zaproszę ją na kawę, żeby porozmawiać o Cosmie.* Był ciekawy, jak działa na kobiety jego twarz mężczyzny po przejściach, z podkrążonymi oczami i rozwichrzonymi włosami. Pociągał go ten pomysł, wybitnie filmowy wątek. Wtulić głowę między te piersi jak u starletki porno, podczas gdy ona recytuje: *Nella torre il silenzio era già alto...*

– *Czy w szkołach uczą jeszcze o Pascolim?*

– *Nie, teraz uczą o Masajach i ich bieganiu na długich dystansach.*

Rozbawiło ich to. Śmiali się, żeby nie poddać się rozpacz. Śmiali się z siebie i z czasów, w których przyszło im żyć, liberalnych i chaotycznych.

Delia podnosi rękę i zakłada włosy za ucho. Dopiero teraz Gaetano zauważa, że zmieniła fryzurę. Przeniosła przedziałek ze środka na bok. Może dlatego, że ona sama też już nie jest w środku, przeniosła się na stronę samotności.

– Chcesz jeszcze wina?

Ona kładzie dłoń na kieliszku i potrząsa głową.

On pije.

Czoło Delii jest częściowo zasłonięte włosami, Gaetanowi kojarzy się to z teatralną kurtyną. Otwartą w połowie.

Kiedy był młody, chciał pisać sztuki. Zaczął bywać w środowisku teatralnym, pracował jako wolontariusz. Sceny alternatywne, kostiumy szyte z ubrań przyniesionych z domu, reżyserzy nawiedzeni i zawsze głodni, którzy nocami karmili się parówkami. Godzinami przesiadywał na ciemnych widowniach, w fotelach z plamami wilgoci i dziurami od papierosów. Był chłopakiem z peryferii, mieszkał tuż przy obwodnicy miasta. Kiedy przyjeżdżał na skuterze do centrum, jego twarz była cmentarzem muszek. Nowi znajomi wydawali mu się genialni. W tamtych czasach był wielkim idealistą, nienawidził telewizji i kraju, który dał się nią skazić. Myślał wtedy, że istnieje na to odtrutka. Że znajdzie się

ktoś, kto powie: *Ludzie, to wszystko nieprawda, to nas zaprowadzi w ślepy zaułek! Poddamy się smutkowi i zniechęceniu, młodzi ludzie zagubią się zupełnie. Nie będą chcieli połykać muszek, zamiast tego będą pielgrzymować do galerii handlowych na casting do Big Brothera.*

Ludzie teatru wydawali mu się najodpowiedniejszym towarzystwem. Mieli usta pełne słów, którymi sprawnie żonglowali, a w tamtych czasach Gaetano nie umiał mówić. Żył z zagrzebanymi głęboko myślami, których nie potrafił wyrazić. Uważał więc, że słowa są bardzo ważne.

Nowi znajomi pili wódkę litrami. Pewnego wieczoru aktor, który grał Torvalda, rozbił butelkę na twarzy innego aktora. Gaetano pomyślał wtedy, że ta scena była warta więcej niż cały spektakl. Nikomu o tym nie powiedział, ale tak właśnie pomyślał. *Ci ludzie nie mają żadnego celu.* Wtedy nie wiedział jeszcze, że sam skończy na produkowaniu szezki telewizyjnej i banalnych dialogów.

Delię boli żołądek. Chciałaby, żeby ta kolacja we dwoje, ta farsa wreszcie się skończyła. Nie mają sobie nic do powiedzenia. Wszystko już powiedzieli. Zwłaszcza ona zawsze dużo mówiła. Całe worki słów do wyrzucenia na śmietnik.

Pomalowała się na to spotkanie, włożyła sukienkę w zaciemnionym pokoju, patrząc przy tym na ulicę przez szpary w okiennicach. Ludzie wracali z pracy do domu. Dziewczyna ze studia paznokci naprzeciwko paliła papierosa oparta o szybę.

W mieście wyrosło mnóstwo takich zakładów. Delia wiele razy przechodziła przed przeszklonymi witrynami oświetlonymi o każdej porze dnia sztucznym światłem i widziała w środku kobiety podające ufnie swoje dłonie z rozwartymi palcami dziewczętom w białych fartuszkach, jakby to były wróżki, które mogą wskazać drogę do siebie samych.

Delia przygląda się swoim dłoniom na stoliku, są nagie, z przezroczystymi paznokciami, bez obrączki, nosi tylko malutki pierścionek z brylancikami, który dostała od ojca na osiemnaste urodziny.

Będzie musiała kiedyś wejść do jednego z nail barów, położyć ręce na blacie i patrzeć, jak się uzbierają w lakierowane szpony.

Mogłaby zacząć właśnie tak, od zewnętrznych atrybutów, żeby zmienić swój nazbyt introwertyczny charakter. Powinna otworzyć się na pokusy świata, zacząć się poddawać nowym modom, bo to pomogłoby jej się dostosować. Została z tyłu. Jest jedną z tych kobiet roztropnych i ostrożnych, które rodzą się we wszystkich czasach. Które żyją w swojej epoce bez sukcesu. Klasyczny przykład kobiecej nieokreśloności. Nienawidzi się za to, wie, że jest jakby odbita z matrycy.

Dzwoni komórka. Delia sięga do torebki, czyta: MAMA na błękitnym ekranie. Krzywi się lekko.

– Słucham.

Ale nie pozwala jej mówić.

– Podaj mi go. Cosmo? Co się stało?

Głos dziecka. Żaloszny i piskliwy, jakby ktoś ślizgał się na zardzewiałych łyżwach.

Gaetano nachyla się, żeby usłyszeć głos syna. Odchrząkuje. Teraz słychać krzyki Nica.

– Później o tym porozmawiamy. Idźcie do łóżka.

Gaetano podnosi rękę jak dzieci w szkole, ale Delia odkłada komórkę.

– Chciałem z nimi zamienić parę słów...

– O, przepraszam.

Nie powiedziała im, że ma się spotkać z ich ojcem. Nie chciała, żeby się łudzili nadzieją.

– Nie śpią jeszcze?

– To wina mojej matki.

– Jak ona się czuje?

– Przeżyje nas wszystkich.

– Mogłaś ją pozdrowić ode mnie.

Gaetano wie, że teściowa jest wściekła na niego, ale to minie. Zawsze się świetnie rozumie.

Babcia przyszła, żeby popilnować chłopców, wnosząc do mieszkania swą żywołość i zapach perfum. Ominęła spojrzeniem twarz córki. Rzadko patrzyły sobie w oczy. Unikały też dotyku. Ich rozmowy ograniczały się do codziennych spraw, zawsze w pośpiechu, skoncentrowane na konkretach.

Delia zostawiła gotową kolację, poleciła matce, żeby nie pozwoliła Nicowi otwierać zamrażalnika. Matka skinęła potakująco głową. Nigdy jej się nie sprzeciwia. Czeką, aż Delia wyjdzie z domu, a potem robi, co chce. Przyproawdziła swojego partnera, przyszywanego dziadka w jedwabnej, bordowej koszuli. Podstarzała para, która jeszcze uprawia seks. Odnoszą się do siebie serdecznie, żartują, dzieci ich lubią.

Dzieci lubią każdego, kto przychodzi do ich domu.

Czekają przy drzwiach, w piżamkach. Nico ssie język, jakby to był żelowy cukierek, Cosmo ma ten swój nowy tik, marszczy nosek jak chomik.

Czekają, aż ktoś przyjdzie.

Zjeżdżając windą, Delia pomyślała, że jej dzieci są ich więźniami. Stoją przy drzwiach w nadziei, że ktoś się w nich pojawi i poruszy wodę w zabagnionym stawie ich domu, na którym one unoszą się jak gumowe kaczki w wannie.

Fiamma próbowała wszystkiego, żeby zapobiec ich separacji.

Któregoś dnia złapała ją za rękę i ze łzami w oczach starała się ją odwieść od tego zamiaru. Delia pozwoliła jej mówić przez dłuższą chwilę (widok załamanej matki, jej łez spływających do ust, zrobił na niej pewne wrażenie).

Fiamma zaprosiła Gaetana na obiad. Wypowiadała zdania w rodzaju: *Delia jest kobietą fascynującą, skomplikowaną, inteligentną, trudną* i tak dalej, w tym

samym stylu. Jednocześnie napisy pod filmem komunikowały całkiem inną treść: *Przykro mi, że wydałam na świat taką dziwaczkę i że akurat ty musiałeś na nią trafić. Ale postaraj się wytrzymać!*

Serce matki.

Co najdziwniejsze, ostatnio Fiamma stała się Delii bliższa niż kiedykolwiek. Dlatego na przykład pożycza jej książki. Zależało im na wzajemnej akceptacji. Przeszły w tym celu długą drogę i mniej więcej im się to udało. Fiamma przestała się wtrącać. Zrozumiała, że to konieczne, jeżeli chce dalej widywać dzieci i odgrywać razem ze swoim partnerem rolę dziadków. Zdejmuje buty, wkłada gumowe chodaki z dziurkami, spina włosy klamrą. Dobrze sobie radzi z dziećmi. Klęka przy nich na dywanie, udaje psa. To niesamowite, jak ludzie mogą się zmienić.

Nie można się po niej spodziewać głębszych refleksji, ale Delii przestało to przeszkadzać. Ludzie są różni, i tyle. Teraz wręcz uważa to za dobrodziejstwo. Dzieciom odpowiada łatwość, z jaką babcia wzrusza ramionami na przykrości, jakby chciała odpędzić jakąś małą muszkę, która usiadła na nich na chwilę. Podoba im się jej sprawność w uspokajaniu burz lodami na patyku i fosforyzującymi naklejkami.

Może właśnie to jest potrzebne, żeby móc dalej żyć. Coś w rodzaju oczyszczalni, w której rozbijany jest osad, by nie pozostało nic twardego.

W ten sposób życie staje się lżejsze, a może i bardziej prawe.

Delia patrzy na parę starszych ludzi, mężczyzna wygląda na pogodnego człowieka. Jak na swój wiek ma bardzo muskularne ciało, typ sportowy, pewnie regularnie chodzi na korty.

Myśli o ojcu. O jego szklanym spojrzeniu, gdy nachodziła go depresja. A ta czekała zawsze w pobliżu. W jednej chwili jego dobrotliwe, pogodne oczy nieruchomiały i nabierały bolesnego wyrazu. Jego ojciec przeżył Auschwitz i syn odziedziczył jego koszmary, często śnił mu się obóz koncentracyjny, w którym nigdy nie postawił nogi.

Gaetano drapie się po powiece.

– Niech babcia kupi dzieciom tego psa.

– Tak, tylko psa mi brakuje.

– Będę go wyprowadzać na spacer.

– Kiedy? O trzeciej w nocy?

Jedynym zwierzątkiem, jakie kiedykolwiek mieli w domu, był chomik.

Piekielny hałas, jaki robił w nocy, budził Gaetana.

Za pierwszym razem, kiedy go usłyszał, bardzo się wystraszył.

Cholera jasna! Kogoś chyba opętało w tym domu! Poszedł zaraz do pokoju dzieci, pewny, że przynajmniej jeden z chłopców, jeżeli nie obaj, rzuca się w konwulsjach. Nic podobnego, dzieci spały spokojnie. To był ten parszywy

chomik. Nocami wspinał się na wyższą półkę w klatce, przyczepiał jak nietoperz do koła z drabinką i kręcił się na nim jak oszalały, powodując przy tym piekielny hałas.

Przez dwa lata żyli w takich warunkach, w towarzystwie wyjątkowo długowiecznego i kompletnie ześwirowanego chomika.

Cosmo często wypuszczał go z klatki. Piekielnik przegryzł kabel komputera Gaetana, wpadł do miski klozetowej, ale przeżył.

Aż pewnego dnia zachorował.

Siedzieli w kafeterii naprzeciwko Muzeum Sztuki Współczesnej. Był to jeden z ich niedzielnych poranków kulturalnych, które zwykle zaczynały się w stylu nowojorskim, a kończyły w momencie, gdy Nico łapał za element jakiejś artystycznej instalacji – stary sznur, włókno szklane czy tym podobne – i uruchamiał alarm.

Gaetana to śmieszyło, dla niego sztuka współczesna była prawie w całości jednym wielkim oszustwem, przedsięwzięciem czysto komercyjnym. Delia natomiast stała jak oczarowana przed ekranami z video-art.

Kłócili się przy barowym stoliku, bo Delia chciała ukarać Nica, a Gaetano kupił mu drugie ciastko z czekoladą i sarkał:

– W Danii dzieci mogą się brudzić, malować rękami, naprawdę uczestniczyć w sztuce... a tu... gówniany kraj!

Nico był jego bronią, małym kamikadze jego idiotycznych pomysłów, jego frustracji.

Delia zaczęła kartkować katalog wystawy. Było tam pewnie zdjęcie jakiegoś martwego zwierzaka, bo Cosmo, który siedział przy niej, zaczął mówić o chomiku. Przestał się kręcić w kole z drabinką.

– *Mamo, musimy go zawieźć do weterynarza.*

Gaetano ugryzł rogalik, który moczył w cappuccino, i z pełnymi ustami powiedział:

– *Chomików nie zawozi się do weterynarza. Chomiki kupuje się nowe.*

Cisza. Delia spojrzała na niego z taką miną, że jej twarz przywołała mu na myśl któryś z tych jej video performance'ów.

– *Co ty powiedziałeś?*

– *Wizyta u weterynarza kosztuje pięćdziesiąt euro, nowy chomik – osiem.*

Uśmiechnął się, był zadowolony z tej riposty. Za zgrabny *bon mot* oddałby wiele. Zresztą na tym polegała jego praca scenarzysty. Sądził, że ją też to rozbawi.

– *Przecież sama mówisz, że musimy oszczędzać. Mama zawsze tak mówi, prawda, Nico?*

Nico wybuchnął śmiechem, którym zwykle wszystkich rozweselał. Chomik miał z nim ciężkie życie. Nico ścisnął go zbyt mocno, łapał za ogon, tak jak to robił ze swymi pluszakami, żeby je potem cisnąć w kącie (zmienny w uczuciach, całkiem

jak jego ojciec). Nie miał jeszcze trzech lat, nie wiedział, że życie może się nagle przerwać.

Ale Gaetano powinien o tym wiedzieć. Cosmo kochał chomika, wychodził z nim na spacer, nosił go w skarpetce.

Gaetano patrzył na poszarzałą nagle twarz syna obok twarzy matki.

– *Żartowałem! Co jest, nie można już nawet pożartować?*

Stało się. Byli podzieleni na dwie wrogie drużyny. On i Nico po jednej stronie i tych dwoje smutasów po drugiej. To chyba wtedy nastąpił pierwszy podział w ich rodzinie. Rozpoczęli bezsensowną rozmowę.

– *Przecież to tylko zwykły, mały gryzoń.*

– *Dla niego to coś o wiele ważniejszego.*

– *Chomik to chomik. Śmierć chomika nie jest żadną tragedią. Tragedią jest śmierć ojca, matki czy brata...*

– *Naprawdę nie rozumiem, jak możesz tak mówić. Co ty właściwie masz w tej głowie?*

– *Robisz z niego dziwaka, wszystko wyolbrzymiasz, nie pokazujesz mu rzeczywistości takiej, jaka jest naprawdę.*

– *On sam widzi rzeczywistość.*

– *Lepiej powiedzieć mu, że nie można ocalić od śmierci chomika, że nikt nie podłączy go do kroplówki jak dziadka w szpitalu.*

– *Zamknij się.*

– *Nikt nie ocali od śmierci tego cholernego chomika.*

– *I w ten sposób chłopcy nauczą się miłości?*

– *W ten sposób nauczą się żyć.*

– *To ciebie nikt nie ocali, Gaetano... Kiedy to aż tak zgłupiałeś?*

Oni byli inni.

Różnili się od wszystkich tych perfekcjonistów, par spacerujących z podwójnym wózkiem, ze specjalnym pudełeczkiem na smoczek. Ile starań, żeby uniknąć potknięć, dzięki którym ludzie stają się bardziej prawdziwi!

Nie chcieli *przeżyć*. Chcieli się rozwijać i chcieli to robić razem. Dlatego założyli rodzinę. Jedynym sposobem na życie wydawała im się niepewność. Uczucie, że ich dramat jest komedią.

Obserwowali innych ludzi, jakby siedzieli na widowni teatru. Rejestrowali obrazy, relacje między nimi, sceny z codziennego życia.

Delia karmiła dzieci piersią w parkach. Wieczorami w domu leżeli czasem na podłodze, jedno obok drugiego, jak trupy. Było gorąco. *Położ się obok mnie, na podłodze jest chłodniej. Jak się teraz czujesz, kochanie? Co o mnie myślisz? Co myślisz o świecie? Będziemy umieli żyć na tej chorej planecie? A nasze dzieci?*

Otwierali wiele drzwi.

Delia otwierała je przed Gaetanem. Robiła zaskakujące obserwacje. Ale

często wystarczała jej cisza. Ich serca też były otwarte. Cierpieli z najróżniejszych powodów. Złe wiadomości ze świata wnikały do ich domu jak osobista żaloba. *Ludzie są tacy samotni* – ileż razy dochodzili do takiej konkluzji. Anonimowe twarze na tle brudnego plastyku wiat na przystankach.

Często mieli wyrzuty sumienia, na przykład gdy nastawiali wodę na makaron. Delia wypisywała przekazy pocztowe, żeby ocalić jakąś cząsteczkę świata.

Oni nigdy nie zamkną drzwi jak wiele martwych już za życia młodych par. Ludzi, którzy z dnia na dzień stali się bardziej skąpi i zawistni niż ich rodzice. Ludzi jak Pier i Lavinia czy Sebastiano i Daniela.

Czasem spędzali z nimi wieczory. Proszone kolacje, gry towarzyskie. Sebastiano sprzedawał żonę, elfa Gilraden, żeby stać się wielkim wodzem Hordy w grze *World of Warcraft*. Do domu wracali przygnębieni.

– *Może to my jesteście nienormalni.*

Lepiej zdechnąć niż żyć w ten sposób. Pier rozpaczał nad globalnym ociepleniem, po czym przypinał narty na bagażnik swojego diesla. Być może zawsze byli tacy, tylko oni tego nie zauważyli. Naturalny etap po fazie *rave parties* i swobody w stylu *Tańczącego z wilkami*. Jakby byli ulepiani z masy plastycznej, która się utwardziła, żeby przetrwać kryzys gospodarczy. Być może oni różnili się od tamtych tylko tym, że byli bardziej zdesperowani. A desperacja czyni człowieka bardziej ludzkim. Ale nie uczy go żyć. To samo, co łączy ludzi i wznosi ich na wyższe poziomy, może w każdej chwili sprawić, że się rozejdą i każdy pójdzie w swoją stronę.

Nigdy nie pojechali zimą na narty. Parę razy wybrali się do Abruzji na jeden dzień, żeby pokazać chłopcom śnieg. Gaetano sadzał ich sobie na ramiona i kroczył jak ciężki niedźwiedź. Mokre jeansy. Żółta kałuża siuszków na lodzie. Bywało, że później dostawali gorączki – ze słońca, z zimna, z całej tej bieli.

Wspaniale było czuć się innymi niż wszyscy. Nie przypuszczali, że zostaną tak osamotnieni, wyizolowani.

Gaetano zapisał sobie kiedyś w komputerze cytat z Dürrenmatta: *To, co mieliśmy do powiedzenia na tym świecie, poniosło fiasko.*

Mało zachęcające dla kogoś, kto pragnie zostać pisarzem.

Delia chciała się wyprowadzić z miasta.

Przez jakiś czas szukali z Gaetanem starego domu nadającego się do remontu. Trafili na nieczynny młyn w okolicy Orvieto. Nie potrafi o nim zapomnieć. Stracona okazja. Zbyt długo odkładali decyzję. W Delii budził obawy strumyk płynący w pobliżu, Cosmo był wtedy malutki, ale już bardzo samodzielny. Poza tym wkrótce miał się urodzić Nico. No i to oddalenie od miasta...

Jeździli tam wiele razy. Teren nie był ogrodzony, można było wejść, pooglądać wszystko dokładnie, zjeść kanapki na trawie. Przy młynie rosła wiśnia.

Widzieli, jak zakwitła, potem zdążyli jeszcze dotknąć małych, zielonych owoców. Kiedy się zdecydowali, okazało się, że młyn kupiła pewna rodzina z Holandii, która przyjechała na weekend. Poczuli się, jakby ktoś podciął im od tyłu kolana.

– *Znajdziemy coś innego.*

Ale już nawet nie szukali. Czy rozsądnie jest grzebać się żywcem na odludziu, gdy ma się trzydzieści lat? Uciec od cywilizacji kulawych gołębi. Gaetano był scenarzystą i czerpał inspirację z brzydoty miasta. Poza tym lubili spędzać wieczory poza domem (a przynajmniej chcieli wierzyć, że to jest możliwe), chodzić do kina czy na wystawy sztuki i w mieście mogli liczyć od czasu do czasu na dziadków albo na studentkę filozofii z pierwszego piętra.

A potem, kiedy zaczęło się psuć między nimi, stwierdzili, że dobrze się stało. Gdyby zamieszkali wtedy w młynie, ich życie zmieniłoby się w prawdziwe piekło. Dokąd Gaetano uciekałby nocami? Jak Delia poradziłaby sobie sama w odosobnionym miejscu, gdzie zimą od rzeki podnosiła się mgła gęsta jak zasłona dymna?

Miasto ma swoje sposoby, żeby cię zahipnotyzować, ponieść jak jego autobusy. Możesz się ukryć wśród ludzi podobnie jak ty godnych pożalowania. Możesz się w każdej chwili zatrzymać przed oświetloną wystawą sklepową.

Nie warto żałować straconych okazji. Nigdy się nie dowiesz, czy ocalałeś się od śmierci, czy też straciłeś prawdziwe życie.

Być może mieszkając w młynie, nienawidziliby się i dręczyli jeszcze bardziej. A może przeciwnie, cisza ocaliłaby ich i mogliby być po prostu takimi, jacy są.

To właśnie zabolalo ich najbardziej – że stracili tę szansę. I to właśnie ich łączy jeszcze teraz, w tej restauracji przy ulicy.

Byli tylko aktorami kolejnej marnie odegranej repliki spektaklu pantomimy.

W rzeczywistości wcale nie różnili się tak bardzo od innych.

Jak gdyby cierpienie, wystąpiwszy z brzegów, mogło się przeobrazić jedynie w głupotę. Utarczki słowne, pretensje i docinki na przerażająco niskim poziomie. On nie podnosił deski klozetowej do sikania, ona siadała na mokrym sedesie. To wystarczyło, żeby znienawidzić życie.

W jakiś sposób to właśnie miasto ich zabiło. Delia czasem o tym myśli. Ten mizerny park w sąsiedztwie, to małe mieszkanie. Spacer z dziećmi w wózku tuż przy rurach wydechowych samochodów.

Codzienna walka o iluzje, o rzeczy, które wydają się niezbędne do życia. Wszyscy ci ludzie, do których i oni należeli, w nieustannym, nieokreślonym ruchu. Tasiemiec, który żeruje w niezakłóconym spokoju.

Gaetano widział wszystko innymi oczami – rozgorączkowanymi oczami frustrata. Szamotał się i miotał. Walczył, jak umiał.

Jak można pozostać sobą, kiedy spędza się życie w trybie *stand by*,

w oczekiwaniu na znak aprobaty? Siłą rzeczy coś w człowieku się zmienia.

Starasz się upodobnić do innych, do tych, którym mniej więcej się udało. Pogodziłeś się z tym, że musisz obniżyć swoje aspiracje. Chcesz już tylko mieć trochę pieniędzy w kieszeni, zarobić na utrzymanie rodziny. Nie jesteś beztroskim chłopcem, masz dzieci, które musisz posyłać do szkoły. A kiedy wieczorem zdarza ci się za dużo wypić, rano cierpisz na hemoroidy. Nie możesz sobie pozwolić na brak rozsądku. Nie chcesz dopuścić do tego, żeby utrzymywała cię żona.

Gaetano uważał, że zasługuje na coś więcej, że ma do tego prawo. Pisał w bawialni, ubrany w same spodenki, z Nikiem na kolanach. Uroczy obrazek. Ale wystarczyło, że Nico dotknął klawisza komputera, a w jednej chwili stawał się kimś innym. Mężczyzną zdesperowanym.

– *Do jasnej cholery! Muszę to jak najszybciej skończyć!*

Prawie wybuchał płaczem. Zdarzało mu się strącać filiżanki na podłogę, rwać włosy z głowy.

Nigdy nie można wiedzieć, ile głupiego lęku tkwi w człowieku, do jakiego stopnia jest pozbawiony talentu do życia. Delia obserwowała go i wyciągała gorzkie wnioski. Podnosiła filiżanki z podłogi, ale nie potrafiła wybaczyć.

Z powodu niej i dzieci wszedł w świat oper mydlanych, filmów biograficznych o świętych i seriali kryminalnych.

I oto rezultat – nieźrównoważony frustrat, który daje z siebie wszystko poza domem, przed reżyserami i producentami telewizyjnymi. Potem wraca do nich wyciśnięty jak cytryna, przepelniony niechęcią do świata.

Delia nie kryła swego rozgoryczenia.

– *Dla nas zostaje to, co najgorsze. Idź sobie pisać gdzie indziej. Zostaw nas w spokoju.*

Pierwsze prawdziwe pieniądze, które zarobił, rozsypali na deskach parkietu. Nie mogli uwierzyć, że nareszcie mogą trochę odetchnąć. Zaczęli widzieć dobre strony życia w mieście, po raz pierwszy poszli do restauracji.

Gaetano zamówił karczochy *alla romana*. Delia czuje zapach mięty i smażonego czosnku.

– Pojechałaś kiedyś potem do Orvieto?

– Nie, myślę, że już zawsze będę omijać to miejsce.

Gaetano moczy w oliwie kawałek chleba.

Delia miała jechać do Orvieto tamtego popołudnia przed dwoma tygodniami. To była pierwsza sobota czerwca, piękny, słoneczny dzień.

Razem z przyjaciółką, Grazią, zamierzały usiąść w winiarni, w tej z drewnianymi stołami w kształcie zwierząt, i zamówić aperitif. Wyszłyby stamtąd na lekkim rauszu i spacerowałyby potem spocone w ciszy murów z tufu. Doszłyby do katedry. Wystarczyło usiąść i patrzeć na nią, żeby poczuć się lepiej. Mogłyby powiedzieć sobie: *ludzie potrafili skonstruować nieskończoność. A my wyszliśmy*

za mąż za dwóch drani. Ale cóż, trudno... Grazia też miała męża, na którym nie mogła polegać. Ale przynajmniej był bogaty. Mieszkała w pięknej willi i ubierała się w żakiety z miękkiego zamszu.

Może w Orvieto szukają dietetyczki?

Teraz, kiedy byli w separacji, całkiem poważnie myślała o tym, żeby odciąć się od swego dawnego życia. Odprowadzać dzieci pieszo do szkoły, czytać gazety przyczepione do drewnianych drążków w barze z czekoladą. Słuchać jazzu zimą, tańczyć z dziećmi na ulicy.

Włożyła swoją ulubioną bluzkę z białej gazy. Z obawy, że zżółknie, nigdy nie suszyła jej na słońcu.

Dzieci były gotowe. Nico leżał na dywanie i rozmawiał z czerwonym Power Rangersem, którego dostał od ojca.

Delia myśli o tym popołudniu.

Dzieci siedzą na podłodze i czekają na ojca. Ona zaczyna się denerwować, zdjęła gumkę z włosów, rozwichrza je, drapie się po głowie. Chodzi między łazienką a oknem w bawialni. Obserwuje ulicę. Jeszcze trochę i spóźni się na pociąg.

– *Mamo, tata już nie przyjdzie?*

– *Jasne, że przyjdzie.*

Gdzie jesteś, ty skurwysynu? Gdzie się podziewasz?

– *Chodźcie, poczekamy na niego na dole.*

Ciągnie dzieci.

– *Pospieszcie się.*

Łapie za torebkę, zatrząskuje drzwi, wpycha chłopców do windy. Chciała dojść do stacji pieszo, to niedaleko. Dlatego włożyła buty sportowe. Liczyła na miłą przechadzkę, chciała głębiej odetchnąć, mieć trochę czasu dla siebie, usiąść spokojnie w pociągu długo przed odjazdem, popatrzeć na peron, na brudne ławki, obsikane kolumny, rozlane piwo. Przedsmak podróży, jazdy pociągiem, która oderwie ją od miasta, od skurczów żołądka i całej reszty.

Potrzebowała kontaktu z naturą. Tego najbardziej ekscytującego koloru, jakim jest zieleń. Drzew, liści na ich wierzchołkach. Życia poruszanego wiatrem.

Tymczasem stoi na ulicy przed domem, przy bramie, zza której obserwuje ją dozorca, chudy Hindus z wystającym brzuchem, wypychającym bluzę, podróbkę Ralpa Laurena w obrzydliwym odcieniu zieleni. Wstrętny typ ożeniony z księżniczką, która myje schody i opiekuje się dziećmi, podczas gdy on pije i przesiaduje w swojej kanciapie obok pralni, śledząc w telewizji zakłady bukmacherskie w wyścigach konnych. Patrzy na nią tymi samymi wilgotnymi oczami maniaka, które wlepia w biegnące konie na ekranie. *Czego się gapisz, cholerny hinduski szowinisto?*

– *Czy czegoś potrzeba, lady?*

– *Nic nie potrzeba, dziękuję.*

Nico podbiegł do jego nóg, bo Hindus wykrzywia się do niego zabawnie. Podbiegł do tego wstrętnego typu, bo dzieci są jak psy, biegną do każdego.

– *Nico, chodź tutaj.*

Bierze go na ręce, udaje, że się z nim bawi. Nie ma zaufania do tego Hindusa. Nie ufa nikomu, jak wszystkie matki w tych czasach.

Cosmo jest zmęczony, słońce uderza w jego głowę jak laser. Siada na schodkach w wejściu do baru. Delia szarpie go, ciągnie do góry za rękę.

– *Wstań. Tu jest brudno i ludzie muszą przechodzić.*

– *Kiedy tata przyjdzie?*

Młodszy synek ziewa, może już zapomniał, że mieli jechać nad morze. Ale starszy, podobnie jak matka, nie spuszcza wzroku z ulicy. Stara się wypatrzeć ten jeden jedyny samochód wśród wszystkich innych.

Delia nie bierze pod uwagę, że Gaetano mógł mieć wypadek, nie niepokoi się: *może mu się coś stało*. Nie obchodzi ją, czy coś mu się stało. W głowie buzuje jej ta sama myśl co teraz, gdy siedzi w restauracyjnym ogródku: *Ty łajdaku, zniszczyłeś mi życie. I zepsułeś mi także ten dzień*.

Bluzka z gazy przylepiła jej się do spoconych pleców, po dzieciach też widać, że mają dość.

– *Mamo, wracajmy do domu.*

– *Stój prosto!*

Kiedy Cosmo na nowo siada na schodach, nie każe mu wstać. Jest bliska płaczu – ze złości, z powodu gorąca, z powodu wszystkiego. Na szczęście ma ciemne okulary.

Jeszcze raz próbuje się połączyć z Gaetanem, ale jego komórka jest wyłączona, słychać tylko głos nagrany na automat. Ten nienawistny głos, głęboki i beznamiętny, wymodulowany pod reżyserów i producentów telewizyjnych.

Intercity już odjechał, mogłaby jeszcze ewentualnie zdążyć na regionalny, ale jest za późno, żeby dzwonić po matkę. Zresztą nie ma jej w domu (dopiero teraz to sobie przypomniła), pojechała na wycieczkę z klubu kajakarskiego. Będą pływać po lagunie Orbetello. Kajak w wieku sześćdziesięciu lat – oto cała Fiamma. Wyrobiła sobie bary. Wiosłuje każdego ranka po Tybrze z grupą podobnych do niej wariatek. Godzinami siedzi w wilgoci, w kamizelce ratunkowej. Mówi, że widziała mnóstwo niezwykłych ptaków, dzikich kaczek. Delia ostrzegała ją: *uważaj na szczury*. I teraz wyobraża sobie matkę pod wodą i szczury, które obgryzają jej oczy i wargi napompowane w gabinecie estetyki.

Nico skarży się, że jest głodny i chce mu się pić. Kupuje mu loda w rożku, mały zjada go, siedząc na schodkach. Przestała się czymkolwiek przejmować. Ludzie przestępują jej dzieci, żeby wejść do baru.

Delia patrzy na chłopców, na ich umorusane, spocone buzie i poplamione

bluzki. Nico ma czarne kolana, bo klękał na chodniku. Wyglądają jak biedne dzieci, jak dzieci tej żebraczki, która stoi zawsze przed wejściem do supermarketu. Jej synowie naprawdę są biedni. W tej chwili nikt chyba naprawdę ich nie kocha. Cholera wie, gdzie się podział ich ojciec.

Nagle zabłysło jej w głowie: *A co by było, gdybym sobie poszła? Zostawiła ich samych? Niech czekają na tatusia.* Kiedy wreszcie przyjdzie po nich w nocy, bar będzie zamknięty, a oni będą siedzieli na schodkach w posikanych spodenkach. Molestowani przez Hindusa.

Wystarczy. Tak się kończy człowieczeństwo.

Cosmo musi zrobić kupę, powstrzymuje ją od dłuższej chwili, ale teraz mówi, że mu wychodzi. Trzyma się za pupę.

– *Nie mogłeś zrobić w domu?*

Podnosi go i ciągnie za rękę do baru. Mołdawiankę, która stoi za kasą przy kuponach ze zdrapkami, prosi o klucz do toalety.

Właśnie tam się to stało, w brudnej ubikacji używanej przez dorosłych, może także przez narkomanów. Podczas gdy trzyma Cosma nad sedesem, żeby go nie dotknął, i jednocześnie jedną nogą przytrzymuje drzwi, żeby się nie zamknęły, a drugą stara się zatrzymać Nica wyciągającego rączkę do szczotki klozetowej, Cosmo mówi: *już mi przeszło, nie umiem tak zrobić kupy.* Wtedy ona zaczyna nim potrząsać z furją, nie może opanować drżenia nóg i ramion.

– *Co?! Jak to przeszło?!*

W tym momencie okulary Cosma spadły na podłogę i Delia pomyślała: *Cholera jasna! Tylko tego brakowało! Teraz będziemy musieli kupić nowe okulary temu przebrzydłemu ślepakowi, co zamiast szanować oczy, ślęczy bez przerwy nad książkami.* Nie posiadając się ze złości, szarpnęła go za włosy. Głowa Cosma uderzyła w porysowane drewniane drzwi.

– *Masz nauczkę, na przyszły raz będziesz uważać.*

Wrócili do domu. Dzwonił telefon, ale nie zdążyła odebrać. Nieważne. Zwolniła ruchy. Czuła się bardzo zmęczona. Cosmo zdjął okulary i włożył je starannie do plastikowego futerału. Potarł swoje niewiarygodnie piękne oczy krótkowidza z gęstymi, podwiniętymi rzęsami. Delia poszła do łazienki. Nie musiała nawet wkładać palca do gardła, żeby zwymiotować.

Patrzy na Gaetana. Skończył jeść karczocha. Wygląda na zadowolonego.

– Co teraz piszesz?

– Ciekawą historię z mnóstwem zwrotów akcji.

– Na której stronie zamieściłeś pierwszy *turning point*?

Robi sobie z niego jaja, ale Gaetano uśmiecha się.

– Na dwudziestej piątej, mniej więcej.

– Należy trzymać się ustalonych reguł, prawda?

– To jest wskazane. Trzeba skonstruować coś w rodzaju klatki i potem

swobodnie się w niej poruszać.

– Czy to jest klatka w odcinkach?

– Nie, to film dla kin.

– Pisziesz scenariusz do filmu?

– Tak.

– A więc udało ci się. Należysz do tej grupy uprzywilejowanych ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na tworzenie sztuki.

– W tym, co robię, nie ma sztuki. Co mi bardzo ciąży.

– To tego nie rób.

– Muszę ci przecież dawać pieniądze, nie?

– Daj lepiej więcej czasu swoim dzieciom. Zwłaszcza kiedy czekają na ciebie.

Gaetano schyla głowę. Poczuł w gardle czosnek, który dopiero co przełknął. Oto *turning point* tego wieczoru. Teraz zacznie go masakrować.

To z powodu tego cholernego filmu nie przyjechał wtedy po chłopców. Umówili się wcześniej. Był taki szczęśliwy, dokładnie zaplanował cały dzień. Mieli się bawić na plaży przy samej wodzie, mieli razem zjeść kolację. I nie musiałyby ich odwozić jak zwykle na noc do domu. Dwa smutne tobołki w samochodzie. Jak gdyby nie był ich ojcem, ale jakimś porywaczem (sędziowie zdają się mieć wszystkich ojców za potencjalnych porywaczy). Nareszcie mogliby spać razem, ubrudzeni piaskiem. Pierwsza, czerwcową kąpiel. Nie mógł się doczekać, żeby popływać w morzu z Nikiem, zwłaszcza z Nikiem, przytulonym do jego pleców. Śniło mu się to po nocach – on i Nico razem w wodzie.

Cosmo miał charakter odkrywcy, z zestawem survivalowym w oczach. Podczas gdy Nico... Gaetano obawiał się, że Nico szybko go zapomni. Jest jeszcze mały. Trudno powiedzieć, jakie poczucie czasu mają takie małe dzieci. Jak długi jest dla nich dzień, ile trwa tydzień. Gaetano potrzebuje Nica, bo jest do niego podobny. Od razu to zauważył, jak tylko pokazał się między udami Delii i kiedy, jeszcze brudnego, wziął go na ręce. I potem, kiedy pielęgniarki myły go, trzymając za nogi, kiedy wysysały z niego tę jasną, tłustą ciecz przypominającą serwatkę. Widział, jak się rusza, widział, jaki jest bezbronny, i od razu pomyślał: *to moje dziecko*.

Cosmo był dzieckiem Delii. To samo ciało. I charakter, chociaż może jest jeszcze za wcześnie, żeby przykleić im etykiety jak na słoikach z dżemem.

Nico był jego. Nikt nie mógłby temu zaprzeczyć. Tak bardzo chciał go przytulić w wodzie, rozśmieszać, nosić na barkach.

Ale już dzień wcześniej zaczął się obawiać, że jego plany mogą się nie powieść. Reżyser zadzwonił o trzeciej w nocy.

– *Śpisz?*

Powiedział to ochryłym szeptem, jakby był wampirem i rozglądał się

właśnie za szyją, w którą mógłby się wessać. *Jasne, śpisz sobie i nic cię nie obchodzi mój nowy film, moje pragnienie krwi.*

Gaetano dopiero co zasnął, był nagi i spocony, podobny do grubej kielbasy. Przed snem odbył krwawą walkę z tygrysimi komarami okupującymi suterene przy viale Somalia. Reżyser przechadzał się właśnie po ciemnych uliczkach swojej dzielnicy, gdzie na pewno panował większy chłód. Biała koszula, szczupły tors, ciemne wargi. Nosił rozwichrzoną fryzurę i markowe ciuchy jak wszystkie wampiry. Był z czegoś niezadowolony (co zresztą było stanem permanentnym u tego nieszczęśliwego twardziela). Ale nic w tym dziwnego, bo to on był Twórcą, a twórcy powinni być ponurzy i niezadowoleni oraz gburowaci w stosunku do swoich współpracowników, w przeciwnym razie ktoś mógłby ich wziąć za zwykłych reżyserów telewizyjnych. Twórca musi nosić na swoich barkach cały ciężar zgnilizny społecznej. Gdyby zostawił choćby małą jego część komuś innemu, ryzykowałby, że tamten zostanie obsypany nagrodami zamiast niego. Nie może się objadać smażonymi kalmarami i tiramisu w jakiejś restauracji w Fiumicino, musi manifestować umiar. Pozory lewicowych przekonań. Ci, którzy z nim pracują, nie wiedzą, że go nienawidzą (bo są nasiąknięci ideologią), ale czują, że zostali oszukani. Symptomami są przewlekłe zapalenie żołądka i nałóg palenia wymykający się spod kontroli (reżyser rzucił palenie; przez kilka miesięcy ssał jeszcze cygara, teraz chodzi na basen). Ale gdyby przez jakiś czas pożyli w świecie bez recenzji i platform i gdyby odrodził się w nich choć cień naturalnego instynktu, zawlekliby go do groty w rodzaju tych z filmu *Indiana Jones* i zostawili tam na pożarcie nietoperzom i skorpionom. Patrzyliby, jak zdycha, i nawet nie drgnęłyby im przy tym powieka. Ale żyją w Rzymie, w Wiecznym Mieście Kinematografii, gdzie instynkt zachowali już tylko Rumuni czekający co rano przed magazynami materiałów budowlanych, w nadziei, że zatrzyma się jakiś samochód i weźmie ich do pracy za dniówkę.

Gaetano tamtej nocy słuchał, co reżyser miał mu do powiedzenia, i czuł, jak wampirze kły wgryzają się w słuchawkę. Cały trzeci akt scenariusza trzeba koniecznie przerobić. A potem to fatalne, złowróżbne zdanie: *Mam wrażenie, że źle posialiśmy...* Praktycznie trzeba było rozpocząć wszystko od nowa. A była to już piąta wersja scenariusza.

– *Dobrze. Jutro zabierzemy się poważnie do pracy.*

Właściwie jest zadowolony, że to nie on jest Twórcą. Nie ma ani odpowiednich narzędzi, ani skłonności do poddawania życia bezkrwawej wiwisekcji ostrym skalpelem.

On jest ścianą nośną. Tym, który wszystko porządkuje, nasącza atramentem nocne fantazje, *ghostwriterem*. Widmem, które paradoksalnie ukonkretnia idee, nadaje pomysłom formę, doprowadza je do postaci zadrukowanego papieru. Nie miał nic przeciwko temu, podobała mu się ta drugoplanowa postać, była bardzo

literacka.

Gaetano lubił, kiedy przychodziły mu do głowy dobre pomysły i kiedy potem inni go z nich okradali.

W wolnym czasie uprawiał boks. W znoszonym dresie, w klubie usytuowanym w starej części miasta. Inne wcielenie tej samej literackiej postaci.

To był jego sposób na odzyskanie równowagi. W ciągu dnia reżyser używał go jako worka bokserskiego, wieczorem Gaetano się odgrywał. W filmowych czołówkach jego nazwisko pojawiała się po słowach: WE WSPÓŁPRACY Z...

Spotkali się następnego dnia. O późnej godzinie, bo reżyser po nocach spędzanych na rodzeniu poronionych pomysłów późno wracał do życia.

Tymczasem Gaetano obudził się wczesnym rankiem po prawie nieprzespanej nocy i od razu zabrał się do szkicowania nowych rozwiązań. Parę z nich uznał za wcale niezłe. Bardzo nihilistyczne i dostatecznie zaskakujące. Miał nadzieję, że szybko sobie poradzi z przeróbką.

Umówili się, że weekendy będzie miał wolne. Przede wszystkim po to, żeby dojrzały w nim pomysły na cały następny tydzień. Ale tym razem wyglądało na to, że zarówno on, jak i dwaj inni masochiści odpowiedzialni za scenariusze, Saverio i Luca, muszą się zgodzić na odstępstwo od tych ustaleń.

Gaetano włożył do plecaka stary, wypłowiały kostium kąpielowy razem z kartkami scenariusza.

Myślał o synach. Byli bardzo podekscytowani perspektywą wycieczki nad morze. Miał wiele pomysłów na ten dzień. Obawa, że mógłby nie móc ich zrealizować, dopingowała go do szybszej pracy. Czuł się pełen energii.

Ale wczesnym popołudniem prawie cała energia zniknęła. Reżyser skrytykował wszystkie jego propozycje. Nie zaczął krzyczeć, ale tak było jeszcze gorzej. Śaczył jad sarkazmu. Nagle stał się defetystą. Miał dość swego życia i swoich scenarzystów tak samo jak dziwka aborcji.

Spoglądał na swatcha, który zdjął z ręki, na cyferblat i czarne plastikowe wskazówki, jak człowiek, który wie, że zaraz umrze, i liczy sekundy dzielące go od nicości.

Scena filmu, nad którą pracowali, rozgrywała się zimą. Padał deszcz, ulewa już od paru godzin moczyła bohaterów unieruchomionych w jednym miejscu. Tymczasem u nich przez okno wdzierał się upał i smród spalin samochodów, które uciekały z miasta. To było sobotnie popołudnie, do jasnej cholery!

Gaetano myślał o morzu, o tym, jak łowiłby Nica w wodzie i podrzucał pod niebo wśród bryzgów srebrnych jak w fontannie.

Inni dwaj scenarzyści wyszli parę razy na papierosa, używając wymyślonych na poczekaniu pretekstów, jak uczniaki w szkole.

– *Przepraszam na chwilę, muszę się odlać.*

Od trzech godzin dyskutowali, czy taka jedna pieprzona psychoterapeutka

powinna wyjść naprzeciw bohaterowi filmu, przechodząc przez ulicę w strugach deszczu, czy też lepiej, żeby czekała na niego przy siedemnastowiecznym klasztorze.

– *Jeżeli zostanie, zastosuje wobec niego rodzaj terapii, bo zmusi go do przekroczenia pewnego progu, do wyrażenia woli poddania się leczeniu, a to doprowadzi go następnie do zaangażowania uczuciowego. Jeżeli zaś wyjdzie mu naprzeciw, pokaże, że zdecydowała się na terapię bólu, uznała za konieczne niesienie natychmiastowej pomocy człowiekowi, który nie chce żyć.*

Delia, z jej kobiecą intuicją, wybrałaby właściwe rozwiązanie. To samo w pewnej chwili stwierdził wampir.

– *Przydałaby się kobieta. Jakaś scenarzystka.*

I żeby koniecznie była sexy, dopowiedział w myślach Luca. Natomiast Saverio zaniepokoił się poważnie: *cholera, jeszcze jedna do podziału.*

Gaetano już prawie zdecydował. *Dość tego! Do diabła z nim! Jadę nad morze z moimi dziećmi!*

Delia będzie wściekła. Nawet do niej nie zadzwonił, ale kiedy pracują nad scenariuszem, muszą mieć wyłączone telefony, komórki nie mogą nawet wibrować.

Twórca też ma dwoje małych dzieci. Ale na pewno wyposażył je już na całe życie. Poza tym – czy dzieci mogą być przeszkodą w poprawieniu złego scenariusza?

Ciała unoszące się na powierzchni wody. Kukły w morzu. A tutaj tworzy się sztukę.

Gaetano już właściwie przestał się złościć.

Wyszli stamtąd o drugiej w nocy. Reżyser był spokojny. Patrzył na nich z łagodnym i niewinnym uśmiechem nasyczonego wampira.

– *Wydaje mi się, że dobrze wyszło.*

Gaetano wrócił do swojej cuchnącej nory przy viale Somalia. Kopnął w kolumnę płyt DVD, które dopiero co uporządkował, przygotowując się w ten sposób do swego nowego życia scenarzysty-singla.

Dość tego. Zmieniam pracę. Wyrzucę komputer. Wolę robić cokolwiek innego. Zostanę kierowcą ciężarówki, mam prawo jazdy kategorii C. Przynajmniej będę wiedział, o której muszę wyjechać i o której wrócę. A jeżeli nie wrócę, to dlatego, że będę miał wypadek, bo zasnę za kierownicą. Śniąc o moich dzieciach.

– Jest mi naprawdę bardzo przykro. Ale to nie była moja wina – kiedy wypowiada te słowa, myśli: *fatalnie to zabrzmiało, jak słowa jakiejś głupiej piosenki.*

Delia oddycha głęboko, żeby zatrzymać falę mdłości.

– Daj spokój. Nie mówmy o tym.

Ale Gaetano chce mówić. Przyzwyczał się do tego, że przy niej może się

wylądować.

– Byliśmy tam dosłownie uwięzieni.

Kiedyś odpowiedziałaby mu na to: jesteś więźniem samego siebie, swoich wad. I tak dalej w tym stylu, słowa dosadne i nieprzydatne. A on by im przytaknął. Ale dzisiaj tego nie zrobiła.

– Twoje dzieci czekały na ciebie na ulicy. W kostiumach kąpielowych pod spodenkami.

– Wiem.

– Dlaczego jesteś takim tchórzem?

– Muszę z czegoś żyć.

Przypomina jej się tamten dzień. Kochali się, wydawał się zatopiony w niej bez reszty. W pewnej chwili odezwała się jego komórka. Powinien był ją odrzucić daleko, dać kopniaka w ten przebrzydły dzwonek. Tymczasem odpowiedział przytomnym głosem. Dzwonił jakiś agent z propozycją pracy. Wyśliznął się z niej w jednej chwili. Zostawił ją samą, nagą i zupełnie bezwładną. Zapalił papierosa, zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju i wymyślać swoje CV, z członkiem w stanie erekcji. Delia skuliła się jak owad, który twardnieje, żeby stać się niewidocznym. Potem Gaetano wrócił do niej jakby nigdy nic. Postarał się o zachrypnięty głos, jaki miał w chwilach zbliżenia.

– *Kochanie, w jakim punkcie się zatrzymaliśmy?*

Tego dnia powinna była go zostawić. Ubrać się i wyjść. Zamiast tego rozłożyła nogi i otwarła się na niego. Była zakochana. Przez chwilę widziała jego inną twarz – było tak jak wtedy, kiedy pluszowemu misiowi wydłubała oczy i zobaczyła, że w środku ma tylko brudny polistyren. Ale bardzo jej zależało, żeby o tym szybko zapomnieć. Chciała wyjść za niego za męża, mieć z nim dzieci. Chciała się ludzić.

Przyszła kelnerka, żeby zabrać brudne talerze.

– Zamówisz coś jeszcze?

Ale ona nie skończyła nawet zupy. Dziewczyna pyta, czy może posprzątać ze stołu. Delia nie podnosi oczu, kiwa tylko głową. Zasłania ręką palec, na którym nosiła obrączkę.

Gaetano odprowadza wzrokiem dziewczynę niosącą stos brudnych talerzy i rozciąga wargi w uśmiechu. Jest wyposażona we wszystkie atrybuty młodości – włosy, usta, jędrne ramiona, skórę w kolorze brzoskwini pokrytą delikatnym meshkiem. Czy miałby ochotę ją pocałować, pocierać się o nią w dyskotecce, poczuć jej ciało przytulone do swoich pleców na skuterze w tę prawie letnią noc, a potem kochać się z nią nago?

Bada sam siebie. Także teraz, w tej restauracji, w obecności byłej żony, która siedzi nieruchomo, jakby była tylko fotografią. Przygląda się młodym dziewczętom i zastanawia się, czy może im się podobać. Jest przystojnym facetem, z tym swoim

czołem jaskiniowca, zacienionymi oczami i spojrzeniem wędrowca zagubionego we mgle. Jest jeszcze młody, można go wziąć za chłopaka, ale ma już swój bagaż doświadczeń. A to się podoba, to jest sexy. O Boże! Ależ się czuje stary tego wieczoru!

Nie ma zamiaru angażować się uczuciowo. Miłość umarła. Na nic jej powolne budowanie, zaczynając od śliny przy pocałunkach. Dotarli do granic możliwości. Zeskoczyli z najwyższej skały, on i Delia, do wody, która okazała się zbyt płytka. Teraz patrzą na siebie i nie wiedzą, czy pozostaną przez całe życie sparaliżowani, na wózkach inwalidzkich, licząc na to, że popchnie je jakaś dobra dusza i ich zabierze na spacer, a może tylko okuleją. Trzeba przyznać, że to był piękny skok. Nie wątpili ani przez chwilę, że mają pod sobą bezbrzeżny ocean i cały będzie tylko dla nich.

Podobnie jak Nico, kiedy postanowił, że będzie latać, i zaczął się rzucać z łóżka, z krzesel na podłogę. Parę razy pozwolili, żeby się potłukł i sam zrozumiał, że to niemożliwe, zanim rzuci się z balkonu na ulicę.

– Ja zamówię dla siebie deser. A ty?

Kelnerka czeka. Ma duże, jędrne piersi, które poruszają się w rytm jej oddechu pod czarną koszulką na cienkich ramiączkach. Delii zrobiło się żal tej dziewczyny, która jeszcze musi zapolować na sens życia. I jej trofeum będą pewnie same skorupy.

Przychodzi jej do głowy pewna piosenka. *One*. To Gaetano wsączył ją w jej uszy.

*Love is a temple
Love is higher law
You ask me to enter
But then you make me crawl.*

...

*One love
One blood
One life...*

Zapraszasz mnie do świątyni, a potem każesz mi się czołgać.

– Poproszę lody kremowe.

Dziewczyna zaznacza haczykiem wybrany deser.

– I espresso bez kofeiny.

Podniósł się lekki wiatr, potoczył po chodniku, dotarł do nich. Porusza papierowymi serwetami, muska spocone plecy pod koszulką. Zimny dreszcz.

Delia mówi:

– Uderzyłam głową Cosma w drzwi toalety w barze.

Gaetano patrzy na nią:

– Co zrobiłaś?

Uśmiecha się jeszcze, ale sposepniał. Bo jeżeli także ona zaczęła się wyładowywać na dzieciach, to znaczy, że znaleźli się w gównie po same uszy.

– Każdemu może się zdarzyć.

Kelnerka przyniosła pucharek z lodami. Delia powoli leje kawę na waniliowe gałki.

– Nie może się zdarzyć.

Gaetano poczuł na twarzy lepki chłód. Po czole i policzkach spływają mu lody, potem kapią z brody na gors koszuli, tworząc plamy w kolorze kawy. Nie czyści się. Nieruchomo patrzy na Delię, która ma ciągle ten sam wyraz twarzy.

Tylko jego źrenice drgają nieznacznie, jakby miał zaćmę i szukał szpary, przez którą mógłby sprawdzić, czy ktoś zauważył, co się wydarzyło.

Zabiję ją. Zniszczę. Odbiorę jej dzieci. Podrapię jej twarz.

Nienawiść jest teraz potężna jak życie. Nigdy dotąd nie znaleźli się w takiej sytuacji, i to pośród obcych ludzi. W ten wieczór u progu lata oderwał się ostatni plaster. Mierzą się z sobą. Chociaż prawdę mówiąc, tylko Gaetano pokazuje, co czuje. Delii po prostu nie ma. Patrzy na roztopione lody spływające po ciele mężczyzny, którego kochała bardziej niż kogokolwiek na świecie. Patrzy na skutki swego szaleńczego gestu. Gestu kobiety niezrównoważonej, zredukowanej do kłębu splątanych nerwów. Ona nie jest tą kobietą. Boi się jej. A jednak chce, żeby tamta pozostała przy życiu, bo tylko w ten sposób może przetrwać. Zrozumiała to, kiedy w ubikacji spojrzała na Cosma i w jego oczach znalazła zrozumienie i przyzwolenie. Był gotów zastąpić ojca. We wszystkim. Także w przyjmowaniu ciosów. Będzie służyć za amortyzator. Z miłości. Z tej miłości, której ona go nauczyła i którą teraz mu zabierała. Delia pociera sobie nagie ramiona. Naprawdę nie wie, dokąd pójść.

Gaetano nie zmienia pozycji, oddycha głęboko. Zagryza zabrudzone wargi, czuje obrzydliwą słodycz. Widzi, że ona oddycha w jego rytmie. Delia ma ochotę podejść do niego i zlizać roztopione lody. Są sami, tylko we dwoje. Nadzy jak kiedy się kochali.

– *Wzdyma mnie po jedzeniu.*

W ten sposób się poznali. On wszedł do gabinetu, który ona wynajęła w kompleksie odnowy biologicznej w stylu *new age*, z kursami jogi i samoobrony wyłącznie dla kobiet, z herbatą ziołową w saszetkach. Jej gabinet wyglądał raczej jak mieszkalny pokój, a nie miejsce pracy.

Na stole leżał talerz z czerwonymi jabłkami, paliło się kadzidelko. Oprócz dyplomów Delia powiesiła na ścianach także parę fotografii, w oknie zasłony z mieniającej się satyny. Po wyleczeniu z anoreksji została świetną dietetyczką. Była wrażliwa, poza tym posiadała dużą wiedzę praktyczną o zaburzeniach odżywiania. Cierpienie pomogło jej znaleźć drogę życiową. Zajmowała się dziedziną bliską psychologii, ale dostatecznie eklektyczną, która miała podstawy naukowe, lecz

było w niej też sporo miejsca na samodzielną interpretację.

W swoim gabinecie na peryferiach miasta tuż przy małej stacyjce kolejowej Delia całymi dniami zagłębiała ręce w opasłych brzuchach, chwytając palcami fałdy skóry, żeby ocenić grubość tkanki tłuszczowej. Przy każdym przejeżdżającym pociągu drżały szyby i spadały jabłka z talerza.

Kiedyś odwiedziła ją matka. Podniosła jabłko z podłogi. *Jeśli to cię zadawała...*

Pacjentami Delii byli często młodzi ludzie, dziewczęta i chłopcy otyli z lenistwa, kobiety z problemem alkoholowym.

Bardziej niż układać diety i nakłaniać do zmiany nawyków, musiała uczyć ich szacunku do samych siebie. Delia wiedziała, jak strasznym wrogiem może być własne ciało. Jak śmietnik, zatkany zlew. Martwa studnia.

Teraz to ona nosiła biały kitel i uśmiechała się do pacjentów. Jakby była narkomanem po detoksie pomagającym ćpunom. Znała ich kłamstwa i cierpienie, które było ich przyczyną. Lubiła atmosferę przedmieścia. Bardzo pragnęła oddalić się od dzielnicy, w której wyrosła. Małe pieski, eleganckie banki, domy wybudowane w latach czterdziestych dla niej nie miały duszy, podobnie jak ich mieszkańcy. Nie było nic szczerego, niczego, co mogłoby służyć prawdziwemu życiu w mieszkaniach rodzin układnych i miłych, bywalców koncertów muzyki klasycznej i wystaw sztuki, o których mówi się na mieście. W tych rodzinach nie zabraniano dzieciom niczego, by nie musieć się mierzyć z czarnymi dziurami.

Koleżanka z liceum, z którą wciągnęła kiedyś kokainę w szkolnej ubikacji, popełniła samobójstwo. Obejrzała *Titanica* z Leonardem Di Caprio na seansie o dwudziestą, a około północy rzuciła się z balkonu. Rodzice byli wtedy w domu, rozmawiali z przyjaciółmi pod stojącą lampą Castiglioni w kształcie łuku.

Gaetano ćwiczył na siłowni tuż obok jej gabinetu, na tym samym korytarzu. Ktoś skierował go do niej. Zaśmiał się wtedy ironicznie pod tym swoim czołem jaskiniowca. To miejsce dla bogatych nonkonformistów było zupełnie nie na miejscu w tej okolicy, przy drodze szybkiego ruchu, gdzie niezamożne mieszczańskie rodziny miały na co dzień do czynienia ze ściekami nowego społeczeństwa, żyły obok transwestytów, mafiosów rodem z Chin i dealerów rozprowadzających narkotyki w biały dzień.

Gaetano usiadł na krześle dla pacjentów, ręce spuścił między szeroko rozstawione nogi. Z sufitu zwisała lampa z abażurem z papieru ryżowego. Jego matka miała podobną w sypialni, przywiozła ją z jednej ze swoich podróży.

Serena też była nonkonformistką, ale biedną (a to duża różnica) i do tego podstarzałą. W młodości brała przez jakiś czas narkotyki. Krótko, ale wystarczyło, żeby zakaziła się żółtaczką. Gdy miała czterdzieści sześć lat, przeszczepiono jej wątrobę. Gaetano opiekował się nią wtedy na zmianę z ojcem. Kończył właśnie liceum, do matury uczył się z maseczką na ustach, żeby czymś matki nie zarazić.

Wystarczyło banalne zaziębienie, by odeszła do Stwórcy.

Uczył się w liceum humanistycznym, w jego dzielnicy było ich tylko parę. Przez pierwsze dwa lata jeździł autobusem, potem skuterem do szkoły przypominającej koszarę ze ścianami pokrytymi graffiti. Na ulicznych straganach kompletował skromną biblioteczkę, wyszukiwał obowiązkowe tytuły: *Siddharta*, *Obcy*, *Totem i tabu*. Miał ambicje artystyczne i nosił na palcu srebrną obrączkę. Zimą narkotyzował się ecstazy i filmami na kasetach wideo (cóż mogło być lepszego niż nocny seans filmowy z pastylką MDMA pod językiem). Latem grał w zespole rockowym z podobnymi do siebie świrusami i rozwoził pizzę.

Żył, jakby chodził po linie, czekając na jakąś wielką przemianę, tak samo jak superbohaterowie japońskich kreskówek, za którymi przepadał w dzieciństwie.

Oczywiście miał kompleksy. Nie mógł się zdecydować, czy robić karierę zawodową, czy może lepiej zrezygnować z tego raz na zawsze. Próbował się dostać do Centrum Kinematografii Eksperymentalnej, ale nawet sekretarka go zignorowała. Wyrobił sobie prawo jazdy kategorii C i zaczął przecinać Włochy wzdłuż i wszerz. Czerwone smugi na autostradach jak krew arbużów. Bardzo lubił rozmawiać nocami przy przydrożnych kioskach z innymi kierowcami, tak samo jak on zagubionymi. To nie była jeszcze prawdziwa praca, raczej jakiś amerykański film w rodzaju *Konwoju*.

Był zadowolony z życia, ale zaczął mieć problemy z jelitami. Wystarczyło, żeby zjadł jakieś świnstwo, a w brzuchu powstawały gazy jak na wysypisku śmieci.

Dlatego przyszedł do gabinetu tej dietetyczki.

Była niespodziewanie młoda i ładna. Pod fartuchem tylko złoty łańcuszek, podniszczone trampki superga, długie włosy splecione w warkocze, twarz też trochę indiańska.

– *Była pani kiedyś w rezerwacie Indian amerykańskich?*

– *Nie.*

– *Wygląda pani, jakby stamtąd właśnie przyjechała.*

Ale nie przyszło mu do głowy, żeby uwieść tę *squaw*. Nie należała do dziewcząt, które budziły takie myśli, takie instynkty. Poza tym on naprawdę cierpiał na ból brzucha. W siłowni, przy uderzaniu w worek treningowy, puścił tak potężnego bąka, jakby był mułem. A to jeszcze nie był koniec.

Siedział przed nią mokry od potu. Miał na sobie bluzę z obciętymi rękawami, trochę już zniszczoną, ale bardzo trendy. Wyprężył ramiona i napełnił płuca powietrzem, tak jak to robił często, gdy znajdował się w jakimś nowym miejscu, żeby było widać, jak świetnie jest umięśniony. Żeby poczuć się pewniej.

– *Proszę się położyć.*

Widział teraz nad sobą abażur z ryżowego papieru, podobny do lampy w mieszkaniu matki, która od jakiegoś czasu pracowała w salonie gry w bingo.

Delia wciskała ręce w jego brzuch. Cholera, miał łaskotki, chciało mu się

śmiać.

– *Niech pan rozluźni mięśnie.*

Gaetano trzymał zaciśnięte pośladki, bał się, że coś mu ucieknie. Dietetyczka nie przestawała gnieść mu brzucha drobnymi dłońmi, miał wrażenie, jakby chodził po nim kot. Przebiegł go dreszcz.

Jeszcze raz się zaśmiał.

Dietetyczka też parsknęła śmiechem. Zobaczył wtedy jej zęby, proste i małe jak paciorki różańca. Ale ich brzegi były nierówne jak w firanie pogryzionej przez myszki.

Momentalnie zamknęła usta. Widać, że pożałowała tej spontanicznej reakcji.

Gaetano usiadł i włożył swoją szpanerską bluzę. Jednocześnie przesuwiał językiem po zębach, chciał wyobrazić sobie, jak ona czuje swoje.

– Wymacała pani coś? Jakiś nowotwór?

Nie patrzyła na niego. Zapisywała na kartce z firmowym nagłówkiem zalecenia terapeutyczne dla Gaetana. Miał unikać napojów gazowanych, pizzy i mozzarelli. Patrzył na nią pomarkotniały.

– *To co ja mam jeść?*

W tej samej chwili pod oknami przejechał pociąg. Jak zawsze ze stołu spadło jabłko. Gaetano podniósł je z podłogi.

– *Może pan zjeść to jabłko.*

Gaetano odgryzł spory kawałek. I urok zaczął działać.

Kiedy kochali się po raz pierwszy, Gaetano pomyślał: *kocham się z boginią*. Tak właśnie się czuł – jakby nagle dostał się do nieba, nie żeby umrzeć, ale żeby uprawiać miłość wciąż od nowa. Prawdziwy japoński transformer. Robili to przez parę miesięcy w jej gabinecie podczas przerwy obiadowej (w tym samym czasie w sąsiednim pomieszczeniu ćwiczono tai chi). Dzięki niej poznał musli, sok z granatów i *Bohatera o tysiącu twarzy*.

To ona mu powiedziała: *wyprowadź się z tej dzielnicy, nie służy ci, daje ci tylko chwilowe pocieszenie jak pizza czy piwo, a potem zostawia zakrzepy i gazy gnilne*. Całowała jego klatkę piersiową i mówiła: *Wolę mężczyzn bez mięśni*.

Gaetano przestał zażywać anaboliki i amfetaminę. Dał jej do przeczytania parę swoich tekstów (obgryzając paznokcie do krwi, gdy czekał na jej osąd), szkice fabuły, krótkie, jedno- albo najwyżej dwustronicowe opowiadania. *Bohatera o tysiącu twarzy* połknął błyskawicznie. Poczuł się jak archetypowy bohater, który stoi na progu, gotowy *na wielką próbę*.

Ona też była gotowa. Umarła i odrodziła się. Oboje podnieśli się na nogi jak dwa wilgotne żrebaki. Podali sobie ręce. Wyszli z gabinetu Delii.

Pewnego dnia zemdląca. Szli właśnie nadbrzeżem Tybru. Zwiotczała u jego boku jak dmuchany materac nagle pozbawiony korka. Gaetano podniósł ją i oparł o mur. Pod nimi rosła trzcina, jeszcze niżej płynęła rzeka, szumiąc łagodnie.

Samochody przejeżdżały obok nich z wielką prędkością, słońce już prawie zaszło, wszystko miało niebieską poświatę i głębokie, prawie czarne cienie. Delia otworzyła oczy, spojrzała na niebo i na jeden z tych wysokich, nadrzecznych platanów z chmurą ptaków, oszalałych, jak zawsze o tej porze dnia.

– *Dziękuję.*

– *Za co?*

– *Za to, że mnie kochasz.*

Gaetano wziął jej wychudzoną twarz w obie dłonie, zbliżył się do niej. Jej brwi były jak bizony, które zatrzymały się po długim biegu i piły ze źródła oczu. On też pił z tego samego źródła. Tam była jego przyszłość. Pragnął spędzić z Delią całe życie.

Przeszedł na drugą stronę bulwaru, wiedział, że znajdzie tam bar. Wrócił z tacką ptysi z kremem. Wkładał jej kawałki do ust pod liśćmi drzew, które w czarnym cieniu miały fioletową barwę. Napychał ją ciastem smażonym w oleju, nadzianym tłustym kremem, a ona nie protestowała, zdawała się szczęśliwa, że tak się o nią troszczy. Teraz to on ją karmił. Delia patrzyła z dołu na jego twarz przypominającą trochę twarze bokserów.

– *Dostałeś kiedyś pięścią?*

– *Nie, taki się urodziłem, lekko spłaszczony.*

– *I nie zmieniłeś się, kiedy urosłeś?*

– *Nie.*

– *To dobrze.*

Był luty, czas karnawału.

Rzucić komuś lodami w twarz to jednak przesada. Gaetano patrzy na byłą żonę i myśli o jej warkoczach indiańskiej *squaw*, o minionym czasie. Pochłonęli go chybcikiem, bez smaku, jakby to był zwietrzały napój gazowany bez bąbelków.

Myśli o ich zbliżeniach, szczególnie o jednym. Tak już jakoś jest, że jedno, właściwie bez powodu, udaje się lepiej niż wszystkie inne. Uświadamiasz to sobie dopiero później, kiedy wracasz do niego myślami.

Nie dlatego, że akurat ten stosunek był bardziej podniecający czy wyuzdany niż inne. Był po prostu bardziej ludzki. A ty zatraciłeś się w nim bez reszty.

Może dlatego, że byłeś wtedy bliższy dziewictwa. Tamtej nocy wszystko w twoim życiu zdawało ci się dziewicze. Jakby nic cię jeszcze nie zabrudziło.

Zeszliście między cierniste krzaki, by dojść do gorących źródeł. Osunęliście się na ziemię, gdy stała się jaśniejsza i rozmiękła. Bezbronne ciało Delii z żebrami odznaczającymi się pod skórą. Zanim weszła do wody, zanurzyła w niej stopę, badała dno. Szedłeś za nią nagi, wyglądałeś żałośnie, tak samo jak każdy nagi mężczyzna. Prawdziwi Adam i Ewa. Delia zaczęła ci opowiadać o podwodnych roślinach. Zapaliła świecę (Delia zawsze wszędzie zapalała świece). Chodziłeś nago po miękkim mchu i porostach, jakbyś się znalazł na planie filmowym.

Zabłocone stopy i błędne ognie.

Jej ciało było dla ciebie świątynią, klęczałeś przed nim jak mnich. To była istota miłości.

Aż do świtu, kiedy odprowadziłeś ją na stację. Wsiadła do pociągu. Dokąd jechała?

Chyba do tej miejscowości z ulami. Chciała poznać właściwości mlecza pszczelego i propolisu.

Wyobrażałeś ją sobie przez cały dzień w usztywnionym kapeluszu, z ochronną maską. *Żeby cię tylko, ukochana, nie użądliły. Mogą się zbliżyć do ciebie jedynie po to, żeby zostawić miód na twoim ciele.*

Jak to się dzieje, że życie potrafi tak wszystko rozpieprzyć? Jest jak fala odpływowa w brudnym morzu, która pustoszy plażę, a gdy wraca, przynosi same śmieci.

Ślub. Prosta biała sukienka do łydki, uszyta tak, żeby można ją nosić także przy innych okazjach z dodatkiem sztucznego kwiatka czy naszyjnika. Mały, opuszczony kościółek otwarty specjalnie dla nich.

Droga zarośnięta częściowo trawą, grupka gości. Młodzi ludzie, od niedawna w związkach małżeńskich lub gotowi się pobrać tak jak oni. Ksiądz z Senegalu. Ryż w koszyczkach, szerokie uśmiechy. Bankiet pod gołym niebem, świeża ricotta na stołach. Lipcowa noc, kiedy wystarczył cienki szal lub ramię Gaetana, żeby nie czuć chłodu.

W początkowym okresie nigdy nie zamykali drzwi, tak samo jak kiedy mieszkali razem przed ślubem. Kto chciał wejść, wchodził. Każdego wieczoru dochodziło do cudownego rozmnożenia chleba i ryb. Co wtedy jadali? Kurczaka z curry, całe góry kuskusu. Dla Gaetana kuchnia Delii była egzotyczną ekstazą, doznaniem kulturalnym. Chodził między gośćmi na bosaka, z gołym torsem i nalewał wina do kieliszków. Gdzieś wśród bałaganu stał zawsze włączony komputer. Rozmowy na wszystkie tematy – o tym skurwysynu Bushu juniorze, o trylogii Agoty Kristof... Gry towarzyskie.

– *Kto napisał Zbrodnię i karę?*

– *Woody Allen.*

Kretyńskie odpowiedzi, głupie śmiechy.

W tamtych czasach wierzyli, że ich dom stanie się miejscem spotkań inteligentów, ośrodkiem twórczego fermentu.

Kochali się w bałaganie pozostałym po imprezach. Naga Delia uczepiała się czegoś szeroko rozłożonymi rękami, jakby była Chrystusem na krzyżu i on kochał ją w ciszy. Najpiękniejszy akt poświęcenia.

Wyrośli w latach osiemdziesiątych. Teraz nastąpiła epoka bliźniaczych wież WTC, a na horyzoncie zbierały się chmury strachu i bliskiego kryzysu finansowego. Kupili małe mieszkanie w dzielnicy Trieste na kredyt o zmiennym

oprocentowaniu. Mieli wszelkie powody do niepokoju, ale byli spokojni. Długie godziny doskonałej harmonii, całe kilometry straconego czasu.

Zaszła w ciążę, miał się urodzić Cosmo. Młodości nie były dla niej niczym nowym, ale teraz miały całkiem inne znaczenie. W jej brzuchu zdarzył się cud. Amenorrhoea wyda owoce.

Delia często myśli o tym swoim odrodzeniu. Myśli o nim za każdym razem, gdy widzi kobiety w ciąży. I wie, że ona już nie będzie miała więcej dzieci. Wychowa swoich dwóch synów, będzie podróżować, obejrzy wystawę Rauschenberga. Ale nigdy nie będzie miała córeczki.

Bardzo możliwe, że była tego bliska. Wtedy, gdy zaszła w ciążę po raz trzeci, Gaetano powiedział: *może to dziewczynka...*

Ale to się zdarzyło niedawno, kiedy już była kobietą zdradzoną i zranioną. Kiedy stała się żalostną kopia matki, jaką była kiedyś.

Właściwie mogłaby myśleć tylko o tych schodach. To by jej wystarczyło. O pocałunkach na każdym stopniu, o tym, jak zatrzymywali się co chwila, opierali o ścianę czy poręcz i tulili do siebie. Wchodzili po schodach na badanie USG, lekarz miał ocenić przezierność karkową Cosma. Przypominali dwa kręgle, dwa psy owładnięte szczęściem.

Cosmo... Wybrali to imię pewnej nocy, sięgnęli po nie do przestrzeni pozaziemskiej. Szept Wszechświata w ekspansji.

Cosmo nie chciał spać, nie umiał dobrze złapać sutka, połykał powietrze. Zasypiał i zaraz się budził z powodu refluksu. Delia podkładała lusterko z puderniczki pod jego nosek, żeby sprawdzić, czy oddycha, czy żyje. Śmierć łóżeczkowa... Nie dawało jej to spokoju.

Matka powtarzała: *zostaw go, nie bierz na ręce za każdym razem, gdy płacze, bo się do tego przyzwyczai.* Ale ona oczywiście nie słuchała jej rad. Kupiła nosidełko, wkładała do niego Cosma. Spali uczepieni siebie.

Być może zaczęło się właśnie wtedy... Od tych nocy z dala od Gaetana, z dala od wszystkiego. Przeniosła się w inne miejsce, do pokoju nowej miłości.

Gaetano wciąż jeszcze klękał u jej stóp. Fotografował ją nagą z dzieckiem na ręce. Jej piersi i ściekające mleko.

Droga Mleczna. Nocna wędrówka za kometą.

Teraz byli rodziną.

W tamtych czasach zrobił jej mnóstwo zdjęć, całe góry... Specjalnie po to kupił nowy aparat cyfrowy. Z powodu tych zdjęć nie pozwalał jej normalnie żyć.

– *Zatrzymaj się w tej pozycji... Nie ruszajcie się...*

Gdyby tak mogli się zatrzymać jak na tych fotografiach. Ja to się zwykło mówić? Obraz szczęścia, to właśnie było to. Uwieczniony na odbitkach.

Potem pierwsze zdjęcie Nica, purpurowego, zaraz po porodzie.

Gdzie go poczęli? W Tagliacozzo. Tak, to było tam, tego wieczoru, gdy

Gaetano za dużo wypił... Wybrali się na wycieczkę do lasu w towarzystwie zbieraczy trufli, którzy też byli pod gazem. I tak się urodził Nico – wesoly i sprytny. Delia była zakochana w tym małym Casanovie, który ją uwodził co rano.

Musi uporządkować te zdjęcia. Te ze ślubu, z ryżem i kwiatami, i inne, z wakacji nad morzem, z parku. Musi je zachować dla dzieci, na czas, kiedy już będą dostatecznie duże, żeby ich nie podrzeć. Wtedy pokaże im je i powie: *Widzicie? Kochaliśmy się bardzo, bardzo mocno. I bardzo was pragnęliśmy. Nie wolno wam ani przez chwilę pomyśleć, że to się stało z waszej winy.*

Bo jej czasem przychodziło to do głowy. Że rodzice nie wytrzymali szoku spowodowanego jej przyjściem na świat. Uważała też, że dzieci rozwodników często się rozwodzą, bo taki wzór dali im rodzice.

Na pewno nie jest budujący obraz własnej matki z czerwonymi od płaczu oczami, w butach na wysokich obcasach, jak nachyla się nad tobą, żeby cię pocałować, i odchodzi, rzucając tylko na pożegnanie: *śłuchaj tatusia.*

Fiamma miała swoje racje, ale zrozumiałaś to dopiero po czasie długim jak całe życie, po tym, jak chorowałaś na anoreksję i jak się z niej wyleczyłaś, kiedy kazałaś jej zapłacić za to, że cię wtedy zostawiła, i mało brakowało, a przez zemstę sama zapłaciłabyś za to życiem. Bo właśnie tego dnia (ile lat miałaś wtedy? pięć?) po raz pierwszy pomyślałaś, że chciałabyś zniknąć. *Wyskoczę z okna, będę na ulicy wcześniej niż ona, będzie musiała wrócić do domu z moimi zwłokami. Wyrzucą je do śmieci jak martwego nietoperza z domku nad morzem i wrócą szczęśliwi do domu, beze mnie. Tylko ich dwoje jak na tym zdjęciu z Hiszpanii, na którym ona tańczy, a on ma spodnie toreadora.*

Takich myśli za nic nie chciałabyś przekazać swoim dzieciom.

Boisz się, że one zapamiętają jedynie końcówkę. Zapamiętają kłótnie.

Dlatego potrzebujesz tych zdjęć, żeby rozsypać je na dywanie i płakać nad nimi, udając, że się śmiejesz... *Pamiętacie? Tutaj jesteśmy w Ostuni... tatuś właśnie kupił wam kanapki. Potrzebujesz ich, żeby zobaczyli, jak bardzo byliście szczęśliwi.*

Dlatego siedzi w tej restauracji tego wieczoru. Z powodu pięknych wspomnień, które pragnie zachować dla Cosma i Nicoli.

Jesteście dziećmi wielkiej miłości.

Ona jest tutaj, by wspomnienia pozostały żywe. Jak starzy ludzie, którzy przetrwali Holocaust i kładą na grobach kamyki. Po jednym za każdą umarłą miłość.

Ponieważ miłość zasługuje na sanktuarium, na pamięć.

Gaetano nie poruszył się. Przychodzi mu do głowy, że w całym tym wymuszonym spotkaniu dwojga ludzi, którzy udają obojętność, w przyulicznym ogródku, który udaje restaurację, lody spływające pod koszulą po jego ciele są jedynym błyskiem prawdy.

Gest Delii należał do tych, które życie kopiuje z filmu. Mógłby o nim opowiedzieć reżyserowi wampirowi. Ten na pewno z przyjemnością zanurzyłby zęby w jego szyi pobrudzonej lodami.

Czyści się serwetką tym samym szybkim i zdecydowanym ruchem, jakim w siłowni ścierał pot z twarzy.

Może mnie jeszcze kocha. Może w jakiś sposób jeszcze mnie kocha.

Na co ona tak patrzy?

Delia patrzy na parę siedzącą przy stoliku pod murem. W całej restauracji są najstarsi wiekiem, ale bardzo dobrze się trzymają. Ludzie kulturalni i wyrafinowani. On ma puszyste siwe włosy w nieprawdopodobnym niebieskawym odcieniu, ona – złote pukle, nogi założone pod stolikiem, sandały, które na pewno sporo kosztowały.

Obróciła się twarzą, jest podobna do Geny Rowlands w filmie *Premiera*, te same usta pociągnięte rozmiękłą szminką. Błyszcząca sukienka o chińskim kroju.

Delia sprawia wrażenie ogłuszonej, opiera głowę na złączonych dłoniach. Przybrała tę pozycję zaraz po tym, jak rzuciła lodami w twarz Gaetana. Przywodzi na myśl zakonnice, która zmęczyła się myciem podłóg i straciła entuzjazm dla wiary.

Gaetano zawsze uważał, że Delia powinna była zakochać się w mężczyźnie starszym od siebie. Teraz myśli, że pewnie to zrobi, zwiąże się z którymś z tych sześćdziesięciolatków po rozwodzie, ustawionych zawodowo, z dorosłymi dziećmi. Z kimś, kto będzie miał dla niej czas. Weekend na wybrzeżu Amalfi, slow food i górskie serpentyny.

Jej ojciec pochodził z Amalfi. Świetny laryngolog, który jednak brał niewiele za porady, tak samo jak córka. Szczupły jak ona, te same usta, ciemne i nabrzmiące, zawsze trochę smutne. Leczył aktorów i śpiewaków, którzy mieli problemy z głosem, sam zachowywał przy tym milczenie. Traktował struny głosowe jak dobry ksiądz dusze wiernych. W jego pogrzebie uczestniczyło wielu ludzi teatru i opery.

Kobieta i mężczyzna przy stoliku pod ścianą żartują między sobą. Teraz także Gaetano na nich spogląda. To właśnie zawsze robił – patrzył na to, na co patrzyła Delia. Żeby się dowiedzieć, co lubi, czego jej brakuje.

Ojciec Delii miał zapadniętą twarz, poszarzałą jak jego fartuch. Ten tutaj jest w świetnej kondycji, widać po nim, że przebywa dużo na powietrzu. Pewnie gra w golfa albo uprawia jakiś inny sport dla cholernych snobów.

Wpieprzają go zamożni staruszkowie. Toleruje jedynie tych z twarzami wyżłobionymi przez samotność jak skały.

Starszy mężczyzna też patrzy na Delię. Gaetano odnosi wrażenie, jakby łączyła ich jakaś nić. Nić rozciągnięta między dwoma stolikami. A on jest teraz żalonym frajerem ubrudzonym lodami. Zazdrosnym dzieciakiem. Łapie za butelkę

wody mineralnej, moczy serwetkę, wyciera koszulę.

Delia nie wie, gdzie skierować spojrzenie, gdzie się ukryć ze swoimi myślami. Nie ma szans, żeby znalazła tu teraz jakieś miejsce tylko dla siebie. Wszyscy ci ludzie dokoła wprawiają ją w zły nastrój. Robią tyle niepotrzebnego hałasu.

Jak to się dzieje, że restauracje są zawsze pełne? Ile pieniędzy musi krążyć po świecie, jeżeli tak dużo ludzi może sobie na to pozwolić! Myśli o foie gras, o gęsiach karmionych bez przerwy, dniem i nocą. Wyobraża sobie świat jako wątrobę, która właśnie eksplodowała. Myśli o Kalkucie, o tamtej rzece. O podróży, której nigdy nie odbędzie. Myśli o Matce Teresie, iguanie w białym habicie.

Uśmiecha się.

Tyłu młodych ludzi. Pary, które zakończą ten wieczór w całkiem innym miejscu. Pojadą nadmorską drogą do któregoś z lokali rozrywkowych przy plaży. Fosforyzujące palmy, ciemność tętniąca muzyką.

Obok niej przechodzi kobieta, już pięknie opalona, wpatrzona w swój iPhone. Pozostawia za sobą oleisty zapach plaży. Idzie pewnie wciągnąć działkę kokainy (jest piątkowy wieczór, wciąż ktoś wchodzi i wychodzi z toalety).

Delia myśli o kremach z filtrem. Tych kolorowych, dla dzieci.

Myśli o swoim ciele w kostiumie kąpielowym, brązowym, z drewnianymi kółkami.

To jej pierwsze lato po rozwodzie.

Jedną decyzję już podjęła. Wynajęła mieszkanie nad morzem na dziesięć ostatnich dni lipca. Widziała je tylko na zdjęciu w Internecie, ale od razu poczuła jego zapach i wyobraziła sobie całą resztę.

Lampa z abażurem z wikliny. Niebieski rozkładany tapczan, miotła oparta o ścianę.

Będą robić zakupy w jednym z tych sklepików, przed którymi stoją na chodniku skrzynki z owocami, a w środku można znaleźć wszystko inne – szynkę, chleb, mleczko do czyszczenia zlewów (założy gumowe rękawice, gdy będzie go używać).

Zabawy z dziećmi na ściółce z sosnowych igieł. Chłopcy spoceni i brudni na dmuchanych zjeżdżalniach. Nico zgubi smoczek przy kole samochodu. Będzie musiała się wrócić i przeczesać pobocze drogi. *Nie ruszajcie się z miejsca.* Rzuci siatki z zakupami na podłogę. Piasek na kafelkach, w pościeli. *Nie skaczcie po łóżkach. Opluczcie nogi.* Kostiumy kąpielowe pod prysznicem. *Mamo, jestem głodny.* Tak, głód...

Może założy hinduskie kolczyki, przed wyjściem na wieczorny spacer. Czy zdarzy się jej patrzeć nocą na uśpione morze polakierowane elektrycznym światłem? Włożyć białą lnianą sukienkę i poczuć się piękną?

Zaczęło się lato. Nie wiadomo jak, ale się zaczęło. Przynajmniej nie będzie

już musiała zawozić chłopców do szkoły, pakować ich do samochodu, spieszyć się, żeby zdążyć na czas. Patrzeć na powolnych kierowców jak na osobistych wrogów, których należałoby stuknąć w tylny zderzak, pozabijać na czerwonym świetle. Tak było przez całą zimę. Nie mogła znieść widoku twarzy nauczycielki, kiedy przychodzili do szkoły po dzwonek. Zdejmowała Cosmowi kurtkę, nie podnosząc na nią wzroku, i mówiła do niego:

– *Znowu się spóźniamy z winy twojego brata. Rano nigdy nie chce wstać z łóżka.*

W rzeczywistości to ona musiała się wracać do domu po torebkę albo nie pamiętała, gdzie zaparkowała samochód, i chodzili tam i z powrotem po ulicy. Zagubieni ludzie.

Stałe spóźnienia były przekleństwem ostatnich miesięcy. Znakiem, że wszystko wymyka jej się z rąk, dezintegruje jak samochód, który gubi części na asfalcie. Życie wyprzedza cię, jest zawsze o krok przed tobą. Biegiesz, żeby je dogonić, trąbisz na nie klaksonem.

Chciałaby, żeby już był listopad, chciałaby założyć botki i ciepłe rajstopy.

W poprzednim życiu bardzo lubiła lato. Wygrzewała się na słońcu jak jaszczurka. Gaetano bawił się z dziećmi w wodzie, nosił Cosma na barana, ona pchała wózek Nica. Śpiewali. Powietrze pachniało nadmorskimi zaroślami i ekskrementami biwakowiczów. Mieli namiot.

Zatrzymywali się w miejscach, gdzie zastawał ich zachód słońca. Tak lubili najbardziej. Pozostać na plaży aż do wieczora, czekać, aż odejdą ostatni jogini.

Chłopcy grali w klipę znalezionymi drewniakami. Ciała z ich ciał. Byli spokojni, na nic się nie skarżyli.

Nikt niczego nie przeczuwał, na razie. Dzieci były przyporządkowane ich losowi.

Jadły lody, podczas gdy oni dzielili się butelką piwa.

Wypij łyk, kochanie. To cię ochłodzi.

Jesteś taka piękna w tej białej, lnianej sukience.

Wyglądasz tak samo, jak kiedy się poznaliśmy, squaw w białym kitlu. Nie, jesteś jeszcze piękniejsza. Bo nasza miłość jest większa.

Jesteś dziewczynką naznaczoną życiem.

Dzieci śpią w naszym namiocie. Jest cisza i dość miejsca, żeby cię całować, żeby wchłaniać słońce i morze z twojej skóry.

To Gaetano podarował jej te srebrne hinduskie kolczyki. Kupił je na letnim straganie od sympatycznego, starego anarchisty, jednego z tych samotników odłączonych od stada, których tak lubił. Po długim poszukiwaniu wybrał kolczyki z rysunkiem przypominającym oko. Kolczyki o symbolicznym znaczeniu. Jego spojrzenie skierowane na nią, spojrzenie Boga, który czuwa nad nimi dwojgiem.

Delia dotyka koniuszków uszu, nieruchomieje przez chwilę. Przed wyjściem

do restauracji założyła kolczyki z oczami. Bez trudu znalazła dziurkę i wsunęła metalowy drucik.

Wtedy zadzwonił Gaetano.

– *Jestem pod domem.*

Bardzo nalegał, żeby się zgodziła na tę kolację we dwoje. *Nie możemy zachowywać się jak dwoje troglodytów.*

– *Zejdź, kiedy będziesz mogła.*

Wyjrzała na ulicę. Gaetano z komórką w ręce stał przy pojemnikach na śmieci.

– *Już schodzę.*

Jeden z kolczyków uderzył w słuchawkę.

– *Co to za hałas?*

Gaetano spojrzał na okno.

Delia cofnęła się.

Popatrzyła na siebie w lustrze, z tymi długimi kolczykami w uszach. Są zupełnie nie na miejscu. Oczy należą do innego życia, nie pasują do tego miasta, nie pasują do tego wieczoru.

Zdjęła indyjskie kolczyki, wrzuciła je do miseczki z poplątanymi naszyjnikami, sztuczną biżuterią, z nieprzyjemnym metalowym zapachem.

Sczesła włosy na bok, zakrywając przedziałek pośrodku głowy.

Już nie jestem squaw. Jestem mniszka w przekrzywionym welonie.

Dziewczyna nachyla się nad stolikiem, kładzie na nim darmowy poczęstunek. Racuszki z jabłkiem i dwa kieliszki słodkiego likieru.

– *Masz jeszcze tamte kolczyki?*

– *Jakie?*

– *No... tamte.*

Delia spuszcza wzrok na racuszki i mówi, że nie nosi już kolczyków, zarosły jej dziurki. Czuje przy tym wyraźnie na opuszkach palców chłód metalowego drucika, wślizgującego się gładko w przekłute ucho. Gaetano zbliża się do niej nieznacznie, jakby czegoś szukał, może błysku światła w jej ciemnych włosach.

– *Dzieci mogłyby spędzić ze mną drugą połowę sierpnia, jeżeli tobie to odpowiada.*

– *Co będziecie robić?*

– *Nie wiem jeszcze.*

Skończy się na tym, że zabierze chłopców do Tagliacozzo, do babci. Rodzice Gaetana przenoszą się tam zawsze na lato, do małego domku, w którym śmierzdi sadzami z komina. Będzie siedział całymi dniami przed komputerem i kłócił się z matką i babcią w obecności chłopców. Nie ma nic gorszego niż sfrustrowany mężczyzna przy nazbyt opiekuńczych kobietach. Babcia porusza się już tylko z balkonikiem, ale wciąż jeszcze sama robi domowe łązanki. Matka uprawia

marihuanę między ziołami w ogródku i ubiera się jak Sonia Gandhi.

– Zabierzesz chłopców do Tagliacozzo?

– Będziemy pływać kajakami. Tam nie czuje się gorąca, będziemy sobie urządzać pikniki, chodzić nad rzekę.

To on chce pływać kajakiem. Torturować się niepotrzebnym wysiłkiem. Nico jest jeszcze za mały, a Cosmo nie lubi chłodu. Zachorują przez niego. Przecież nic nie potrafi zrobić sam. Ona przygotowywała zawsze kanapki dla wszystkich, pakowała obrus z ceraty.

Gaetano patrzy na nią, czeka na znak aprobaty. Delia aż za dobrze zna to spojrzenie zdradliwego psa, z tych, co jedzą ci z ręki, a potem na ciebie warczą.

Gaetano odkleja wilgotną, lepką koszulę od skóry na piersiach. Na wspomnienie domku przy wąskim zaułku ściska mu się serce. Kochali się tam wiele razy z Delią, na wysokim łóżku z czarnym, metalowym wezglowiem. Babcia budziła ich zapachem świeżo zaparzonej kawy i ciasta kasztanowego. Czuli się jak kochankowie z innej epoki.

Myśli o zaułkach miasteczka latem, okupowanych przez staruszków w podkoszulkach i kobiety w fartuchach, którzy wszystko o wszystkich wiedzą. W ciągu roku mieszkają gdzieś daleko, tam dokąd wyjechali za pracę, latem wracają. Uciekinierzy. Turystyka biedy.

Nie zdążysz jeszcze odetchnąć po obiedzie, a babcia już nastawia kolację. W kuchni stale króluje zapach sosu do makaronu. Nie możesz nawet sam zrobić sobie kawy.

Wieczorami lody calippo, flipper, zabawki kupione w kiosku.

Będzie nerwowy. Ojciec na pewno wcześniej czy później powie mu, co o nim myśli.

Czego ty właściwie chcesz? Za kogo ty się uważasz? W życiu jeszcze nic dla nikogo nie zrobiłeś. Nie potrafisz nawet utrzymać swojej rodziny.

On wtedy rzuci się na niego, na tego wypierdka, starego kretyna z siwym ogonkiem, weterana zlotów motocyklowych, gównianego ojca z ciasnym sercem węglarza przyzwyczajonego do brudu, któremu udało się oczyścić swój język z pozostałości dialektu.

Wyciągnie dzieci z łóżek, wpakuje je do samochodu, do bagażnika wrzuci ubranka i plastikowe miecze.

– *Idźcie wszyscy do diabła. Ty też, mamo.*

Babcia będzie nalegać, żeby zabrał do domu resztki z kolacji. Jedzenie zacznie śmierdzieć w samochodzie. Będzie musiał stanąć, żeby wyrzucić je do śmieci.

Zatrzymają się w motelu, będą spać w trójkę na jednym łóżku. Na suficie ślady od kłapek i trupy komarów.

Dzieci szybko zasną. Podpuchnięte policzki, otwarte buzie, plamy od śliny

na poduszkach, włosy i plecy mokre od potu. Szum lodówki i inne natrętne dźwięki, brzęczenie zepsutej klimatyzacji, chrapanie jakiegoś ludzkiego odpadka za ścianą.

Skończy się na tym, że zapali skręta i będzie patrzeć na światła przejeżdżających samochodów, siedząc na okiennym parapecie.

To nie będzie dobry film.

Pogrąży się w myślach o wszystkich tych ojcach, którzy kończą z sobą latem, kiedy upał niszczy resztki rozsądku i woli przetrwania. Każdy z nich – bez pieniędzy, bez miłości, bez godności, ma za sobą niezrealizowane aspiracje i przegrane szanse. A wszystko to z winy kobiety, która najpierw ssała mu ptaszka i pozwalała wierzyć w Bóg wie co, a potem powiedziała: *wynoś się, wysiadaj z mojego tramwaju, nie masz biletu ani dokumentów. Cholerny pasażer na gapę.*

Kiedyś zastanawiał się nad tym. To było wtedy, gdy o mało nie rozpląkał się w samochodzie, patrząc we wsteczny lusterku na dzieci, które opowiadały coś sobie na tylnym siedzeniu. Zadał sobie wtedy pytanie: *może ja też mógłbym się do tego posunąć?*

Załóżmy, że w pewnej chwili wpadłbym w jakiś amok. Wystarczyłoby skierować spaliny do kabiny samochodu. Główki dzieci opadłyby na oparcie (widział to już tyle razy, gdy zmęczeni chłopcy zasypiali na tylnym siedzeniu). I wtedy, uwolniony od wszystkiego – od życia, które przywołałem na świat, którym jednak nie potrafię się opiekować ani go chronić i którego nie mogę przekazać światu takim, jakie jest, z genami przegranego człowieka – mógłbym umrzeć, zasunąć kurtynę. Zapomnieć o niej, o jej kolczykach, o świecie, który razem stworzyliśmy i razem zniszczyliśmy. Definitywny koniec.

– Cosmo zdarł sobie skórę z czoła.

Gaetano nic nie mówi, kiwa tylko głową.

– W tamtym barze... klamka była zardzewiała...

– Byli szczepieni na tężec, prawda?

– Tak, chyba mają jeszcze ochronę. Gdzie są ich książeczki zdrowia?

– Na pewno są w domu.

– Nie mogę ich znaleźć. Może zabrałeś je z sobą?

– Dlaczego miałbym je zabierać?

– W całym tym bałaganie... Kiedy spakowałeś swoje papiery.

– Chciałaś powiedzieć: kiedy rzuciłaś za mną scenariuszami.

– Te książeczki są mi bardzo potrzebne. Muszę sprawdzić, na co byli szczepieni.

– Jasne.

Gaetano ma na ustach wciąż ten sam, nieruchomy uśmiech. Myśli przebiegają mu szybko przez głowę, przelatują nad tym uśmiechem, nie zakłócając go, pochłaniają kolce i kurz jak sprawny odkurzacz na brudnym dywanie.

Nadgryza racuszek z jabłkami i rodzynkami.

– Skosztuj, są smaczne, mięciutkie...

Może to lato nie będzie wcale takie złe.

Pojedzie z dziećmi do Tagliacozzo, pójda wzdłuż rzeki aż do wodospadu i wykąpią się w basenie utworzonym przez naturę. Zasłuży sobie na porcję synowskiej miłości, zapracuje na kawałek ojcostwa. Od teraz tak właśnie będzie robić – podążać małymi kroczkami, stopniowo zdobywać zaufanie swoich dzieci.

Także w stosunku do ojca będzie miły i łagodny. Spróbuje go poddać rehabilitacji. Będzie wielkoduszny, pokaże mu, że może być lepszy od niego. Już zaczął, przed miesiącem podarował mu tysiąc euro, zapłacił za ubezpieczenie jego samochodu, ale ojciec nawet nie podziękował. Powiedział tylko: *daj spokój*.

Nienawidzi go, bo jest zerem. Nienawidzi, bo za każdym razem, kiedy się z nim spotyka, ogarnia go nienawiść. Nie może przestać myśleć, że jego niepowodzenia pochodzą od tego małego człowieczka, który obciął mu nogi i kazał biec.

Czasem w nocy siadał przy jego łóżku. Gaetana budził ciężar jego dłoni na głowie. Ojciec głaskał go, jakby chciał mu wydrążyć dziurę w czaszce i wyjąć mózg. Miał przy tym twarz debila (kiedy był w melancholijnym nastroju, sprawiał wrażenie upośledzonego umysłowo).

– My nic nie znaczymy, Gaetano. Zupełnie nic. Zapamiętaj to sobie.

Był działaczem związkowym. Melancholia napadała go, gdy przegrywał jakąś batalię, kiedy pił.

Budził go wtedy i mamrotał przy jego poduszce, jakby to był konfesjonał w zawsze otwartym kościele.

Następnego dnia był dziarski i sprężysty jak kobra.

Przychodził na boisko, gdzie Gaetano grał w piłkę. Wąskie spodnie, buty z ostrymi czubkami. Widząc go z daleka, Gaetano robił się czerwony ze strachu – że popełni jakiś błąd, że ojciec go wyśmieje, zarzuci obelgami.

Krzyczał ze stopni stadionu:

– *Podaj! Biegnij! Drybluj!*

– *Tato, wygraliśmy.*

– *Ale z kim?! Przecież to nie była prawdziwa drużyna. To były jakieś pataluchy. Wygraliście z drużyną pataluchów.*

A potem się śmiał i mówił: *ale lepsze to niż nic*.

Jak można powiedzieć dziecku: lepsze to niż nic? Będiesz słyszał ten refren przez całe życie, wróci do ciebie za każdym razem, gdy zadowolisz się byle czym, gdy sobie odpuścisz, gdy zrezygnujesz z walki do samego końca.

Kiedy rzucą ci jakieś ochłapy.

Wtedy, zamiast poczuć się znieważonym, zamiast skoczyć im do gardła, pomyślisz: *lepsze to niż nic*.

Rozgląda się dokoła, oddycha płytko, czuje się dziwnie. I nagle to doznanie, którego tak często doświadcza – ogarnia go nienawiść do świata i do samego siebie, ale nie przestaje się uśmiechać.

Ma wrażenie, że wszyscy patrzą na niego z lekceważeniem. Nigdy nie zapomni, jak koledzy znęcali się nad nim w szatni przy boisku, jak z muszli klozetowej wyciągał swoje buty, które oni tam wrzucili.

Późno dorósł, długo pozostał dzieckiem wśród dojrzałych już rówieśników. Różowy siusiaczek, małe dłonie. Gdy cała klasa ustawiała się do zdjęcia, podkładano mu pod nogi książkę telefoniczną, żeby zrównać go z innymi. Potem bardzo szybko urósł, ale to było już w czasach licealnych. Za późno, żeby wrócić do tej szatni i wsadzić głowy dręczycieli do muszli klozetowej.

– *Czy twoi rodzice są rozwiedzeni?*

– *Nie. A dlaczego pytasz?*

To było jedno z pierwszych pytań, jakie zadała mu Delia. Dla Gaetana pełna rodzina była rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem. Szczerze mówiąc, miał czasem serdecznie dość swojej delikatnej matki, energicznej, ale niepewnej, która stylizowała się na eteryczną ważkę, i ojca, który woził żonę na tylnym siodełku motocykla enduro. Nie uważał małżeństwa za coś specjalnego. Ot, mieszanka frustracji i sentymentalizmu. Ale zawsze to coś stałego. Krzywy pal, do którego można przywiązać kajak. Wzorzec.

W dzieciństwie, gdy w nocy słuchał kotłowaniny rodziców, doznawał uczucia obrzydzenia, potwierdzającego teorie freudowskie. W miarę jak dojrzewał, przestała go obchodzić komitywa tych dwojga. Zmalała też jego miłość do matki. Serena wypiekała słone tarty dla pobliskiego baru, rozmawiała z sąsiadami, była miła i życzliwie nastawiona do całego świata, ale on nie miał z niej żadnego pożytku. Kiedyś się szprycowała i sporo jej zostało z tamtych czasów, głowa w chmurach i nieobecny uśmiech.

Delia zaś była kobietą. Czuleś jej intensywność, głębię, przy niej zdawało ci się, że słyszysz szum morza w podwodnej grocie. Wiedziałeś, że jeżeli spojrzy na ciebie, już cię nie zostawi. Przyjdzie ci na ratunek, jeżeli zapłaczesz się w czymś na dnie. Będzie trzymać nóż w ustach, uwolni cię od ołowianych ciężarków, przetnie szelki butli tlenowej. I albo umrze razem z tobą w głębinach, albo oboje wrócicie na powierzchnię.

Delii od razu spodobała się jego rodzina, uznała ją za gwarancję dla ich przyszłości. Był dla niej chłopakiem przyzwyczajonym do stabilnej sytuacji, do kłótni, które mijają bez śladu, do wspólnych obiadów w niedzielę. Jej miłość do Gaetana objęła także jego rodziców. Serena była dobrą kucharką, Delia podarowała jej bambusowe sitka do gotowania na parze. Lubiła też ojca, Alda, kawiarnianego filozofa, który prenumerował czasopismo „Focus”. Był w stosunku do niej bardzo szarmancki, jak cichy adorator. Pierwsza Gwiazdka z nimi była dla Delii

pierwszym prawdziwym Bożym Narodzeniem. Aldo wyciągnął gitarę i śpiewał *Serenella, ti porto al mare, ti porto via...*

Gaetano prychał z irytacją, ona się śmiała.

– Jest bardzo sympatyczny. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak to jest, gdy ma się ojca w permanentnej depresji.

Kilka lat później, gdy kurtyna opadnie, rodzice Gaetana będą jej się wydawać żałośni, martwi za życia tak samo jak oni. Aktywiści rewolty młodych 1968 roku, niespełnieni podobnie jak ich rewolucja. Jej przypadło w spadku dziecko ich fałszywego szczęścia, nieprawdziwej miłości.

– Jak się czuje twój ojciec?

– Miał operację prostaty.

– Wiem. Twoja matka mi powiedziała.

– Dalej mogą uprawiać seks.

Spogląda na nią i zastanawia się przez chwilę.

– Czy rak prostaty jest dziedziczny?

– Myślę, że nie.

Śmieje się. Ona też się śmieje.

– A tak w ogóle, to w którym dokładnie miejscu jest prostata?

– Nie wiem...

– Jak to, nie wiesz? Przecież jesteś lekarzem.

– Nie jestem lekarzem.

– Ale prawie, nie?

– Nie.

Zamawia jeszcze jeden kieliszek słodkiego likieru, dobrego na trawienie, jak powiedziała kelnerka. Uderzył mu już trochę do głowy. Dziewczyna uśmiecha się, pokazując rząd pięknych zębów.

– Zostawię państwu butelkę.

Delia reaguje ruchem głowy na tę trującą grzeczność.

Gaetano patrzy na szyję Delii. Na miejsce, gdzie pulsuje tętnica, w którą już parę razy zapragnął wbić długopis.

Doszło do tego, że wyśmiała jego pisanie. On też doskonale zdawał sobie sprawę, że w większości to było zwykłe gówno, że powinien być bardziej uczciwy, szczerzy itd., itd.

Ale życie pisarza musi przynajmniej trochę przypominać to, o czym pisze. A jakie on miał życie zamknięty w tym mieszkanku? Małe przykrości, rachunki do zapłacenia, przepelniona zamrażarka. Poza domem to samo. Miałkie rozmowy z ludźmi skoncentrowanymi wyłącznie na sobie – o czym właściwie? A wszystko to w mieście, które mogłoby być reklamą gówna. Nie – ludzkiej niedoli, ale zwykłego gówna rozsmarowanego warstwami jak wielopiętrowe garaże. Powinien napisać scenariusz filmu na przykład o Meksyku, o jakimś miejscu beznadziejnym

i prawdziwym. Mógłby wybrać się w podróż albo pozwolić sobie jeszcze raz na odlot, spróbować nowego towaru.

Ale może teraz dostanie szwungu. Przy viale Somalia, w Dzielnicy Afrykańskiej, która afrykańska jest tylko z nazwy, bo w rzeczywistości pełno w niej Chińczyków. Sam w tej ohydnej suterenie. Na tapczanie ślady zostawione przez tych, którzy spuszczaali się na nim, zanim ty tutaj zamieszkałeś. Lata samotności. Mieszkanie do wynajęcia dla mężczyzn *borderline*.

Tak, być może w tym miejscu najdzie go prawdziwe natchnienie. Napisze coś w rodzaju podręcznika przetrwania. Świat jest pełen prekariuszy takich jak on, ludzi samowystarczalnych, którzy mają jeszcze chęć na jazdę poza trasą. Na przykład młodych, wściekłych taksówkarzy. Ci na pewno potrafiliby docenić odważne wynurzenia faceta, któremu mogłoby się jeszcze udać, ale wolał sobie odpuścić.

Wsadzi do tej książki także historię swojego małżeństwa i byłą żonę. Pokaże Delii, na co go stać, popamięta go. Opisz nawet smak jej cipki. Wystarczy ta jedna książka. Samotna i bezużyteczna jak samizdaty.

Możliwe, że jakiś wydawca się nią zainteresuje i że ktoś ją kupi. Może nawet uda mu się poderwać na nią jakąś dziewczynę, którąś z tych, co chodzą w tenisówkach i spódnicach krzywych z założenia. Dziewczynę, która samym spojrzeniem da mu nadzieję. I popłacze się, czytając jego wypociny. Tak samo jak kiedyś Delia.

Bardzo mu brakuje takiego spojrzenia.

Jeśli nigdy go nie doświadczyłeś, jakoś żyjesz i nawet nie zauważasz jego braku. Ale jeżeli kiedyś jakaś cholerna baba przyłożyła ci do ramion skrzydła i sprawiła, że poczułeś się przez chwilę bohaterem wyjątkowej historii, potem już przez całe życie będziesz żebrać o oczy, które otwierałyby się tylko po to, żeby patrzeć na ciebie, i zamykały, żeby uwięzić cię pod powiekami.

Patrzą na nas gwiazdy. Nie są to oczy smutne i odległe. Są bliskie i fosforyzują jak te, które przykleiłeś na suficie, gdy byłeś dzieckiem.

Pewnego dnia Delia powiedziała:

– *To jest raj.*

Często wyjeżdżała z takimi gadkami.

Teraz, kiedy się nad tym zastanawia, dochodzi do wniosku, że powinien był ją od razu posłać do diabła. Wszystko rozumie – oczarowanie, czerwone jabłko. Ale jak długo można wierzyć w takie bajdy?

Problem w tym, że on tego potrzebował, a ona go wyczuła.

Prawie od razu zamieszkali razem. On zmontował biblioteczkę i podest pod maty tatami. Zapytał, czy może powiesić w domu worek bokserski, miał już nawet przygotowany hak. Ona obróciła się do niego wtedy z tym uśmiechem, który każdego by znokautował.

– *Jeżeli koniecznie musisz rozkwasić komuś gębę, zrób to i wróć do domu okrwawiony po bitwie. Ale zostaw swoją złość za naszymi drzwiami.*

Jak można buntować się przeciw tak miłej nauczycielce, która ze słodkim uśmiechem stawia cię na baczność?

– Co zamierzasz robić? Jak zamierzasz żyć?

– W jakim sensie?

Chce wiedzieć, co planuje, jak sobie zorganizuje życie intymne.

Delia podnosi kieliszek ze słodkim likierem i naprawdę go pije. Małymi łyżkami, jak lekarstwo.

– Nie wiem, jak będę żyć. Myślisz, że kiedykolwiek to wiedziałam?

– Ty zawsze wszystko wiedziałaś.

– Na rano budzę się rano, potem ubieram dzieci. Tak żyję.

Gaetano przygląda się jej, zatrzymuje wzrok na jej dłoni.

– Masturbujesz się?

Co ten kretyn gada? W jednej chwili zebrało jej się na płacz. Ale wypłaczę się później, w samotności.

– Dosyć już wypileś. Zapłać i wychodzimy.

Ale Gaetano nie ma na razie ochoty stąd wychodzić.

– Ja się często masturbuję.

Delia skuliła ramiona. Patrzy na świecę, na płomień, który nurza się w stopionym wosku. Jest zmęczona, ma mdłości.

Gaetano uśmiecha się.

– A potem płaczę. Mam orgazm i zaraz potem płaczę.

– To prawdziwie przygnębiający obrazek.

Gaetano ma ochotę wziąć ją za rękę.

– Ale muszę ci powiedzieć, że nie jestem smutny. Czuję się w formie.

– To dobrze.

– Nie chcę już więcej cierpieć. Któregoś dnia obudziłem się i powiedziałem sobie: koniec z tym.

Para starszych ludzi dzieli się deserem, kobieta podaje mężczyźnie kawałek na łyżeczce. Wkłada ją do ust męża, potem znowu nabiera trochę deseru na tę samą łyżeczkę, zjada i oblizuje ją.

Wygląda na to, że często tak robią, że to taki mały rytuał, który powtarzają z przyjemnością. Mężczyzna otwiera usta i przyjmuje deser na łyżeczce jak słodką ofiarę. Delia wyczuwa między nimi napięcie erotyczne. Kobieta trzyma piersi wyprężone jak tancerka. Ramiona ma obwisłe, ale nie wstydzi się ich odkrywać przed swoim mężczyzną, pewnie zawsze ją taką kochał, z nagimi ramionami. Miłość krucha i żywa, która postarzała się łagodnie wraz z ciałem.

Może obchodzą jakąś rocznicę, wieczór wspomnień. Delia porusza dłonią w próżni przed sobą.

Patrzy na Gaetana, na jego poplamioną koszulę i pobrudzoną szyję. Jest jeszcze młody, a już tak bardzo nieszczęśliwy. Oddycha płytko, brakuje mu powietrza, tak samo jak jego niezrealizowanym ambicjom. Duszą go pragnienia wymieszane z rozczarowaniem.

Nie potrafili dzielić się z sobą życiem. Byli zachłanni i naiwni. I nikt im nie pomógł.

Przyjaciółka Delii, Benedetta, poradziła jej, żeby wytrzymała, żeby wierzyła w moc miłości, w dobroczynny wpływ dzieci. Spotkała ją w egipskiej kwiaciarni. Benedetta razem z mężem wstąpiła do neokatechumenatu i spotyka się z innymi parami małżeńskimi w kościele parafialnym.

Rozmawiają, zbierają datki na ubogich i na misje. Wymieniają się dziecięcymi wózkami, wyrosniętymi butami. Wszyscy mają dużo dzieci, które choć różnią się wiekiem, są do siebie w jakiś sposób podobne, jak matrioszki wkładane jedna w drugą. Nie dbają o wygląd, śpiewają z twarzami zwróconymi ku niebu. Ale nie wydaje się, żeby na ziemi radzili sobie lepiej niż inni. Rozmawiają o pieniądzach, biorą tabletki na depresję.

Delia była na paru spotkaniach.

– *Cierpię, nie jestem pewna, czy jeszcze kocham męża, zgubiliśmy się w labiryncie* – ta metafora jest jej zdaniem najbardziej adekwatna: labirynt w ogrodzie angielskim utworzony z wysokich żywopłotów, fascynujący i koszmarny.

Głos kogoś z grupy napomniał ją, że pragnienie takiej miłości jest błędem.

– *Koncentrowanie się na własnym cierpieniu jest oznaką pychy.*

Jednak Delia odniosła wrażenie, że tę ich posępną pokorę zaburzają błyski megalomanii. Wielka miłość, o której mówili, nie zostawiła śladu na ich twarzach, odbijały się na nich niepewność i niezadowolenie nie mniejsze niż u niej. W tych ludziach nie było prawdziwej energii życiowej, a tylko wygasły głód.

Jeżeli to jest brzeg, na którym miałyby złożyć swoją ziemską egzystencję po to, by nie zgubić się na dobre w labiryncie, równie dobrze może nie żyć.

Gaetano chciał być artystą. Artyści byli jedynymi ludźmi, którzy go trochę interesowali, jedynymi, którzy mieli ochotę na coś więcej niż banał życia. Wiedział, że nie ma żadnego szczególnego talentu, ale był optymistą. Zaczął od wyglądu zewnętrznego, wybrał dla siebie styl ubioru. Potem czekał na samego siebie, słuchając z zamkniętymi oczami nagrań grupy Oasis. Napinał aż do bólu pojedyncze mięśnie, biceps trójgłowy łydki. Poszukiwał właściwego nastroju. Wyobrażał sobie, że wszystko powinno wziąć początek od jakiegoś nieokreślonego stanu duszy. Miał nadzieję osiągnąć ten stan raptownie.

Z tego powodu lubił oglądać w telewizji magów, którzy zamykali oczy i drżąc, wywoływali duchy z zaświatów. Wiedział, że są szarlatanami, ale był przekonany, że większość artystów to oszuści. Tyle że utalentowani. I że w ich

oczach czai się zawsze strach przed zdemaskowaniem.

Jako scenarzysta produkował na zawołanie potoki słów. Kiedy jednak pisał dla siebie, było inaczej. Zaczynał od forsownych ćwiczeń fizycznych i dopiero potem zabierał się do zadawania ciosów właściwych, do rozgrywania osobistego pojedynku. Siadał w przepoconej bluzie (oryginalnej bluzie All Blacksów), przed sobą stawiał filiżankę kawy i kładł skręta, który miał być nagrodą za twórczy znój. Zamierzał się nim zaciągnąć, podczas gdy z satysfakcją będzie czytać to, co tego dnia wyprodukował.

Zaczynał ostro. Zdania wyszarpane zębami, wystrzelone z karabinu maszynowego, opuszczona głowa boksera, który nie patrzy w twarz przeciwnika. Aż do chwili, gdy zaplątywał się w jakieś filozoficzne dywagacje, których często sam nie rozumiał.

Wtedy podnosił głowę i patrzył na ekran. I tego właśnie nie powinien nigdy robić. Bo uruchamiał w ten sposób mechanizm niszczący. Zatrzymywał się na jednym zdaniu i starał się je poprawić z uporem maniaka, jakby składało się z ostatnich słów na Ziemi. Wymieniał te słowa, przestawiał, cyzelował, aż zdanie traciło wszelki sens.

Winił za to wszystkich i wszystko dokoła. Na przykład wstęgę papieru toaletowego, którą dzieci przyciągnęły z ubikacji, żeby wytarł im tyłki.

Delia zostawiała go samego z tymi dwoma obsrańcami. Jasne, że nie mogła zabierać ich z sobą do gabinetu dietetyki, a on i tak siedział w domu. W lodówce znajdował gotowy obiad, na stole bilecik z numerami telefonu, które mogły się przydać. Włączał Discovery Channel (sporty wyczynowe, kwadratowe meduzy kostkowe, żółte żaby, survival) i pozwalał dzieciom jeść na dywanie. Surowe parówki i dżem.

– *Chyba zdajesz sobie sprawę, że zostawiasz chłopców z nieodpowiednią osobą.*

– *Jesteś ich ojcem.*

– *Ale się do tego nie nadaję.*

Delia śmiała się. Na pewno nie był ojcem banalnym. Chłopcy mogą się przy nim dużo nauczyć, na przykład jak przetrwać na pustyni, żywiąc się larwami i gigantycznymi mrówkami.

Nie miał posłuchu u dzieci. Kiedy je beształ, patrzyły na niego, jakby krzyczał z bólu, bo złapała go kolka. Nie był ich bohaterem, na co przecież zasługiwałyby każdy młody ojciec, który czołga się dla synów po podłodze i dla zabawy przykrywa się dywanem z rysunkiem żabek, zaniedbując swoją pracę pisarza, twórcy iluzji.

– *Rezygnuję dla was z wielu rzeczy.*

Mówił to czasem dzieciom. Wtedy, gdy sadzał je sobie na kolanach i poważnie z nimi rozmawiał. Z oczami czerwonymi od marihuany.

Tak naprawdę nigdy nie potrzebował prawdziwych odlotów. Uświadomiła mu to kiedyś Delia.

– *Ty nie masz skłonności samobójczych, jesteś daleki od popełnienia harakiri.*

Gaetano przybrał wtedy ten swój tępy wyraz twarzy.

– *Rzeczywiście, nie jestem zdesperowanym pedałem jak Mishima.*

– *Z tobą nie da się rozmawiać... Gdybyś tylko tę twoją fantazję potrafił wykorzystać do czegoś dobrego...*

– *Moje scenariusze są niezłe... niektóre nawet są dosyć dobre.*

– *Tak... dosyć, tak.*

Znowu ta letnia woda. Jak można żyć z kimś, kto okazuje ci tak mało entuzjazmu. To tak jak kąpać się w letnim bajorze. Ani nie grzeje, ani nie ziębi.

– Czy pracuje ci się lepiej teraz, gdy mieszkasz sam?

Gaetano potakuje. Myśli o suterenie przy viale Somalia, o małym Chińczyku, który bawi się zwykle samochodzikiem przy kracie jego okna.

– Tęsknię, a tęsknota przydaje się przy pisaniu.

Wypija trochę wina, dotyka brzucha, ciało ma jędrne, ale przez koszulę czuje, że jest go trochę więcej niż kiedyś. Musi zacząć biegać, jeżeli nie chce przytyć.

– Uważasz, że pisarze nie mają właściwych relacji ze światem?

– Żyją wśród wymyślonych przez siebie postaci, szukają z nimi bliskości... to znaczy szukają bliskości tylko z samymi sobą.

– Ja taki nie jestem.

– To prawda. Bo ty nie jesteś prawdziwym pisarzem.

– Więc kim jestem?

– Jesteś taki sam jak wszyscy. Jesteś człowiekiem, który próbuje wszelkich dróg, żeby zaistnieć. Ale nie potrafiłeś żyć z nami.

– Zawsze nisko mnie ceniłaś.

– No i rzeczywiście, zostawiłaś nas.

– To ty wyrzuciłaś mnie z domu.

– Jestem jeszcze zbyt młoda, żeby wychowywać nastolatka czy też niedorosłego mężczyznę. Wystarczą mi moje małe dzieci. Być może za parę lat byłoby mi łatwiej cię znosić.

Wystarczyło wytrzymać jeszcze parę lat. Najwyżej skumulowaliby kilka dodatkowych bojaźni, jakieś nowe traumy, ale być może pozostałoby razem.

Mogli spokojnie pogodzić się z porażką, podobnie jak większość par małżeńskich. Rozłożyć ją w czasie na mniejsze raty, tak jak to się robi z kredytem na mieszkanie. Aż w końcu przyzwyczailiby się do popękanych ścian, do szpar, przez które mogliby od czasu do czasu uciec.

Matka Gaetana powiedziała jej kiedyś przy szklance ciemnego piwa: *kiedy*

życie się skraca, człowiek spuszcza z tonu. Zaczyna się czas wielkiego chłodu.

Z pamięci Sereny wynurzył się tytuł tego akurat filmu. Uśmiechnęła się i zaraz się poprawiła: *To znaczy, chciałam powiedzieć: czas dojrzałego uczucia.*

Z daleka dobiega odgłos uderzenia. Nocny wypadek na jednym z zabójczych skrzyżowań na Nomentanie.

– Miejmy nadzieję, że to nic poważnego...

Delia rozgląda się dokoła z wyrazem twarzy, jaki ma zawsze, gdy martwi się o losy całego świata. Wyobraziła sobie pewnie jakiś tragiczny karambol.

Gaetano zjada kolejny racuszek. Życie toczy się w ciemnościach nocy z tobą lub bez ciebie, bez różnicy. Zapiekło go w przełyku. To nic, później zażyje maalox.

Dłoń starszej kobiety sunie po stole w kierunku męża, on zaraz zakrywa ją swoją ręką gestem ukradkowym i szybkim. Gaetano patrzy na te złączone dłonie z plamami wątrobowymi. Mężczyzna powiedział swoim gestem: *Jestem przy tobie, przykrywam cię ręką jak ciepłym kocem nocą, jak sokół rozpiętym skrzydłem. Nigdy mnie przy tobie nie zabraknie, żebyś ani przez chwilę nie czuła się opuszczona.*

Ta dłoń kojarzy się Gaetanowi z wiekiem trumny. Ale zaraz przychodzi mu do głowy, że być może pod nią wciąż jeszcze wibruje życie, szczęście bardziej wartościowe niż cała jego niepotrzebna nikomu przyszłość. Chciałby przez chwilę być tym starszym mężczyzną. Tylko po to, żeby się dowiedzieć, co jest pod jego dłonią.

– Kto z tych dwojga umrze pierwszy?

– Słucham?

Delia patrzy gdzieś daleko. Na inny stolik, na inne morze.

– Ci tam... zastanawiają się pewnie, które z nich wcześniej umrze.

– Skąd wiesz?

– To jedno z tych pytań, które stawiają sobie starsi ludzie.

Gaetano nadyma lekko usta, wydobywa się z nich świst.

– No cóż...

– Co to znaczy: no cóż?

– Mój dziadek zmarł, wzdychając: no cóż...

– I co z tego?

– Nic. Ale to piękne, pożegnać życie takim westchnieniem. No cóż...

Delia prostuje szyję, jakby coś przeszkadzało jej w gardle.

– Mogę przyjechać po swoje ubrania?

– Kiedy tylko chcesz... Gdy nie będzie dzieci.

Gaetano myśli o tych kilku swoich szmatkach, jeansach i koszulkach ściśniętych w szafie pomiędzy jej rzeczami a pudłami z nieużywanymi ciuszkami dzieci. Przypomina sobie, jak układała małe ubranka, ukradkiem całowała śliniaczek. Po tych miniaturowych ogrodnickach, po śpioszkach poplamionych sokiem widać, jak przemija życie.

Kąpiele w wannie po powrocie z parku w niedzielę wieczorem, potem piżamki w owieczki. Najpierw kładli chłopców do łóżka małżeńskiego, potem przenosili ich do dziecięcych łóżeczek. Dwie głowy w końcu umyte i pachnące, gotowe na nadchodzący tydzień. Wychodzili z pokoju chłopców, otwierali wino. Próbowali być szczęśliwi. Tam młodziutkie ciała dzieci. Tu, w kuchni ich dojrzałe ciała dorosłych. I bambusowe podkładki pod talerze.

I wciąż te same marzenia, *chciałbym żyć, chciałbym móc się realizować, chciałbym latać, wznieść się wysoko*. Włączali cichą muzykę, kiwali do rytmu głowami.

Mieszkanie mieli małe. Pozbycie się niepotrzebnych przedmiotów, wózków i zabawek zajmujących dużo miejsca, było sporym osiągnięciem. Gaetano zapełniał kartony i zaklejał je taśmą. Dni, w których robili porządki, były najlepsze. W górę i w dół do piwnicy albo do żółtego pojemnika na śmieci. Od razu widzieli różnicę. Pusty kąt pomiędzy stołem a lodówką, przestrzeń w szafie. W tym domu luksusem był każdy wolny centymetr.

– Nigdy nie widziałam większego bałaganiarza od ciebie.

Po powrocie z podróży służbowych Gaetano zostawiał w salonie otwartą walizkę, wyciągał tylko ładowarkę i cukierki z lukrecją dla dzieci. Delia schylała się, żeby wyjąć majtki, brudne skarpetki, jak matka. Z trudem wracali do zwykłego życia. On bywał w hotelach z obsługą hotelową, mógł robić co chciał i kiedy chciał. W domu pewnie wiele rzeczy mu przeszkadzało. Kawiarka z przypalonym uchwytem, twarde ręczniki. Brał prysznic i zawsze zostawiał bałagan.

– *Podnieś szlafrok!*

To była jedna z ich najgorszych kłótni. Ona wtedy ustąpiła, posprzątała łazienkę, ale potem zrobiła się zielona na twarzy jak Hulk Nica.

– Teraz się poprawiłem.

Wciąż jeszcze miesza brudne rzeczy z czystymi, szczoteczkę do zębów kładzie w kuchni, koszule odebrane z pralni zostawia w folii. Ale już dziś wieczorem zacznie wszystko porządkować. *Czy rozstaliśmy się z powodu tego szlafroka porzuconego na podłodze?*

Tak naprawdę gównu go obchodzą te wszystkie szmaty, te jeansy, które wcale mu się już nie podobają, należą do innego życia, okrywały tyłek innego człowieka. Może tylko ta koszulka z Londynu z kościotrupem... Chciałby ją poczuć na sobie, modnie spłóviała, z bawełny w dobrym gatunku. Ale w końcu na świecie jest mnóstwo koszulek. Jeden T-shirt z kościotrupem nie przywróci przeszłości. Czasów, kiedy był szczęśliwy, przynajmniej trochę. Kiedy był kretynem, ale nic sobie z tego nie robił.

Teraz cierpi, myśli o domowych zapachach ubrań wyjętych z pralki i kadzidełek wetkniętych w pomarańczę. Wychodzą z domu przesiąknięci tym samym zapachem i rozchodzą się po mieście. Rodzina...

Kiedy mężczyzna staje się więźniem kobiety? Jej humorów, jej zmarszczonego czoła? Kiedy zaczyna za nią gonić, sam się przy tym gubiąc?

– Wiesz co? Wyrzuć to wszystko.

Delia patrzy na niego jak na szaleńca. Od miesięcy zamęcza ją, żeby odebrać swoje rzeczy. Nienawidziła go za to, *temu kretynowi zależy tylko na tym, żeby odzyskać swoje koszulki, swoje pierdoły, swoje ciężarki do ćwiczeń...*

– Jak chcesz.

– Zapakuj wszystko w dwa czarne worki i wyrzuć do śmieci.

Wyrzuć trupa.

Gaetano chciałby jej powiedzieć: *przechowaj jeszcze przez jakiś czas w domu tego mojego trupa...* To jest jak cios w żołądek – w ich mieszkaniu nie ma już nawet jednej jego skarpetki. Miną lata, życie odłoży się warstwami, a po nim nie zostanie nic, żaden ślad po jego życiu w tych trzech pokojach.

– Czy czujecie... czy czasem wam mnie brakuje?

Co za idiotyczne pytanie! Skąd mu przyszło do głowy?

Ona patrzy na niego pogardliwie.

– Wprowadzałem do waszego życia sporo zamieszania... więc pewnie... pewnie jest wam lepiej beze mnie.

Rzuciła mu w twarz salaterkę lodów i jeszcze nic nie zrozumiał.

– Do czego ci to potrzebne? Dlaczego się zachowujesz jak zbity pies?

Złość jest teraz zimna i zwarta jak bloki sprasowanego starego żelastwa, które widzieli na wystawie sztuki konceptualnej.

– Tak, jest nam lepiej bez ciebie.

Koszulka z Londynu. Ściągnęła ją z niego, gdy się kochali... Gdzie to było? W domu jego kolegi. Podniósł ramiona, a ona ściągnęła mu ją przez głowę.

Pewnego dnia natknęła się na tę koszulkę na półce w szafie i miała ochotę zanurzyć w niej twarz. Tak, zaraz wyrzuci do śmieci tę szmatę z nadrukowanym kościotrupem i całą resztę.

Musi wracać do domu. Dzieci się obudzą i będą jej potrzebować. Żeby podała im szklankę wody, żeby przytuliła je i odgoniła nocne koszmary.

Gdyby tylko nie miała tego cholernego poczucia obowiązku...

– Kto ci powiedział, że ja nie jestem samotna? Jeszcze bardziej samotna od ciebie?

– Ty masz dzieci.

To właśnie z powodu dzieci czuła się tak bardzo samotna. Zapewniały jej życie, ale zagarniały przy tym dla siebie także jej intymną przestrzeń. Poza tym za każdym razem, kiedy na nie patrzyła, wracała wciąż ta sama myśl: *gdzie jest ich ojciec?* Miała przy sobie dwie sieroty. Sieroty po ich małżeństwie.

Być może kiedyś jakiś mężczyzna zbliży się do niej. I do nich. Ale to nie będzie to samo.

Gaetano wyjął książeczkę czekową. Delia spogląda na błękitny bloczek.

– Zmieniłeś bank?

– Tak. Mają filię pod moim domem, to duża wygoda. I nigdy u nich nie ma kolejki.

– Dają dobre oprocentowanie?

Nabija się z niego, to oczywiste. W pewnym momencie zaczęła z niego kpić. To było wtedy, gdy przestała go kochać.

– Nie mam takich pieniędzy, żeby mnie to mogło obchodzić. Wystarczy, że grzecznie mnie obsługują.

– Jasne.

Delia wyobraża go sobie w tym banku, jak rozgląda się w poszukiwaniu kogoś, z kim mógłby pogadać, komu mógłby zawracać głowę. W ręce trzyma kask motocyklowy, przenosi ciężar ciała z nogi na nogę, niezdecydowany, na której się oprzeć. Jak zawsze, chce czuć grunt pod nogami. Uśmiecha się, przepuszcza w kolejce staruszkę albo jedną z tych sekretarek, które przynoszą do banków po kilka czeków naraz. Potem opiera się na kontuarze przy okienku i zatapia wzrok w oczach urzędniczki. Ma przy tym to swoje wilgotne spojrzenie, dopraszające się uznania i zbliżenia.

– Masz może długopis?

Do stolika podchodzi kelnerka, podaje mu długopis. On dziękuje ruchem głowy.

– Zaraz oddam.

Być może później, kiedy Delia już pójdzie do domu, wymienią się adresami mejlowymi. Gaetano wróci i zacznie z nią dowcipkować. Potem niespodziewanie spojrzy na nią poważnie, a ona uwierzy w to spojrzenie. Gaetano jest gotowy przywarować na jakiś czas u stóp nieznanym kobiecie, wykorzystując pierwszy lepszy pretekst, na przykład pożyczony długopis, po to tylko, żeby w tym trudnym okresie postmałżeńskim nie wyjść z wprawy w poruszaniu się w miłosnym szlamie.

Gdyby i ona mogła jeszcze kiedyś ulec złudzeniom, choćby jeden raz!

Być znowu jak przeniecony worek, zaryzykować wszystkim dla jednej nocy, jednej miłości. Wie, że to nie będzie łatwe. Ma w oczach noktowizor. Z daleka wyczuwa zagrożenie porzuceniem, wystrzega się jak ognia sytuacji, które mogłyby ją zastać obnażoną i znowu nieprzygotowaną. A ile okazji jej się jeszcze przytrafi? Kobieta, która jest matką, nie może pozwolić sobie na pomyłkę, nie może się rzucać w pokrzywy.

Wróci do domu. W windzie wyprostuje się i uniesie brodę, żeby dodać sobie animuszu. Jest samotna i nie jest nawet artystką. Jest jak resztkę materiału pozostałego po wykrojeniu sukienki. Jedna z wielu kobiet w nadmiarze. Powiększy armię tych bez przydziału. Trzydziestolatek bez pary, które umawiają się na

aperitif, wchodzą grupką do sex shopów, chichocząc. Ma parę takich znajomych. Carlotta, Alberta, koleżanki z liceum, które spóźniły się na pociąg i teraz czekają, aż jakieś małżeństwo wypadnie z szyn, żeby przyjąć między uda zagubionego podróżnika.

Kryzys. Współczesna choroba, przerażająca tak samo jak rak. Nie do zatrzymania, gdy zaczyna się rozlewać na wszystkie strony. Inwazja obcych. Meduza, która nagle rzuca cień, zakrywa twój promień światła w czarnym morzu miasta.

Gaetano nie chciał nawet słyszeć tego słowa.

– *Jaki kryzys?! Jesteśmy po prostu przemęczeni, i tyle.*

– *Już siebie nie pożądamy.*

– *Ja cię kocham ogromnie.*

Gaetano wychodził do kuchni, żeby wycisnąć sok z pomarańczy dla obojga. Kupił profesjonalną wyciskarkę, która zajmowała mnóstwo miejsca w ich małej kuchence. Wszystko, co znosił do domu, zajmowało mnóstwo miejsca. Kupował zawsze rzeczy większe i droższe, niż to było konieczne, w przekonaniu, że w ten sposób rozwiązuje problemy raz na zawsze. Idealny klient dla sprzedawców, takich samych zdesperowanych mitomanów jak on.

Wyciskał sok z kilograma pomarańczy.

– *Musisz to wypić w dziesięć sekund, bo po piętnastu witaminy znikają i równie dobrze możesz pić sok z kartonu.*

Zawsze taki sam. Prosto z *Księgi rekordów Guinnessa*. Pił swój sok i sprawdzał, czy ona robi to samo.

– *Powiedz prawdę: czujesz się teraz lepiej?*

W kuchni walały się połówki pomarańczy bez miąższu. Delia patrzyła na ten bałagan obojętnie. Dziesięć lat wcześniej kochaliby się na cmentarzu cytrusów, ona śmiałyby się głośno, a potem drżała i oddychała całą sobą. W piersiach miałyby tylko najlepsze powietrze, to, dla którego zaraz po narodzinach warto było nauczyć się oddychać.

On wcale tak bardzo się nie zmienił. Ma to samo spojrzenie człowieka gotowego pójść na każdą ugodę, byle tylko akceptowano go i kochano. Gotowego na każde oszustwo.

To ona teraz patrzyła na niego z innej perspektywy. Znajdowała się w innym punkcie życia. Urodziła dzieci. To był silny kopniak, który popchnął ją daleko do przodu. Wiele drzwi zamknęło się przed nią albo właśnie się zamykało. Także w życiu zawodowym. Dostała propozycję pracy poza Rzymem w ośrodku wyspecjalizowanym w zaburzeniach odżywiania u nastolatków, ale nie mogła pozwolić sobie na dalekie dojazdy, wracać do domu o dziesiątej wieczorem. Została więc w budynku pomalowanym morelową farbą niedaleko domu i dzieliła gabinet z urologiem.

Ludzie, którzy przychodzili do niej po poradę, nie mieli zamiaru zmieniać diety na zdrowszą. Chcieli, żeby im przepisała tabletki na schudnięcie, oczekiwali od niej cudu. Delia stawiała krzyżyki przy produktach spożywczych wypisanych na gotowych formularzach. W odróżnieniu od urologa, wystawiała rachunki, ale uczciwość nie wystarczała, żeby czuła się w pracy szczęśliwa. Nie wierzyła, żeby mogła komuś naprawdę pomóc. Satysfakcja ze skrupulatnego spełniania codziennych obowiązków rozjaśniała jej dni przygaszonym światłem. Dostosowała się.

W tym samym morelowym budynku mieszkał kot ze złamanym ogonem. To był piękny kot, ale przez tę martwą antenkę sprawiał wrażenie niepewnego, sparszywiałego. Delia widywała go, jak przemierzał podwórko, a zaraz za nim szła cała rodzina. Przychodziło jej przy tym często na myśl jej małżeństwo. Ona zachowywała się podobnie, próbowała udawać, że nic złego się nie dzieje, ale to było niemożliwe. Nie chciała, żeby umarło w niej to, co najlepsze, jej antena, jej ciekawość świata. Było za wcześnie, żeby uwierzyła, że całe życie może zależeć od takiego martwego ogonka.

Kiedyś bardzo dobrze gotowała, ale od jakiegoś czasu dokładała starań jedynie wtedy, gdy przyrządzała posiłki dla dzieci. Siebie i Gaetana karmiła byle czym, ziemniaczanym purée, paluszkami rybnymi. Najchętniej podawałaby zawsze te same potrawy. Wtedy stałoby się jasne, że nie ma dla nich ratunku. Jedzenie powinno mieć smak wspomnień, a im zostałyby tylko smak nudy.

Starszy mężczyzna siedzący przy stoliku pod ścianą poprosił o rachunek. Zrobił to takim gestem, jakby w dłoni trzymał kastaniety.

Przez chwilę Delia ma przed oczami swojego ojca. Co jakiś czas wydaje jej się, że go widzi, zwłaszcza wtedy, gdy nie zapala światła w przedpokoju i zdejmuje płaszcz po ciemku.

Zmarł na zawał serca w pewnym barze w porcie Amalfi. Delia załatwiła wszystkie formalności związane z pogrzebem. Krótko przedtem urodził się Cosmo, nie umiała się skupić na śmierci ojca.

Dopiero dużo później zaczęła wracać myślami do przeszłości. Czuła przy tym złość. To niesprawiedliwe, że ojciec nie widział jej takiej, jaka jest teraz, nie poznał jej jako matki dwojga dzieci. Bardzo jej go brakowało. Wyobrażała sobie, jak otwierają się drzwi mieszkania, wchodzi dziadek Nicola, wkłada kurtki Cosmowi i małemu Nicoli, zabiera ich na spacer do starożytnych ruin Rzymu, do planetarium. Ojciec miał ogromną wiedzę i dyskretny sposób bycia. A Gaetano był tak młody i nieprzewidywalny. Delia kochała go, ale bardzo potrzebowała tego zrównoważonego, spokojnego człowieka, który nagle zniknął z jej życia. Myślała o tym wieczorami, gdy czuła się śmiertelnie zmęczona, a Cosmo zamiast spać, drapał paznokciem po ścianie i dobiegał do niej ten dźwięk, ledwie słyszalny, ale przygnębiający.

Był to dla niej dźwięk nieistnienia... drapanie ciszy.

– *Przestań, kochanie.*

Pewnego dnia zatrzymała się, potem zrobiła krok w tył. Zaczął się regres.

Udawanie, że wciąż może iść do przodu, dotrzymywać kroku dorastaniu chłopców, podczas gdy pod nogami miała bieżnię treningową z pasem przesuwającym się w przeciwnym kierunku, stało się ponad jej siły.

Delia miała w sobie wiele osobowości i Gaetanowi podobały się wszystkie te kobiety skupione w jednej. Warstwa na warstwie, lód i ogień, różne odcienie emocji. I jeszcze uczucie, że może ją porwać wiatr, więc musi ją trzymać blisko przy sobie. Uwielbiał z nią rozmawiać, obserwować, jak się zmienia, patrzeć na wszystkie jej twarze i wszystkie jej gesty. W jej oczach Indianki widział stado zwierząt w galopie. Była dla niego uśmiechem losu. Przeciwnością monotonii.

Ale potem Delia stała się nudna. Nudna była jej nieprzewidywalność. Kto przyjdzie wieczorem do domu? Zmęczona pracą dietetyczka czy kobieta łaknąca miłości, która nie może sobie znaleźć miejsca na świecie?

– *Czasem myślę, że ten tak zwany najlepszy wiek jest wiekiem najgorszym...*

– *Żyjemy, tak mi się przynajmniej wydaje...*

– *Wydaje ci się?*

Gdy nie byli jeszcze małżeństwem, miała zwyczaj kroić jabłka na małe kawałki. Teraz on był jej jabłkiem. Głową Wilhelma Tella, w którą mierzyła z łuku. Codziennie jedna strzała.

Pewnego wieczoru powiedziała:

– *Bardzo mi brakuje ojca... A ty nigdy tego nie zauważyłeś.*

Gaetano pragnąłby usłyszeć: *najbardziej brakuje mi ciebie.*

Jemu Delii brakuje straszliwie. Brakuje mu ich wszystkich.

Pomimo to stara się być mężczyzną. Stara się ją pocieszyć.

Delia wyciąga tę starą historię z obozem koncentracyjnym, z wrodzonym smutkiem. Mówi, że śmierć ojca była na pewno samobójstwem. Pewną formą samobójstwa.

Najchętniej powiedziałbyś: *Co za bzdury opowiadasz! Twój ojciec zmarł na zawał serca. Wybrał się z przyjacielem dentystą na wycieczkę żaglówką, jedną z tych luksusowych łódek wyłożonych drewnem tekowym, model Swan 45. Był zachód słońca jak z widokówki, czas aperitif. Twój ojciec zmarł na serce, trzymając w ręce kieliszek martini z lodem. Nic tylko pozazdrościć!*

Zamiast tego słuchasz tego pieprzenia i potakujesz jej słowom. A i tak na koniec Delia przechodzi do ataku: *nie starasz się mnie zrozumieć, jesteś nieobecny, daleki myślami, nie ma cię przy mnie...*

Jeszcze przed chwilą miałeś ochotę ją przelecieć (choć jest naprawdę zbyt chuda, zostały z niej skóra i kości, jak kiedyś, tylko że twarz ma bardziej kanciastą, twardą). Teraz chciałbyś umrzeć tu przed nią na zawał, jak jej ojciec, żeby choć

trochę cię kochała. Podchodzisz do barku, nalewasz sobie jakiegoś wysokoprocentowego alkoholu, umierasz z kieliszkiem w ręku. Czujesz, że to jedyny sposób, żeby stać się ważnym dla tej jej cholernej rodziny, która jest bogatsza, bardziej kulturalna, bardziej oziębła i jeszcze bardziej obmierzła niż twoja.

Pewnego dnia Delia pomyślała, że Gaetano jest po prostu głupi. Jego spojrzenie, te głęboko osadzone, zacienione oczy, w których zdawała się ukrywać jakaś tajemnica, teraz były jak dwa błyszczące guziki, zupełnie pozbawione głębi. Patrzyła na jego małpie miny, słuchała, jak przy stole głośno przełyka jedzenie. W dzieciństwie żywił się kanapkami i coca-colą, i taki pozostał – miłośnik fast foodu, tylko że wyrośnięty. Posiłki szybkie i bezwartościowe, polane kolorowymi sosami.

Także śmiech Gaetana ją irytował. Kiedyś jego wesołość wydawała jej się prawdziwa, jego zachowanie spontaniczne, a starania szczere. Facet, który cię rozśmiesza, ratuje od depresji ptysiami z kremem. Teraz był dla niej jak uczestnik reality show. Kiedy na przykład spotykał znajomego z telewizji i zwijał się ze śmiechu, słuchając kretyńskich dowcipów, po czym wracał do domu i rozkładał się na tapczanie, w jednej chwili sposepniały i zgaszony.

– *Wszyscy mnie lubią, tylko ciebie wkurzam.*

– *Inni nie wiedzą, jaki jesteś naprawdę...*

Ona знаła inną symfonię, tę w minorowej tonacji, odgrywaną na nerwicach wrośniętych pod skórę jak paznokcie, które Gaetano obgryzał do krwi.

Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Chociaż zdawało się, że ma tak solidne podstawy. To właśnie powiedziałby Gaetano każdej napotkanej parze, gdyby mu się chciało pomagać innym ludziom. *Nie ufajcie nawet sobie samym ani niczemu, co w waszym mniemaniu udało wam się zbudować.*

To, co do wczoraj wydawało ci się niemożliwe, teraz naprawdę się dzieje. Twoja żona zachowuje się, jakby ją opętało, ty też nie jesteś normalny. Niespodziewanie dla samego siebie wrzeszczysz na dzieci. Bo biegają, bo są żywe. A potem kładziesz się przy nich i tulisz do ich poduszki.

Co się z mną stało? To głos brzuchomówcy... nie, to głos twojej żony. *Co się z tobą stało?*

Wiesz, że upodobniłeś się do ojca. Podczas gdy udawałeś, że uciekasz jak najdalej od tego, który przywołał cię na świat. Burczysz tak samo jak on: *ja w tym domu już się wcale nie liczę.* Nareszcie jesteś sobą, najgorszym sobą. Nie możesz znieść teściowej. Przychodzi do twojego domu, żeby cię osądzać w milczeniu, patrzy na twój bałagan, głaszcze małą *squaw* po chudych plecach. Zawijają komitęwę przeciw tobie. Odnawiają pierwotny, zawarty jeszcze w trzewiach sojusz Siuksów, tylko po to, żeby cię wykantować. Następuje zabójczy dla ich związku powrót języka rodziny pochodzenia.

Pierwszy śmiech Nica. Właściwie to by wystarczyło.

Byli w pizzerii nad morzem, niedaleko, w miejscu, do którego można pojechać na jednodniową wycieczkę. Poszli tam wieczorem, mieli spalone plecy. Nico w wózku spacerowym i Cosmo z trójkątem pizzy w ręce. Podszedł do brata i podał mu ten kawałek ciasta z mozzarellą. Zaczęli ciągnąć roztopiony ser z buzi do buzi. Cosmo robił zabawne miny i wtedy Nico wybuchnął śmiechem. Najpierw zagulgotał, jak to robił do tej pory, a potem już śmiał się na całego. Oni też się śmiali, byli zachwyceni. A ludzie wokół nich – wzruszeni widokiem małego chłopczyka, który zaśmiewa się na cały głos.

Cosmo wtóruje mu i teraz są już braćmi, którzy śmieją się razem i nie mogą przestać.

Ten śmiech... Gdzie się podział? Gdzie go szukać na świecie?

Wydawało się, że ich ocali, że na zawsze otworzy bramy szczęściu. Byli pewni, że ocali ich radość Nica, spontaniczna jak jego charakter. Ona miała te swoje nieładne zęby, ale wcale się tym nie przejmowała. Dlaczego nie zatrzymali się w tym miejscu? Szeroko otwarte usta, głośny śmiech jak w finale amerykańskiej komedii.

Gaetano wypełnia czek. Gdy go podpisuje, Delia czuje, że brakuje jej powietrza. To z powodu tych wszystkich podpisów, które zamieszczali obok siebie w całym ich małżeńskim życiu. W każdej chwili mogłaby opisać, jak wygląda u niego litera G – wykręca ją jak korkociąg.

– Czy jesteś pewny, że masz tyle pieniędzy?

Mówi, że tak, a potem się śmieje.

– Pracowałem.

Magiczne słowo. Jest z siebie naprawdę zadowolony.

Dał jej więcej pieniędzy, niż mógł sobie pozwolić. Zaskoczył ją, kiedy wyrwał ten czek z bloczka. Nie dopuści do tego, żeby jego dzieciom czegoś brakowało. Chce być ojcem w pełnym znaczeniu tego słowa. Kiedy mu zapłacili, był niezmiernie szczęśliwy. W banku przelał wynagrodzenie na konto i wyszedł uśmiechnięty przez drzwi obrotowe z kontrolą dostępu. Coś się zablokowało i drzwi pozostały zamknięte przez dłuższą chwilę. Kiedy stał w tej szklanej bańce, czuł, że kocha cały świat. To był wspaniały dzień, dzień wytchnienia. Miał pieniądze dla swoich dzieci.

Delia patrzy na czek. To już coś. Ten czek nadał sens całemu wieczorowi. Wie, że w najbliższych miesiącach nic więcej nie dostanie.

– Wolalabym, żebyś wpłacał regularnie stałą sumę na moje konto. Wiedziałabym, na co mogę liczyć.

– Teraz możesz liczyć na to, co ci dałem. To dużo pieniędzy.

Patrzy na nią... co on sobie właściwie wyobrażał? Chciał odzyskać... chciał zarobić sobie na jej poważanie. Choćby najmniejsze.

- Nie wiem, jak ja mogłem to wytrzymać... naprawdę nie wiem.
- Ja też nie wiem. Jak mogłam mieć z tobą dwoje dzieci.
- Dzwka, dzwka, dzwka...

Nie potrafiłby powiedzieć, ile razy powtórzył to słowo. Delia obserwuje go z uśmiechem, nie protestuje, poddaje się druzgocącemu urokowi tej chwili prawdy.

Nareszcie patrzą sobie w oczy.

- ...dzwka, dzwka, dzwka...

Rozpoznają niepowtarzalny smak klęski, krzywdy, którą sobie wzajemnie wyrządzili. I niezaspokojone pragnienie, które być może już zawsze takim zostanie.

Jesteśmy wciąż jeszcze w tym samym miejscu, ty dzwko.

Także kiedy się kochali, prowokowała go do używania wulgarnych słów. Zawsze milcząca, bierna, uległa aż do końca.

- Zniszczyłeś mi życie.
- To ty mi zniszczyłaś życie.
- Nic nie jesteś wart.
- Wiem i mam to gdzieś.

Gaetano się śmieje i robi się brzydki, bo uśmiech odkrywa dziąsło nad górnymi zębami, zbyt drobnymi u mężczyzny.

- Szkoda mi tylko dzieci, niczego więcej.
- Dzieci zostaw w spokoju.
- Nie zasłużyły sobie na takiego ojca.
- A ty? Za kogo ty się właściwie uważasz?
- Ja nie pozwalam sobie na takie ekscesy jak ty. Robię, co mogę, żeby je chronić.

Zbiera jej się na płacz, ale postanowiła, że już nigdy nie będzie przed nim płakać.

- Chronić przed kim? Przede mną?

Delia grzebie w torebce, szuka czegoś, może chusteczki. Torebka spada na ziemię, Delia ją podnosi. Spotyka wzrok starszego mężczyzny przy stoliku pod ścianą, zdaje się uśmiechać do niej.

– Nie chcę, żeby były podobne do nas. Chcę, żeby były od nas lepsze. Ale boję się, że będą powielać nasz model.

- Ja kocham je bardziej niż ty.
- Jesteś osobą nieźrównoważoną. Dobrze o tym wiesz.
- A ty... ty jesteś złym człowiekiem.

Delii przyszło na myśl, że mówi do niej tak samo jak do swojej matki. Była kiedyś świadkiem ich kłótni, kiedy krzyczał: *jesteś zła!* jak rozzłoszczone dziecko.

Niebezpiecznie jest znać ludzi aż tak dobrze, że potrafi się odgadywać pochodzenie ich uczuć. Bo potem wszystko burzy huragan rozczarowania, strach przed wielokrotną śmiercią.

Małżeństwo nauczyło ją, że intymność – te drzwi, które otwierają się między dwojgiem ludzi – wcześniej czy później rodzi niechęć.

Gdyby ona nie poznała, nie pokochała, nie sklasyfikowała i nie znienawidziła każdej jego cząsteczki, nie uznałaby spojrzenia, które w tym momencie do niej kieruje, za daremne. Wzięłaby je za spojrzenie pełne światła, które może choć trochę rozjaśni jej mrok.

Już zawsze będzie się wystrzegać takiej bliskości. Dzielenia się rozczarowaniem. Bo w końcu do tego właśnie zredukowała się miłość. Pewnego dnia stwierdzasz, że już nie chcesz być postrzegana jako kobieta brzydka i zaniedbana, jako nerwowa i nieczuła pielęgniarka, która niedbale podłącza pacjentowi kroplówkę.

- Ocaliłam cię dziesiątki razy, Gaetano.
- A ja? Czy nigdy nic nie zrobiłem dla ciebie?
- Zrobiłeś. Na swój sposób.
- Kiedyś ten mój sposób bardzo ci odpowiadał.

Delia kiwa głową. Gaetano ma rację. I to właściwie podnosi ją na duchu – że przynajmniej raz to on ma rację. Zaczynało jej ciężać, że racja jest zawsze po jej stronie.

Gaetano patrzy na nią i przypomina sobie może przy tym, jakie to wszystko było proste na początku. Jej twarz się zmieniała. Choć jest to wciąż ta sama twarz, jaką miała, gdy krążył po mieszkaniu w poszukiwaniu czekolady.

- Na początku też się kłóciliśmy.

To prawda. Pamięta więcej niż ona. Kłócili się jak dzieci, które się boją, że się zgubią. Trudno im było się dopasować, każde z nich miało tyle energii, że co jakiś czas iskrzyło między nimi.

- Lubiliśmy się kłócić.
- Nie, ja nigdy nie lubiłam się kłócić.
- Ale lubiłaś się godzić...

...lubiłaś się ze mną potem kochać. Tego nie powiedział. Krępuje się. Boi się, że odżyje w pamięci jakiś zapach, jakiś obraz – tak bardzo ich, ale tak bardzo martwy. A trudno się z tym pogodzić. Splecione nogi, włosy, cała reszta. I to, co było potem. Ona przy oknie, rysunek jej pośladków. Wypukły brzuch z dzieckiem, które miało się narodzić. Obrazy zasypują cię jak lawina, wszystkie razem. Nie potrafisz jej zatrzymać. Tyle życia. I zaraz potem, po najwyżej trzech sekundach myślisz o śmierci. O tym, jak chcieliście uprawiać seks, ale do niczego nie dochodziło. Wtedy jeszcze żartowaliście sobie z tego, żartowaliście z waszego cierpienia. Zachowywaliście się jak dwoje przyjaciół na szkolnej wycieczce.

Delia czyściła małże. Gaetano patrzył, jak wypływa z nich woda z piaskiem, i myślał o ich wspólnym życiu, o mieście, o wszystkich niepotrzebnych zależnościach.

– Pojedźmy gdzieś. Bez dzieci.

Pojechali ponownie do gorących źródeł. Tym razem zatrzymali się w hotelu, wynajęli wygodny pokój. Nie mieli dostatecznie dużo energii, żeby się obnażać w białym błocie, przy świecach.

Nie należy wracać do takich miejsc. Do sanktuariów.

Nie powinni byli robić tego fatalnego kroku w tył.

Wokół słyszeli głosy, mówiły nawet zarośla, mówiła woda... *nie jest tak jak kiedyś, już nigdy tak nie będzie...* Jakbyście to nie byli wy, ale inny mężczyzna i inna kobieta. Mieliście wrażenie, że wszystko, co dotąd zbudowaliście, jest tylko stwardniałym błotem.

Tego wieczoru przed kilku laty chcieliście nade wszystko wytrzymać. Byliście wystraszeni, bałeś się, że ją stracisz, oboje obawialiście się, że się zgubicie, że wessie was gęsta, ciepła woda z bajora. Ta niepewność była miłością. Ramieniem w wodzie.

Teraz znowu tu jesteście. Dwa ciała – niewzruszone i szczelne, zamknięte w materii, którą obrosły, która jednak w tym ciepłym źródle nie ma żadnej wartości, nie daje bezpieczeństwa. Ona drży z zimna, więc mówisz: *wyjdź, jeżeli chcesz, idź do hotelu*. Już się nie boisz, że ją stracisz. Zanurzasz głowę pod powierzchnię.

W czym tkwi tajemnica wiecznej miłości? Podróży, którą można zaczynać wciąż na nowo... Czy to naprawdę wyłącznie kwestia hormonów? Jak u psów, które się atakują?

Mój Boże, jakże czytelne było to, co komunikowała im natura w tym miejscu. Padła na nich klątwa.

Gaetano potknął się o gałąź, zaboląła go wykręcona kostka. Wokół było dużo turystów, grupa Belgów moczyła się w ciepłym bajorze, w ciemnościach widać było tylko ich głowy na powierzchni wody. Jak jakieś cholerne brukselki. Gaetano i Delia stali jedno obok drugiego, nawet trochę żartowali.

Gdzie są moje dzieci? Kim właściwie jest ten kretyn, który się tu przy mnie egzaltuje?

Poznajesz zapach jego oddechu, niby go kochasz, ale cię drażni.

Delia wyszła z wody i od razu przykleiła się do telefonu. Rozmawiała z dziećmi, mokra dłoń, rozchylony szlafrok.

– *Podam wam tatę.*

Gaetano też chciał usłyszeć głosy chłopców. On też za nimi tęsknił. Bez dzieci byli niczym. Dwa martwe małże.

Gaetano kaszle, zapala papierosa.

– Już mi się nawet nie chce palić.

– Więc dlaczego tego nie rzucisz?

– Rzucać palenia też mi się nie chce... Właściwie nie wiem, czego chcę.

Patrzy na swoje ręce, na srebrną obrączkę, afrykańską bransoletkę na przegubie... Gasi papierosa, przydeptuje go podeszwą.

– Ja rzuciłam.

– Ty jesteś silna.

Delia nie jest silna. Po prostu wymyśliła sobie taką małą sztuczkę, żeby pokazać samej sobie, że chce jej się żyć. On podsuwa jej paczkę papierosów. Jakże świetnie ją zna.

– Nie, dziękuję. Tylko tego brakowało, żebym znów zaczęła palić. To jedyna dobra rzecz, jaką zrobiłam w tym roku.

W ostatnim okresie, kiedy się kłócili, Delia biła się po twarzy. Dosłownie. Patrzył na nią zdumiony. Przytrzymał jej ręce.

– *Przestań! Co ty robisz? Zrobisz sobie krzywdę... Przestań!*

Karała się za swój wybór. Za to, że założyła rodzinę, która nie jest nic warta. Za tę miłość, której nie potrafili utrzymać przy życiu i która rozplywa się w deszczu, w gołębich odchodach spadających z okapów. Zaciskała zęby z całej siły, te same, po których tak często przesuwiał językiem.

Od czasu do czasu zapraszali ich do siebie przyjaciele. Ona powtarzała: *musimy częściej wychodzić z domu, nie możemy żyć w izolacji*. A potem kłócili się nawet spojrzeniem. Wracali z proszonych kolacji milczący, rozdzieleni, spędziwszy wieczór z ludźmi praktycznymi i rozsądnymi, którzy teraz pewnie uprawiają seks albo śpią. Na pewno nie dyskutują godzinami, siedząc na łóżku jak oni.

Poza tym to nie byli prawdziwi przyjaciele. Tylko pary bywalców Ikei. Nie interesowały ich problemy Delii i Gaetana. Gdyby im się z nich zwierzyli, oni skomentowaliby je dopiero po tym, jak zamknęłyby się za nimi drzwi i w płaszczech zjeżdżałyby windą na parter.

Gaetano powiedział kiedyś: *tacy przyjaciele przyczepiają się do twoich pleców i kręcą na kole twych niepowodzeń jak chomiki oszalałe z radości*.

Dlaczego nie mogli być bardziej fenomenologiczni? Jak tyle innych par. Jak Pier i Lavinia. Dzisiaj pójdziemy kupić buty dla dzieci, w niedzielę na obiad do twoich rodziców, w piątek do multikina na jakiś dobry film. W czwartek nie przychodzi kobieta do sprzątnięcia, więc folgujemy sobie na kuchennym stole obsypanym mąką (*Listonosz zawsze dzwoni dwa razy*). Ludzie dobrze zorganizowani są zdolni do niewiarygodnych wyczynów, potrafią realizować równocześnie wiele planów. Otworzyć kilka plików naraz i nie pogubić się. Wiedzą, że życie szybko przebrzmiewa, więc z premedytacją wydzierają z niego, co mogą.

Pier i Lavinia wymienili się kiedyś partnerami podczas wakacji na rafie koralowej. Zrobili to z pewną parą z Grenoble, która mieszkała w sąsiednim bungalowie. Uzgodnili wszystko po francusku, podczas gdy ich dzieci uprawiały

snorkeling.

Od czasu do czasu Delia wychodziła sama wieczorami. Potrzeba przestrzeni prywatnej w związku i tym podobne dyrdymały. Gaetano zgadzał się na to. Żegnał się z nią, stojąc w przedpokoju w samych spodenkach i klapkach, z kubkiem jogurtu w ręce, ale naprawdę nie rozumiał, dlaczego żona musi wychodzić w butach na wysokich obcasach i ze świeżo umyтыми włosami z tą cholerną idiotką, Carlottą. To była najbardziej niesympatyczna z jej przyjaciółek, autentycznie stuknięta baba. Przez jakiś czas bywała u nich prawie codziennie, ale rozmawiała tylko z Delią. Dzieci nie zauważała, a na niego patrzyła jak na jakiś wybryk natury.

Pewnego dnia rozwinęła przed nim metr krawiecki, żeby go wymierzyć.

– *Jesteś cały niesymetryczny...*

Nigdy u nikogo nie widziała tak nieprawdopodobnych proporcji. Zaczęła chichotać z Delią.

Carlotta była projektantką biżuterii i Gaetano nie mógł zrozumieć, co Delia mogła mieć z nią wspólnego.

Dostała od niej ohydne kolczyki w kształcie trupich główek.

Delia wychodziła wieczorami z Carlottą i z tymi trupimi główkami. Dokąd?

Do kin z niszowymi filmami, szwedzkimi, chińskimi. Potem na drinka do klubu jazzowego. Wracala późno, zaraz za drzwiami zrzucała z nóg buty na obcasach. On te wieczory spędzał w domu z dziećmi. Tak zaczął się w ich domu system zmianowy. Powiew wolności.

– Spotkałaś kogoś?

W rzeczywistości chciał zapytać, czy spotkała jakiegoś faceta, który jej się spodobał. Być może czekali już wtedy tylko na to – żeby ktoś pomógł im rozpieprzyć to wszystko.

Delia patrzyła na mężczyzn, młodych muzyków i bywalców klubu jak na kolorowe plamy w pochodzie karnawałowym.

Carlotta ich jej przedstawiała.

– *Może to dobry sposób, żeby wszystko jeszcze naprawić – przespać się z kimś innym.*

Ten weekend w Londynie.

Weszli do Tate Modern. Delia zatrzymała się w sali z instalacją wideo, na której naga Ana Mendieta oblewa się krwią, a potem tarza się w piórach. Zadzwoił telefon, Gaetano odpowiedział.

Czy rozstali się z powodu tej cholernej komórki?

Dzisiaj jego komórka jest wyłączona, ale co chwila dotyka kieszeni. To największe wyrzeczenie, na jakie się zdobył w ostatnich czasach. Komórka jest wyłączona od trzech godzin, nie słycać nawet miękkiego sygnału SMS-ów. Nic, głucho. Jak podczas podróży na Pluton.

Strasznie się wkurzył, kiedy wykreślono Pluton z listy planet Układu Słonecznego. Dziewiąta planeta, z tym jej różowym pyłem, najbardziej odległa i samotna, była jego ulubioną. Jedyne manifestacja, w której chętnie wzięłyby udział, to protest przeciw degradacji Plutona i uznaniu go za planetę karłowatą. Delia powiedziała mu kiedyś: *jesteś jednym z tych, którzy posłaliby na stos Galileusza i Kopernika*. Mówiła mu często, że jest obrzydliwym reakcjonistą, zresztą podobnie jak wszyscy mężczyźni, choć czasem dobrze to ukrywają. Nigdy nie traciła okazji, żeby mu przypomnieć o jego ograniczeniach.

Gaetano ma nadzieję, że tego wieczoru doceni jego tytaniczny wysiłek. Zauważył, że zrezygnował z kontaktowania się ze światem przez telefon i SMS-y, że rozmyślnie odciął się od Internetu.

W Tate Modern pokłócili się właśnie z tego powodu.

Dziewczyna w kostiumiku, z plastikową plaketką, na której widniało imię Jasmine, upomniała go: *please, it's not allowed*. Klasyczna ociężała Arabka. On uśmiechnął się do niej, a kiedy Jasmine przemieściła się do następnej sali, znowu rozmawiał przez telefon.

Delia siedziała na sześciennej bryle, zatopiona w fantasmagoriach, które prawdopodobnie obudził w niej ten nekrofilski video performance. On trzymał się od niej z daleka, za pomocą iPhone'a załatwiał sprawy związane z pracą.

W pewnej chwili niespodziewanie go zaatakowała:

– *Z kim ty akurat teraz musisz się łączyć? Z kim?! Dlaczego nie respektujesz przepisów, nie potrafisz zachować przez chwilę ciszy?!*

Gaetano wyłączył komórkę. Spłynął mu się oddech, był gotowy do ucieczki. Przyzwyczał się już do scen z teatru absurdu, ale nie mógł znieść, kiedy okazywała mu pogardę.

Delia zaczęła pleść te swoje gadki:

– *Ona zrobiła ze swego ciała dzieło sztuki, narzędzie protestu przeciw gwałtowi.*

Na ścianie wisiało paskudne zdjęcie Any zgiętej w pasie i opartej na stole, pod nim tytuł: *Untitled (Rape Scene)*. Gaetano naprawdę z trudem to wytrzymał.

Delia rzuciła jego iPhone'em o podłogę. Aparat rozsypał się na kawałki, Gaetano pozbierał je, starał się włożyć z powrotem baterię.

Miał już wtedy ten romans na boku, wystraszył się, że ona coś podejrzewa.

Delia zaczęła krzyczeć w ciszy galerii. Był to wyraźny znak, że jej złość nie mogła już dłużej kręcić się wokół samej siebie w czterech ścianach mieszkania, że potrzebuje większej widowni. Sceneria z zakrwawionymi ciałami i zduszonymi krzykami znakomicie do tego pasowała.

Gaetano przyjrzał się Anie Mendiecie na drżącym obrazie wideo i pomyślał, że Delia jest bardzo do niej podobna. Te same włosy, te same usta, nabrzmiałe i smutne, nawet sutki miała takie same. To czemu i ona nie rzuci się z wieżowca?

Miał ochotę porozmawiać swobodnie przez telefon, łączyć się z kim by mu przyszło do głowy, spędzić życie na blogu.

– Ty uważasz, że nie jestem nic wart, prawda?

Ma spocone czoło jak dziecko, które biegało.

Delia potrząsa głową, wzdycha.

– Chciałbym, żeby dzieci mnie poważały.

– Na pewno tak będzie.

– Ja swego ojca nie poważałem.

– Nie wracaj do przeszłości. Staraj się patrzeć do przodu.

Gaetano patrzy na nią... i Delia czuje, jak zmienia mu się nastrój, myśli gęstnieją, stają się ciężkie i samotne.

– Gdybym nie miał za sobą takich doświadczeń...

Dzisiaj naprawdę nie ma ochoty tego słuchać. Krzyżuje ramiona.

– Tego typu doświadczenia nie są niczym niezwykłym.

– Ja zostałem zgwałcony.

Znowu ta sama historia. Wykorzystał ją nawet w jednym ze swych scenariuszy. Nadużycia seksualne mają wysoką oglądalność.

– Nikt cię nie zgwałcił.

– Postawili mnie w środku i kazali patrzeć na swoje kutasy.

– To była dziecinada. Wszyscy byliście dziećmi.

– Oni byli już dojrzały.

– Nic ci nie zrobili, Gaetano. Wiadomo, że przemoc istnieje, wszyscy jej doświadczamy.

– To dlaczego nie mogę o tym zapomnieć?

– Skoncentruj się na swoich synach.

– Te bydlaki sikały na mnie.

Delia kiwa głową. Wiedziała już o tym. I nie chce dowiadywać się niczego więcej o tym człowieku, który siedzi teraz przed nią z potulnym wyrazem twarzy i znowu prosi ją o pomoc.

– Co ty możesz o tym wiedzieć. Ciebie nikt nigdy nie upokorzył.

– Postarałam się o to sama... Gaetano, o czym my tak właściwie mówimy?

Ale on tymczasem wyciągnął do niej rękę, szuka jej dłoni.

– Ciągle jeszcze jesteś na mnie bardzo zła.

– Nie, już mnie to nic nie obchodzi.

Delia sięga po paczkę papierosów, zapala jednego.

– To nie było tak, jak myślisz. Wyobraziłaś sobie niestworzone rzeczy.

Gaetano uśmiecha się lekko i skłania głowę, jakby gotowy na przyjęcie kary.

Delia zaciąga się dymem.

– Idź do diabła.

Urodziny Cosma. Mieszkanie jest pełne dzieci. Kilka matek i opiekunek

wyszło na klatkę schodową na papierosa, zostawiły otwarte drzwi. Na łóżku stos płaszczy, na podłodze rozdeptane chipsy i rozlana oranżada. Gaetano jest w świetnym humorze, lubi taką atmosferę. Nigdy dotąd nie zorganizowali kinderbalu, nie mieli pieniędzy, poza tym Delia była przeciwniczką cyrków z prezentami, tortami itp. Tymczasem jednak Cosmo wyrósł, w szkole podstawowej koledzy zapraszali go na urodziny i zdążył wyrobić sobie zdanie o tym, jak powinna wyglądać taka impreza. Baloniki, muzyka, zabawy prowadzone przez animatorów. Ale nigdy się niczego nie domagał. Jest dzieckiem mało wymagającym. Wolał o nic nie prosić, żeby nie spotkać się z odmową. Dla Gaetana było to zawsze bardzo bolesne.

Pewnego wieczoru podniósł Cosma wysoko, żeby wrzucił piłkę do kosza.

– *Chcesz w tym roku zaprosić kolegów na urodziny?*

Cosmo spojrzał na matkę, która czytała książkę na tapczanie.

– *Z teatrem lalek i watą cukrową...*

Animatorki przyszły punktualnie, przebrały się w łazience, czerwone nosy, błyszczące kapelusiki. Jedna miała duże buty Goofiego i kolanówki w paski, druga – kostium z zielonego sukna w stylu Robin Hooda.

Z entuzjazmem zaaranżowały prowizoryczny teatr lalkowy. Dłonie wsunęły w pacynki i fruwały nimi nad zasłoną z kawałków satyny. Gaetano z przyjemnością obserwował, jak chodziły na czworakach, ukrywając się przed dziećmi. Chciał też spróbować ożywić lalki, włożył rękę w księżniczkę Melisendrę, pewny, że to nic trudnego, ale było inaczej.

– *Wszystkiego trzeba się uczyć.*

Dziewczyna w stroju Robin Hooda chodziła na kurs aktorski. Była raczej niska i muskularna, miała zbyt masywne uda. Zarabiała na życie animowaniem imprez dla dzieci. Nie o tym marzyła, ale też nie sprawiało jej to przykrości.

Delia krążyła po mieszkaniu z plastikowym workiem, zbierała papiery, jednorazowe plastikowe kubki i wyrzucała je potem do śmietnika w kuchni. Gaetano włożył jej do ręki kieliszek z winem musującym.

– *Kupiłaś alkohol.*

– *Jasne. Dla matek.*

Uśmiechnęli się do siebie.

– *Dobrze się bawią.*

– *Tak.*

Odwróciła się.

– *Jak my to wszystko posprzątamy?*

– *Nie przejmuj się. Damy sobie radę.*

Przez chwilę wszystko wydawało się proste. Nienaruszone.

Zaczęła się zabawa w poszukiwanie skarbów. Gaetano był podekscytowany, to on ją zorganizował. W ustach trzymał gwizdek, który kupił specjalnie na tę

okazję, dobrał dwie drużyny. Skakał po tapczanach, wykrzykiwał polecenia i podpowiedzi. Wypił jeszcze jeden kieliszek wina. Był spocony jak mysz. Włosy miał spięte kłamrą Delii.

Dziewczyna w stroju Robin Hooda właściwie mu się nie podobała. Gdyby miał decydować, wolałby tę drugą, clowna w kolanówkach w paski.

– *Mam na imię Matilde.*

– *Bardzo mi miło, Gaetano.*

Zetknęli się dopiero pod koniec imprezy, w łazience, gdzie ona myła ręce po zabawie z farbami akwarelowymi. Gaetano przyszedł, żeby się wysikać. Zaczęli rozmawiać nad zlewem. Gaetano trzymał jeszcze w ręce kieliszek i dziewczyna napiła się trochę jego wina. Uśmiechnęła się. Już dawno nikt się do niego tak nie uśmiechnął, jakby chciał mu zrobić prezent. Zdjęła sztuczny nos, pod spodem miała nos własny, trochę zbyt długi i jakby ścięty, prawdopodobnie poprawiony. Ten nos mu się spodobał. Lubił kobiety, które musiały z czymś walczyć. Dlatego zainteresował się Delią. Co do innych cech, animatorka nie miała z nią nic wspólnego. I to też mu się podobało. Pełna twarz bez cieni i bez przeszłości. Matilde wyrzucała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego, same banały i mało inteligentne bujdy, nie zważając na jego reakcję. Jakby mówiła tylko dlatego, że lubi tak paplać, że lubi życie.

W tym momencie przyszło mu do głowy, że chętnie przeleciałby ją w tej łazience. Że właściwie mógłby zaraz spróbować. Kiedyś bez trudu uwodził dziewczyny, wiedział, jak się to robi, jak włożyć nogę między nogi, jak zablokować przy ścianie samym tylko oddechem.

Na tę myśl poczuł nieprzyjemne ukłucie pod paskiem spodni, jakby nagle obudziła się ta część jego ciała. Boleśnie, jak po zbyt długiej i głębokiej anestezji. Może to z winy okoliczności – łazienka, głosy za drzwiami, dzieci biegające po korytarzu. Po raz pierwszy w życiu miał ochotę na seks z kobietą, która nie była Delią.

– *Przepraszam...*

Matilde wyszła z łazienki w tym swoim zielonym ubranku, ze zbyt szerokim siedzeniem i poprawionym nosem. Przechodząc, dotknęła go.

Nieprawdopodobny tort ze Spider-Manem z kolorowej glazury. Gaetano sfotografował go komórką, zrobił też zdjęcie Cosma przy torcie. Jego syn wyglądał, jakby zmartwychwstał, tak samo jak jego ojciec. To było niezapomniane popołudnie. Ciasne mieszkanko otwarło się na oścież, pokazało swoje wnętrza. On i Cosmo byli zsynchronizowani jak nigdy dotąd. Łączyła ich jakaś magiczna nić w rodzaju tych, których Gaetano zawsze szukał w swoich scenariuszach. Nigdy jeszcze nie widział syna tak rozplamionego, zawładniętego emocjami. Wyobrażał sobie, jak jego serce drży ze szczęścia. Nareszcie służyło do czegoś więcej niż tylko do przeżywania kolejnych, bliźniaczo podobnych do siebie dni.

W tort były wetknięte nieśmiertelne świece, takie, które co jakiś czas zdają się gasnąć, ale zaraz na nowo się rozpalają. Gaetano sporo się nachodził, żeby je kupić. Teraz patrzył na arcydzieło, prawdziwy efekt specjalny. W oczach Cosma paliło się sześć świeczek, w ich płomykach koncentrowała się nadzieja dla tej rodziny, która podobnie jak one nie może zgasnąć.

Gaetano nie mógł znaleźć swojego kieliszka, przytknął więc do ust zieloną szyjkę butelki z winem Fratelli Berlucchi.

W końcu jednak świece zgasły. Delia owinęła je papierową serwetką, żeby je zachować na pamiątkę. Gaetano rozdawał porcje tortu. Matilde skończyła pracę, mogła się teraz zrelaksować. Oblizywała łyżeczkę.

– Co wieczór jem inny tort.

– Szczęściara.

– Tyję od tego.

Skóra jej ramion była napięta i złota jak powierzchnia dobrze wyrośniętego biszkoptu. Delia stała za jej plecami. Ona też trzymała w ręce talerzyk. Zbliżyła do ust widelczyk z kawałkiem tortu, ale nie zjadła go, powąchała tylko jak chora kotka.

Impreza skończyła się tak samo, jak się zaczęła. Dzieci wyszły jedno po drugim, spocone, w krzywo zapiętych kurtkach, z brzuchami pełnymi świństw. Jeden z ostatnich gości ciągnął za sobą podeptane serpentyny.

Animatorki spakowały swoje rzeczy, były gotowe do wyjścia. Gaetano zszedł na ulicę, żeby im pomóc. Zniósł głośniki i włożył je do bagażnika starego brązowego fiata punto. Patrzył, jak upychają w nim niebieskie torby z Ikei. Zapłacił dziewczętom. Jedna z nich wysunęła ramię z okna i pomachała na pożegnanie.

Wrócił do domu w wesołym nastroju, pieszo, nie windą. Pomógł Delii pozbiierać brudne plastikowe naczynia i doprowadzić do porządku tapczany. Później położył się przy Cosmie, który nie potrafił zasnąć. Wirował jeszcze jak w pralce w atmosferze zabawy.

– *Podobało ci się?*

– *Tak.*

– *Dostałeś ładne prezenty?*

– *Tak.*

Cosmo odwrócił się. Gaetano zbliżył się do niego i spostrzegł, że syn płacze.

– *Dlaczego płaczesz? Bo się skończyło?*

Cosmo nie odpowiedział, ale głośniej zaszlochał.

– *Mnie też to się zdarzało, gdy byłem mały. Im fajniejsza była zabawa, tym smutniejszy byłem, gdy się kończyła. To normalne...*

Nie mógł nic innego powiedzieć, nie obiecać.

– *Tatusiu, ja nic nie potrafię... nic.*

– *Co ty mówisz?! Ty bardzo dużo potrafisz, jesteś małym geniuszem.*

Cosmo nie poradził sobie w wyścigu w workach. Przewrócił się parę razy. Prawdę mówiąc, nie radził sobie z żadnym sportem, nie umiał biegać. Zatrzymywał się, zanim naprawdę rozpoczął. Jakby potykał się o własne nogi. Być może, gdy dorośnie, okaże się, że jest gejem. Rozmawiali o tym kiedyś, on i Delia, ale zaraz potem zreflektowali się: *co my mówimy?! Pożałowali, że rzucili na niego ten ciężki płaszcz. Ich myśli, ich obawy mogłyby wywołać takie, a nie inne zachowanie u dziecka. To nie znaczy, że jego orientacja seksualna miała dla nich aż tak duże znaczenie. Nie chodziło o to. Zależało im tylko na tym, żeby nie musiał w życiu cierpieć.*

Ale zdawali sobie sprawę, że tak czy inaczej, Cosmo nie będzie miał łatwego życia. Brał sobie wszystko za bardzo do serca, wszystko trzymał w sobie. Gaetano położył rękę na plecach chłopca. Rękę silną i spokojną. Być może jego syn jest dzieckiem homoseksualnym. Nie wiedział, kiedy można to stwierdzić, w którym miejscu zaczyna się zjazd z głównej drogi na drogę boczną, trudniejszą. I czy na pewno kiedyś się zaczyna. Bo może w Cosmie to tkwiło od zawsze, jakiś szczególny rodzaj wrażliwości, przeczucie cierpienia.

Cosmo zasnął i Gaetano wrócił do bawialni. Delia leżała na tapczanie, nogi trzymała wysoko na oparciu. Wziął do ręki jej stopę i zaczął ją masować. Popołudniowa impreza pozostawiła za sobą smugę, która jeszcze wibrowała. Wydał kupę pieniędzy, a skończyło się na tym, że Cosmo chlupał w poduszkę. Ale wcześniej był szczęśliwy, całkiem inny niż zwykle. Oni też odnaleźli przez chwilę szczęście, jak zapomniany smak rozpoznany na podniebieniu.

Rzucił się niezgrabnie na Delię. Nie chciał, żeby jego rodzina się rozpadła. Nie chciał pożądać innej kobiety, nawet przez chwilę. Stoczyli się na podłogę. Delia pozwoliła, żeby wziął ją od tyłu, bo nie chciała patrzeć mu w twarz. On był z tego zadowolony. Gdyby spojrzeli sobie w oczy, musieliby powiedzieć sobie prawdę.

Gaetano położył rękę na jej chudych plecach i pomyślał o tym, jak dotknął pleców syna.

Delia osiągnęła swój malutki szczyt, jęknęła cichutko jak chomik. Gaetano nie miał orgazmu. Został z członkiem w erekcji, która nie słabła, ale nie był ani trochę podniecony. Wyobraził sobie siebie i żonę jako dwa trupy na podłodze, przed oczami miał dłoń, która zakreślała kółka kredą. To była dłoń animatorki, którą widział parę godzin wcześniej, jak rysowała koła na tablicy.

– *Zachowywałaś się jak kretyn przy tej kobiecie...*

Przed chwilą wyobraził sobie Delię martwą, teraz, kiedy mówiła te słowa, dalej wydawała mu się martwa.

– *Przy jakiej kobiecie?*

– *Przy matce bliźniaków.*

Gaetano musiał dłuższą chwilę się zastanowić, zanim sobie przypomniał

osobę, o której mówiła. Matka bliźniaków była panią notariusz pod czterdziestkę, nosiła stringi pod białymi spodniami i była skropiona perfumami o zapachu tak ciężkim, że przyprawiał o mdłości, kiedy się obok niej przechodziło. Podczas przyjęcia Gaetano napełnił jej raz kieliszek winem i zapytał, czy zawód notariusza istnieje tylko we Włoszech czy także w innych krajach.

– *Podrywałeś tę babę na urodzinach własnego dziecka.*

– *Co ty pieprzysz?!*

– *Musimy się rozstać.*

– *Jasne, że musimy się rozstać.*

– *Musisz się od nas wyprowadzić.*

– *Wyprowadzę się.*

Ale następnego ranka ciągle jeszcze był w domu. Młodszy syn na kolanach, butelka mleka w ręce, włączone radio. Okulary Cosma, które czekały, żeby je wyczyścić, a potem sprawdzić pod światło, czy na pewno są idealnie czyste. Delia zostawiła mu listę zakupów, a nawet dotyk ręki na ramieniu.

– *Nie kupuj niepotrzebnych rzeczy.*

– *Dobrze.*

– *Musimy oszczędzać.*

– *Tak, masz rację.*

Później siedział przed komputerem w całkiem niezłym humorze. Obok skręcony joint, w głowie pomysły jak motyle. W pewnej chwili wysunął szufladę, wysypał zawartość na podłogę, bo nagle ogarnął go niepokój. Dziwne, że zaniepokoił się tak bardzo z powodu czegoś, co miało dla niego tak małe znaczenie. W końcu znalazł. Bilecik z rysunkiem clowna. Nerwowo zapalił skręta.

Matilde odpowiedziała na telefon, jakby na niego czekała, nie okazując zaskoczenia.

Pół godziny później uprawiali seks. W jej fiacie punto, na placu przy lunaparku Ponte delle Valli. Ona z rozwartymi szeroko udami na tylnym siedzeniu, on rozpalony, bez poczucia winy. Ona jęczała, ale nie zamykała oczu. Kontrolowała, co się dzieje przy aucie, bo to przecież był jasny dzień. On udawał, że go to obchodzi: *musisz się odprężyć*. Matilde odpowiedziała, że bardzo lubi seks w niepewnych sytuacjach, zagrożony ingerencją intruzów.

Jeszcze jedna wariatka, pomyślał Gaetano (ale czego można się spodziewać po dziewczynie w ubraniu Robin Hooda?). Tak czy owak, nic go to nie obchodziło. Po miesiącach lodu i twardego metalu wreszcie otwierało się na niego miękkie, uległe ciało.

Później wysiedli z samochodu i poszli do lunaparku. Samochodziki stały okryte brezentem. Usiedli w kolejce w kształcie gąsienicy. Poza nimi nie było tam nikogo (kto miałby być w styczniową środę w gąsienicy pokrytej szronem?). Pozwolił jej się wygadać. Pochodziła z Trydentu, miała tamtejszy akcent, prosto

z gór. Lubiła wcześniej zaczynać dzień, każdego ranka wyprowadzała psa, potem chodziła ćwiczyć do fitness klubu.

– *Aktorki bardzo często są ociężałe... wewnętrzna pustka emocjonalna prowadzi je do zatracenia się w życiu innych ludzi...*

– *Ja nie jestem prawdziwą aktorką, ukształtował mnie taniec współczesny... teatr eksperymentalny.*

Ciebie ukształtowały przede wszystkim *canederli*, baczówki i masło w dużych ilościach, pomyślał Gaetano, spoglądając na jej bujny, biały dekolt pod lekkim płaszczykiem. Była sympatyczna. Miała już na sobie nalot metropolitalnej egzaltacji, ale pod nim dało się dojrzeć naturę góralki. Wrócili do samochodu. Tym razem Matilde zdjęła sweterek. Miała ciężkie piersi w kształcie gruszek z sutkami przezroczystymi jak oczy. Przypominała dojrzałą krowę. Prawie cały dzień spędzili razem. Zjedli coś w barze, spacerowali. Na koniec podziękował jej, pogłaskał ją po włosach i cmoknął na ulicy.

Odebrał synka z lekcji muzyki. Przemierzał potem miasto, trzymając jego małą rączkę w swojej dłoni. Cosmo niósł na plecach futerał ze skrzypcami i Gaetana ogarnął smutek, gdy tak szedł przy tym grzecznym i sumiennym chłopczyku. Przekroczył ten próg. To, co się stało, powinno być dla niego tragedią. Obiecali sobie z Delią, że nigdy się nie zdradzą. Tymczasem on miał wrażenie, jakby nic ważnego się nie wydarzyło. I to było najgorsze. Przekroczył ten próg bez wyrzutów sumienia. I czuł się wolny. Od tej chwili będzie mógł się zachowywać jak inni, egzystować w kłamstwie. Uderzył kostkami palców w czarny futerał skrzypiec, który teraz kojarzył mu się z trumną. Ciekawe, czy jego syn ma muzyczne zdolności, ciekawe, czy da sobie radę także bez niego. Cosmo obrócił się i uśmiechnął do niego.

Po powrocie do domu miał ten zapach na twarzy, na rękach. Siedział przy Delii ubrudzony rozkoszą doznaną z inną kobietą i rozmawiał z nią o codziennych sprawach. Raptem podniósł się i poszedł pod prysznic.

Przed pożegnaniem Matilde zapytała: *zobaczymy się jeszcze?* On uśmiechnął się przeproszająco.

– *Nie mogę, naprawdę. Bardzo mi przykro.*

Ona skinęła tylko głową.

Oczywiście spotkali się znowu. Chodzili do kina na wczesne seanse, potem zamykali się w jej pokoju, w mieszkaniu, które dzieliła z bratem i jego kolegą. Brat miał duży, gąbczasty nos (prawdopodobnie taki sam jak prawdziwy nos Matilde), był kucharzem, ćwiczył w domu, słuchając Marii Callas i zespołu Massive Attack. Tamtego popołudnia uprawiali seks przy akompaniamencie sopranowych arii z *Madame Butterfly*, a potem w kuchni próbowali dziesięciu wersji sufletu.

– *Czy twój brat jest gejem?*

– *Skończył szkołę hotelarską w Trydencie, potem stamtąd uciekł.*

Matilde była naga, miała te swoje przezroczyste sutki na szczytach krowich piersi, które stały się z czasem jednym z elementów popołudniowej rutyny. Mówiła coś i coraz bardziej podniecała się swoimi słowami, potrząsając przy tym biustem.

– *Zwykle kończy się na tym, że ludzie traktują cię jak zabawkę...*

Tego popołudnia Gaetano uświadomił sobie, że Matilde jest w nim zakochana. Nie była już tak radosna i energiczna jak z początku. Powinien ją zostawić. Przyzwyczał się do niej, do zapachu jej mieszkania. To oczywiście nie była miłość. To było uczucie przyjemności, bo ktoś o ciebie dba i zabiega jak kochanka i jak matka. Potrzeba, którą mężczyźni zaspokajali kiedyś w burdelach.

To żony do tego doprowadzają.

Zaczął sobie pozwalać na coraz więcej. Opowiedział jej o swoim ojcu i o tym, jak koledzy pastwili się nad nim w szatni boiska. Matilde bardzo się wzruszyła i żeby go pocieszyć, zrobiła mu najlepsze fellatio miesiąca lutego.

Trudno było się od niej oderwać. Zwykle wracał do domu w dobrym humorze, zmęczony na tyle, żeby nikomu nie zachodzić za skórę i nie dać się sprowokować. Ale tego wieczoru źle zareagował na zły humor Delii. Być może zaczęła coś podejrzewać. Rzeczywiście, ostatnio przestał się pilnować. Ćwiczył mięśnie na drążku w sypialni, pisał nocami i na nowo zaczął rozjaśniać wodą utlenioną kępkę włosów, którą zostawiał nieogoloną pod dolną wargą.

Po popołudniu spędzonym z Matilde krążyły jeszcze w jego żyłach resztki podniecenia. Zwykle oddziaływało to jedynie na dolną część jego ciała i siedząc przy stole z rodziną, snuł małe fantazje erotyczne (co stanowiło urozmaicenie domowej nudy). Ale tego wieczoru pozostałości wcześniejszego pobudzenia seksualnego uderzyły mu do głowy. Efekt miał niewiele wspólnego z erotyką. Gaetano był wściekły jak nastolatek, który buntuje się przeciw rodzicom, bo nie zostawiają go w spokoju, nie pozwalają się upić i rozbić na skuterze, nie pozwalają ryzykować. A jednocześnie przeszkadzają w nawiązywaniu nowych znajomości, szukaniu miłości oraz poważania w świecie poza domem.

Stara nienawiść podeszła mu do gardła.

Być może jest tak, że w życiu człowieka powtarzają się zawsze te same historie.

Rodzina, która więzi, obmurowuje miłością. Codzienność twarda i kanciasta zamiast beztroski i spontaniczności. Terminy i obowiązki. Żale i pełne urazy milczenie. Przedmioty, krzesła, telewizory. Jedyne, co ci pozostało miękkiego w życiu, to twoje dzieci, te dwa małe świerszeczki, które świat zamknie wkrótce w kolczugach.

Tego wieczoru miał właśnie takie myśli. Delia powiedziała:

– *Umyj ręce.*

– *Już umyłem.*

Podsunał jej je pod nos, żeby poczuła zapach mydła. Cofnęła twarz i kogoś

mu w tej chwili przypomniwała... Siostrę zakonną na półkoloniach w Fano, która mówiła: *idź się zaraz umyć, ty świnko.*

– *Czy naprawdę myślisz, że Cosmo może być dzieckiem homoseksualnym?*

Tak się zaczęło. Cosmo ćwiczył na skrzypcach... słychać było przenikliwe jęki pocieranych strun.

– *Kiedy jest smutny, zakłada nogę na nogę i kiwa się w przód i w tył... Robiłam tak samo, gdy byłam małą dziewczynką.*

– *Ja też zakładałam nogę na nogę.*

– *No właśnie. Cosmo jest po prostu delikatnym dzieckiem.*

– *A może ty chciałabyś, żeby był gejem...*

Delia patrzyła na niego nieruchomym wzrokiem, ale cofnęła twarz.

– *...żeby pozostać jedyną kobietą jego życia.*

Gaetano uśmiechał się, ale jego uśmiech był wyzywający i niepokojący.

– *Skąd przychodzą ci do głowy podobne absurdy?*

– *Chcesz być uwielbiana, noszona na rękach, gdy pada śnieg. Jak matka Pasoliniego. Powiedz szczerze, chciałabyś być matką homoseksualisty takiego kalibru?*

Żartował, ale minę miał dość ponurą. Delia patrzyła na tę nieszczęśliwą twarz, chciał ją sprowokować do wybuchu.

– *Odbijesz sobie na synu swoją frustrację seksualną.*

Nie zauważyli, że Cosmo stał w drzwiach. Trzymał w ręku smyczek. Spuszczona głowa i ten płaczliwy głos...

– *Mamo...*

Gaetano nie przestawał się uśmiechać, sączył wino z kieliszka. Delia miała w ręce ścierkę.

– *A ty? Do kogo zanosisz swoją frustrację seksualną?!*

Zaczęła go okładać mokrą szmatą po ramionach, po twarzy. Kieliszek przechylił się, wino kapało na podłogę. Gaetano obrócił się do Cosmy.

– *My się bawimy... to taka walka na ścierki...*

Wygląda, jakby starsi ludzie przy stoliku pod ścianą też się kłócili. Kobieta zdaje się robić wymówki swemu towarzyszowi, kieruje w niego drżący palec. Może mu grozi albo prosi go o pomoc. Mężczyzna potrząsa energicznie głową, ale wygląda na rozbawionego. To pewnie taka miłosna gra – żona go gani, a on poddaje się jej temperamentowi.

– *Nie potrafisz mi przebaczyć, prawda?*

– *Jak mogłeś zrobić coś takiego? I to w obecności dzieci?*

– *To się stało tylko jeden raz.*

– *Przynajmniej nic już nie mów.*

Gaetano spuszcza wzrok. Szczegóły wracają mu w pamięci, błyski bólu. Spotkali się w parku, on i Matilde. Cosmo i Nico bawili się w drewnianym domku

na placu zabaw. On pomyślał wtedy: *co by było, gdyby to były nasze dzieci, gdybym jeszcze miał tak wielką ochotę na matkę moich dzieci.*

Matilde ładnie wyglądała w czapce z wełny bouclé. Jej twarz przypominała pyszczek wiewiórki, z tych, które bez strachu zbliżają się do ludzi w parku. Czekala na niego na ławce z książką w ręce. Robili tak zawsze, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Udawali, że spotykają się przypadkiem, i rozmawiali, podczas gdy dzieci bawiły się w pobliżu. On siadał na tej samej ławce co ona, ale w pewnej odległości. Sytuacja niewinna i podniecająca. Gaetano świntuszył, podczas gdy Matilde pozostawała nieporuszona i patrzyła przed siebie na drzewa. Kawałek ławki między nimi mogła zająć ostra pornografia, ale i niewinne żarty.

Tego dnia opowiadała mu, czym zapełni sobie czas do wieczora. Będzie się uczyć, potem się wydepiluje i pójdzie na zakupy do supermarketu. Jak każdej parze spotykającej się potajemnie brakowało im zwykłej, banalnej powszedniości. Wyobraził sobie Matilde między półkami sklepu, był to obraz jednocześnie podniecający i smutny. Nie potrafił się powstrzymać. Wyciągnął rękę, złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie. Pocałowali się. Był to świeży, nieskończenie długi pocałunek.

Nikim się nie przejmował, ani znajomymi matkami, które o tej porze często przechodziły przez ten park obok szkoły, ani nawet swoimi dziećmi. Tęsknota za wszystkim, którą miał w sobie, była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego. A może po prostu pragnął, żeby wszystko się wydało. Przychodzi taka chwila, gdy chcesz, żeby prawda wyszła na jaw.

Kiedy otworzył oczy, Nico kładł kamyk na jego kolanach. Patrzył na nich z bliska, nie wydawał się speszony, tylko zaciekawiony, jakby był małym entomologiem.

Dopiero później, gdy Gaetano wracał do domu, popychając trójkołowy rowerek Nica po drodze usianej semaforami mrugającymi jak wzruszone oczy, zdał sobie sprawę, czego się dopuścił.

Po powrocie do domu robił wszystko, by zatrzeć złe wrażenie, jakie mogli odnieść chłopcy. Podczas gdy ich rozbierał i wsadzał do wanny pełnej błękitnej piany, mówił o Matilde. Powiedział, że pracuje jako animatorka, więc ciągle się bawi i robi żarty, na przykład rozdaje całusy. Pocałowała więc i jego, chociaż jemu się to wcale nie podobało. Umył sobie potem zęby w obecności dzieci, chcąc im pokazać, jak bardzo brzydzi się takimi całusami, ściera ich ślady, żeby się nie zarazić katarem albo czymś podobnym.

– *Fuj, ale świństwo...*

Chłopcy śmiali się razem z nim.

– *To musi pozostać naszą tajemnicą... mama by mnie skrzyczała... wiecie, jak ona się boi kataru... obiecajcie.*

Obiecali. Gaetano zaniósł ich do bawialni, opatulonych płaszczami

kąpielowymi. Posadził na tapczanie i pozwolił im jeść kolację przed telewizorem, co robił bardzo rzadko, tylko wtedy, gdy mieli gorączkę.

To były jego dzieci i tego wieczoru kochał je nad życie. Siedząc między nimi, czuł się nadzwyczaj bezpiecznie. Delia wróciła późno, jak każdej środy, po kursie terapii doktora Bacha. Pochwaliła go za porządek i ciszę w domu.

– *Świetnie sobie poradziłeś.*

– *Tak, udało mi się. Już śpią.*

Miała na sobie czarny, dopasowany w talii płaszcz przeciwdeszczowy, włosy przygładzone wilgocią nocy przylegały jej do głowy. Byli wciąż niewiarygodnie młodzi, mieli jeszcze czas, żeby nie dać się zgnieść brzydocie świata i zwyciężyć zdradę. Delia podeszła do niego, podciągnęła mu koszulkę, potarła plecy dłońmi zmarzniętymi po jeździe na skuterze. Gaetano skulił się i zadrżał z zimna. Roześmiali się oboje.

Później Gaetano płakał w ciemności w poduszkę. Nazajutrz zadzwoni do Matilde i umówi się z nią w tym samym barze co zwykle. Powie jej, że to koniec. Był prawdziwie wzruszony swoimi dobrymi intencjami. Czuł się ocalony.

Ale noc jest nocą, a dzień jest dniem. Nazajutrz Delia znowu mówiła do niego tym samym tonem, wykonywała te same gwałtowne gesty. Miała miesiączkę i chodziła po mieszkaniu przygarbiona z bólu, jak zawsze w tych dniach. W windzie dzieci kłóciły się o to, kto ma nacisnąć guzik. Jeździli w górę i w dół, przystając na poszczególnych piętrach. Cała rodzina uzależniona od kaprysów trzyletniego smarkacza.

Matilde tego ranka była bardzo spokojna. Wcześniej biegała i teraz miała wilczy apetyt. Pianka cappuccino na miękkich wargach, wełniana czapka na włosach wilgotnych po porannym prysznicu. Gaetano zaczął coś bąkać o swoich problemach męża i ojca rodziny, artysty i twórcy, młodego mężczyzny w dzisiejszym plugawym i hermetycznym społeczeństwie. W miarę mówienia posępniał coraz bardziej. Nie musiał długo czekać na pocieszenie.

Poranny seks przed rozpoczęciem dnia pracy daje realne korzyści. Gaetano był wyczerpany, ale jednocześnie miał w sobie energię, by stawić czoło agresywnym frustratom, z którymi musiał konsultować swoje scenariusze. Kutas i mózg w doskonałej harmonii. Błyski uwolnionego geniuszu.

Matilde była łagodna i uległa. Dlaczego właściwie miałby się jej wyrzec? To był dla niego dobry czas. Producent pilotażowego odcinka traktował go, jakby był wyrocznią delficką. Kiedy to się działo? W marcu?

Po tym jak Delia zdzieliła Gaetana mokrą ścierką, usiedli razem w kuchni. On miał czerwone smugi na szyi i ramionach. Dzieci spały. Nico miał zajęte oskrzela i z pokoju dziecinnego dochodził jego charczący oddech, który wprowadzał napięcie i niepokój. To on wypaplał matce o tym pocałunku.

– *Właśnie miałem o tym powiedzieć.*

– *Ale nie powiedziałaś. Jak możesz dymać inną kobietę... tym samym kutasem...*

Gaetanowi przysłała do głowy *Księga rekordów Guinnessa*. Ciekawe, czy istnieje na świecie przypadek mężczyzny z dwoma fiutami, jednym dla rodziny i drugim do użytku zewnętrznego...

– *Jesteś w niej zakochany?*

Wykonał niezdecydowany ruch głową, nie był pewny swoich uczuć. Powinien odczuwać smutek, a zamiast tego musiał się pilnować, żeby nie dać po sobie poznać przyjemnego odrętwienia i wewnętrznego ciepła, które go opanowało. Był wolny i szczęśliwy. Delia omijała go wzrokiem, ale Gaetano czuł na sobie spojrzenie jej wewnętrznych oczu. Nareszcie znalazł się w centrum jej zainteresowania. Nastąpił gwałtowny zwrot akcji, fałszywa harmonia została zniszczona.

Na początku ich znajomości, pewnej nocy zapytał ją o jej wcześniejsze związki. Zaczął żartem, podkpiwał sobie z niej, ale powoli stawał się coraz bardziej ponury i napastliwy. Delia próbowała przerwać to nocne śledztwo. Nic z tego, co zdarzyło się wcześniej, nie miało teraz znaczenia. Do tej pory Gaetano zdawał się wcale o tym nie myśleć, aż tu nagle wyskoczyła ta zazdrość z mocą wsteczną, ślepa i nienasycona jak głód krwiożerczej bestii. Delia w końcu się poddała. Jąkała się i płakała przed swoim dręczycielem. Tropiciel widm przeszłości ocierał się o nią i dyszał z pożądania. Zachrypniętym głosem pytał o coraz intymniejsze szczegóły. O świcie Delia zamilkła.

On klęknął wtedy przed nią, nagi, i błagał, żeby mu wybaczyła.

– *Bardzo się boję, że mnie kiedyś zdradzisz.*

Delia trąciła go żartobliwie.

– *Lepiej myśl o sobie.*

– *Ja cię nigdy nie zdradzę.*

– *Przysięgnij.*

– *Prędkiej obetnę sobie fiuta.*

Przyniesiono im rachunek. Delia zbliżyła rękę do świecy, przesuwając ją nad płomieniem. Powinna pomyśleć o przyszłości.

– *Kiedy przestaliśmy się kochać?*

– *Nie wiem.*

– *Mieliśmy mnóstwo przyjaciół.*

– *Tak.*

– *Przyciągałeś do siebie dziwne indywidua... Rozmawiałeś ze wszystkimi bez wyjątku, ludzie lgnęli do ciebie.*

– *Potem coraz częściej rozmawiałem tylko o pracy.*

– *Zacząłeś używać specjalnego żargonu.*

– *Zawodowego.*

– Tak, zawodowego.

– Przedtem stawiałem często kolejki tym naszym znajomym... Niektórzy nocowali u nas, pamiętasz?

– Spaliśmy przez ścianę z nieznanymi ludźmi. Bez żadnych obaw. Ścieliliśmy im tapczany, niektórzy spali w wannie...

– Później zaczęliśmy się uganiać za niepotrzebnymi rzeczami. Daliśmy się omamić.

– Piękne czasy...

Uśmiechają się. Przez krótką chwilę, ale się uśmiechają. Spoglądają na starszych ludzi przy stoliku pod ścianą, którzy wznoszą właśnie toast. Oni też się pogodzili.

– Szkoda, że nie mieliśmy dość sił, żeby to przeczekać. Być może byliśmy blisko...

– Blisko czego?

– Sukcesu.

– Nie byliśmy blisko. Byliśmy bardzo daleko.

Delia znowu stoi na tym samym progu. Ma wrażenie, że nie udało jej się zrobić nawet najmniejszego kroku naprzód. Dotyka miękkiego wosku świecy. Budzi wstręt i nęci, tak samo jak ona, kiedy tak siedzi przed Gaetanem, tak samo jak życie, gdy mamy je przed sobą.

– Jestem nerwowa przy dzieciach. Kocham je, ale czasem nie mogę ich znieść. Wolałabym nie mieć ich stale przy sobie. Chciałabym móc wyciągnąć je z pudełka jak zdjęcia, tylko wtedy gdy mi ich brakuje.

– Jesteś najlepszą matką na świecie. Gdybym ja miał taką matkę jak ty, umiałbym kochać kobiety, nie sprawiałbym im cierpienia...

– Bezwstydnny cwaniak z ciebie.

– Wiem.

Delia bierze do ręki żółtą karteczkę z rachunkiem.

– To nieprawda. Ty potrafisz kochać kobiety.

– Popełniłem mnóstwo błędów.

– Ze mną. Popełniłeś je ze mną.

Gaetano patrzy, jak zapadający zmrok ocienia dekolt byłej żony, jej małe piersi, które tak bardzo mu się kiedyś podobały.

– Nigdy żadnej innej kobiecie nie powiedziałem, że ją kocham.

– Przestań.

W rzeczywistości kiedyś to powiedział. Było to jednej z tych nocy, które są jak samotne czarne dziury w kosmosie. Matilde oddała mu się z jeszcze większą uległością niż zwykle i nagrodił ją za to tymi właśnie dwoma słowami: *kocham cię*.

– Spotykasz się z kimś?

Delia prostuje się na krześle, zagryza policzek od środka.

– Masz kogoś?

– Wystarczy. Chodźmy stąd.

– Powiedz!

– Czego ode mnie chcesz, Gaetano?

– Niczego nie chcę.

Rozkleił się. Na szczęście panuje półmrok i niewiele widać. Myśli o tym, jak smakuje Delia. Być może doświadczy jeszcze w życiu wielu przyjemnych chwil, ale na pewno nigdy już nie będzie pieścił żadnej kobiety językiem tak samo jak jej, jak pies, który liże rany, żeby się zagoiły. Chciałby uklęknąć teraz na chodniku na oczach wszystkich tych ludzi, rozchylić jej białe uda i jeszcze raz poczuć jej smak. Od gości w restauracji dostałby za to okłaski. Od niej nie. Od niej dostałby kopniaki.

Gdyby nie był kiedyś statystą swoich czasów... Gdyby nie miał kurtki z napisem Harley-Davidson i innych rekwizytów, być może żyłby inaczej. Nie pozwoliliby sobie przedwcześnie zmurszeć, czepiać się modeli, które przemijają z dnia na dzień, równie szybko jak afisze filmowe.

Kiedy odwiedzał plan zdjęciowy, żeby spotkać się z reżyserem i posłuchać, jak aktorki z włosami pospinanymi klamrami fryzjerskimi i twarzami zapaćkanymi makijażem powtarzają wymyślone przez niego genialne kwestie, po krótkim czasie miał ich wszystkich serdecznie dość.

Świat fałszu, miejski cyrk. Śmiać mu się chciało z dźwiękowca z mikrofonem w futrzastej osłonie zatkniętym na tyczce, który gorliwie rejestrował szepty i westchnienia. Z uniformów pionu operatorskiego przypominających mundury amerykańskich *marines* w Afganistanie. Z reżysera, który miał taki wyraz twarzy, jakby sam Bóg wyzwał go na pojedynek. Nawet amantki filmowe go nie pociągały, były nerwowe, nie tak atrakcyjne fizycznie, jak można by się spodziewać, przy zbliżeniach patrzyły jak zahipnotyzowane w kawałek taśmy naklejonej na wysokości kamery.

Podobały mu się za to dziewczęta z pracowni kostiumów, kręcące się po planie ze szciotkami do ubrań w tylnych kieszeniach jeansów. Od czasu do czasu prosił je, żeby oczyściły mu marynarkę. Zdejmował słuchawki i wychodził z namiotu, żeby wysikać piwo, które wypił za wozem z agregatem prądotwórczym. Lubił przesiadywać na zapleczu przy statystach. Czuł sympatię do tej zbieraniny ludzi, którzy za czterdzieści euro za dzień zdjęciowy znosili zimno, pragnienie i wybuchy złości sfrustrowanego asystenta reżysera wrzeszczącego przez głośnik: *Ruszajcie się! Gdzie się pani gapi? Proszę nie patrzeć do kamery!*

Gaetano obserwował ich, kiedy obsiadali niskie murki i zjadali przysługujący im suchy prowiant. To, czego nie zjedli, suchą bułkę w celofanowym woreczku czy zielone jabłko, pakowali starannie i zabierali do

domu. On stał na znacznie wyższym szczeblu filmowej hierarchii, stanowił część działu kreatywnego, ale chętnie przysiadł się do staruszków z farbowanymi włosami i zagadywał energicznie, z wszystkiego zadowolone kobiety, wysłuchiwał ich wynurzeń. Lubił tych prostodusznych ludzi tak dalekich od jego świata. Na planie filmowym wszystko było dla nich obce. Nie mieli pojęcia, o czym jest film, nie znali scenariusza ani znaczenia scen, w których występowali. Nie wiedzieli nawet, jak się nazywa reżyser. Werbowano ich o świcie jak robotników pracujących na czarno za dniówkę. *Pan może być, panu dziękujemy, pani tak. Więcej nikogo nie potrzebujemy.* A oni byli szczęśliwi, że zostaną uwiecznieni z tymi swoimi pokornymi i nawiedzonymi twarzami.

Gaetano czuł się podobnie jak ci statyści na murku. On też nie znał scenariusza, nie wiedział, czy tego wieczoru żona nie wyrzuci go przypadkiem z domu, czy za godzinę kochanka zrobi mu loda, czy syn ma po południu lekcję skrzypiec, czy też może trening piłki wodnej. Kręcił się po swoim świecie i uśmiechał pogodnie do wszystkich pomimo wszechobecnego kryzysu, tak samo jak statyści. W nadziei, że znajdzie się wreszcie w jakimś wiekopomnym kadrze.

– *Otwórz, mamo, to ja...*

Odwiedzał Serenę, czasem palili razem skręty, potem wpadał w apatię. *Czyje to mieszkanie? Kim jest ta stara kobieta?* I patrzył w wodniste oczy matki, która nigdy nie pytała go o prawdę. Jej: *jak się czujesz?* zawierało już w sobie odpowiedź: *powiedz, że czujesz się dobrze, nie chcę słyszeć o twoich problemach, bo nie potrafię cię pocieszyć ani ci pomóc i nie chcę widzieć, jak cierpisz.* Dziewczynka, przerośnięty, przywędłły kwiat.

Kiedy już raz opuściłeś dom, w którym wyrosłeś, żeby się ożenić, nie powinieneś do niego wracać. Będzie ci się zdawać zatechły. Możesz tam mieszkać przez jakiś czas. Krótko. Aż poczujesz, że pora odejść.

Gdzie jest jego miejsce?

Wpadał czasem do Alessia. Był to jeden z jego najdawniejszych przyjaciół. Ale euforia męskiej solidarności też trwała krótko. Poza tym ten pies, pitbull... takie samo bydlę jak jego właściciel. Alessio był instruktorem w fitness klubie, jego praca polegała na wypełnianiu kwestionariuszy i przydzielaniu zestawów ćwiczeń facetom na bicepsy i dziewczynom na jędrne pośladki.

Wspominali stare czasy, gadali tym samym językiem co przed laty, bawili się trochę PlayStation. Zlew był zawsze zawalony brudnymi naczyniami, pitbull zdawał się zajmować całą tę zapuszczoną norę, z jego języka kapłała ślina.

Przyjaciele z pracy nie byli prawdziwymi przyjaciółmi. Nie miał najmniejszej ochoty z nimi przebywać. Opowiesz w ich towarzystwie jakąś anegdotę i następnego dnia znajdziesz cytaty w czyimś scenariuszu. Oczywiście, wszyscy byli żonaci. A on nie zamierzał wciskać się do cudzej rodziny, sadzać sobie na kolanach cudze dzieci. Na samą myśl o tym chciało mu się wymiotować.

Pewnego wieczoru naprawdę zwymiotował.

– *Wpadłem w anoreksję...*

To było tego dnia, gdy Delia wyrzuciła go z domu.

Pod koniec kwietnia przeprowadził się do kawalerki przy viale Somalia. Myślał, że nie zostanie tam długo, był pewny, że Delia przyjdzie po niego. Zamiast tego dostał list od adwokata.

To było we wtorek wieczorem. Matilde wróciła z pracy z jakiegoś kinderbalu, na twarzy miała jeszcze resztki makijażu, pachniała farbkami wodnymi i klejem, ale była mniej radosna niż zwykle. Dopełnili powinności seksualnej i poszli na zakupy do supermarketu.

Na półkach stało to co zawsze, ułożone zgodnie z regułami marketingu, według kolorów i rozmiarów opakowań. Od kiedy Gaetano zamieszkał w suterenie przy viale Somalia, nabrał dużej wprawy w robieniu zakupów, zwłaszcza w dziale mrożonek, gdzie buszował, gdy miał napady kreatywności.

Teraz, kiedy mogli z Matilde spędzać całe godziny w sklepach, odkrył, że nie lubi robić z nią zakupów. O ile w sprawach seksu kierowała się instynktem i wykazywała wiele polotu, to kiedy wybierała artykuły spożywcze, długo i dokładnie czytała wszystkie etykiety, stawała się drażliwa i niezdecydowana. Załatwianie sprawunków z Delią było sprawą najnaturalniejszą pod słońcem. Dzielili między siebie działy supermarketu, żeby wyjść z niego jak najszybciej. Porozumiewali się błyskawicznie. Wpadali do sklepu zmęczeni, ale nigdy się nie kłócili. Co jakiś czas sprawdzali długość kolejki do kasy.

– *Stać już w kolejce, ja jeszcze pobiegnę po wino i pistacje.*

Brakowało mu tej jasnej, niewinnej twarzy. Było na niej widać każdą myśl, a on potrafił je wszystkie odgadywać.

Gdyby zobaczył ją teraz przy kasie, podszedłby do niej i wziął ją za rękę. To byłoby popołudnie ich życia. Popołudnie nędzne jak całe ich głupie życie. Wróciliby do domu, przyrządziliby spaghetti dla dzieci, obraliby dla nich owoce.

Matilde kręciła się między pastami do zębów i balsamami do ciała.

Gaetano zapragnął zniknąć. Ostatnio często mu się to zdarzało. Połknięty przez swoje błędy. Pożarty przez własne dzieci, które nie powinny się godzić na takiego ojca jak on. Pochłonięty przez okazje, które stracił w życiu, często przez nieuwagę, bo patrzył w inną stronę akurat wtedy, gdy pociąg mijał stację. A kto wie, ile stacji ma jeszcze przed sobą...

Tego wieczoru czegoś się o sobie dowiedział.

– Gdzie robisz zakupy?

– Tam gdzie zawsze.

– I jak zawsze wieczorem...

– Tak, wieczorem.

– Mógłbym kiedyś pójść z wami?

– Po co?

– Pomógłbym ci dźwigać zgrzewki z wodą... Czekalbym na was.

Delia patrzy mu w oczy, głębokie jeziora.

– Gaetano, nie możesz do nas wrócić.

– Wiem.

– Wcale tego nie chcesz.

– Bardzo chcę być z wami. Rozpaczliwie.

– Znowu zacząłbyś... Wszystko zaczęłoby się na nowo. Musisz się przyzwyczaić, przetrzymać ten najtrudniejszy okres. W końcu zapomnisz, przestaniesz widzieć siebie w naszym domu.

– Wyrządziliśmy sobie krzywdę. Dlaczego tak się stało?

– Nie wiem.

– Jak się z tego wygrzebać?

– Masz tę swoją dziewczynę.

– Już się z nią nie spotykam.

Wtedy, w supermarkecie podszedł w końcu do Matilde. Stała między półkami z tą swoją twarzą, która nagle wydała mu się nalana i po prostu głupia, spuchnięta od mylnych wyobrażeń, jakie miała o ich związku.

Pół godziny wcześniej powiedziała, że chciałaby mieć z nim dziecko. Powiedziała to jakby od niechcienia, ale potem patrzyła na niego z taką miną, jaką miała, gdy wkładała rękę do lalki Melisendry. Byli nadzy. Gaetano ubrał się w pośpiechu.

– *Skąd ci taki absurd przyszedł do głowy?! Nigdy więcej tego nie mów.*

– *Żartowałam...*

– *Ja już mam dzieci i nie chcę mieć ani jednego więcej.*

– *Może za dziesięć lat...*

– *Za dziesięć lat może mnie nie być na tym świecie, a już na pewno nie będę miał więcej dzieci.*

– *Dlaczego się tak wkurzasz?*

– *Opuściłem swoich synów... Ty nie możesz wiedzieć, co to znaczy.*

Rzucił jej bluzkę, żeby się zakryła, żeby nie widzieć tego ciała, tych piersi z przezroczystymi oczami, które patrzyły na niego tępo. Siedziała skulona na łóżku, w podobnej pozycji jak Delia zaraz po porodzie. Nigdy nie zapomni tego widoku.

Matilde uśmiechnęła się do niego, włożyła bluzkę.

– *Dziękuję. Rzeczywiście zmarłam trochę.*

Nie wydawała się urażona. Gładziła go po plecach. Nigdy nie miała o nic żalu. Nawet kiedy miała. Natychmiast się wycofywała, jakby nic się nie stało. Zdawała się pozbawiona miłości własnej. Należała do ludzi, z którymi nie można się pokłócić, którzy nie stawiają oporu przy zderzeniu, bo usuwają się zawsze

chwilę wcześniej albo pozwalają się zmiażdżyć, nie przestając się uśmiechać. Była w tym podobna do jego matki, do Sereny.

Tamtego wtorkowego wieczoru zostawił ją samą w supermarkecie, z butelką szamponu w ręce.

– *Nie zjemy razem kolacji?*

– *Nie.*

– *Jutro do ciebie zadzwonię.*

Nie odpowiadał na jej SMS-y. Chciał być sam. Musiał stoczyć się i podnieść sam.

Pewnej nocy natknął się na brązowego fiata punto zaparkowanego na viale Somalia. Odwrócił głowę w przeciwną stronę i przyspieszył. Wiedział, że siedziała w środku między torbami z Ikei wypchanymi kostiumami niespełnionej aktorki. Zrobiło mu się jej żal. Nie ukrywała przed nim, że spędzała czasem noce pod jego oknami, gdy był jeszcze żonaty. *Wiem, że jesteś w odległości niewielu metrów, i to mi wystarczy. Przynajmniej śpię blisko ciebie.*

– To ty mnie do tego doprowadziłaś.

Teraz Delia naprawdę się śmieje.

– A więc to była moja wina? Genialnie to wymyśliłeś.

Pokazuje zęby jak z okładki kolorowego czasopisma i Gaetano ma ochotę uderzyć ją pięścią prosto w usta. Tak naprawdę to ona go zdradziła.

– Bardzo mi się podobały twoje zęby.

– Nie gadaj głupstw.

– Po co ty je, do jasnej cholery, poprawiałaś?

Dentysta przy viale Regina Margherita. Przyjaciół ojca, starszy człowiek, skrupulatny i dokładny. Delia parkuje samochód, wchodzi do gabinetu. Gdy siedzi w poczekalni i przegląda jakiś stary magazyn, a także potem, kiedy dentysta uśmiecha się do niej i wkłada palce do jej ust, myśli tylko o tym, żeby nie wlepili jej mandatu. Mandaty wydawały jej się zawsze niesprawiedliwe, wpędzały ją w przygnębienie. Dentysta pływał czasem z ojcem żaglówką, znali się jeszcze ze studiów w Neapolu. Opowiada jej teraz anegdoty z tamtych czasów i jednocześnie grzebie w zębach. Delia co jakiś czas przytakuje ruchem powiek. Dentysta wkłada jej do ust odsysacz śliny, ona czuje zapach jego oddechu i myśli o ojcu. O rodzinie.

Zdecydowała się jednej nocy. Nagle ten estetyczny defekt, z którym żyła tyle lat, zaczął jej bardzo przeszkadzać. Była w kinie i zobaczyła Julię Roberts, która śmiała się szeroko, pokazując piękne zęby.

Chciałabym się móc tak śmiać, powiedziała sobie. Ona prawie nigdy nie otwierała szeroko ust. Nauczyła się trzymać górną wargę przyklejoną do dziąseł, czasem nawet przysłaniała je ręką. Gaetano lubił ten jej dyskretny uśmiech, nieśmiałe usta. Te przymknięte drzwi, które nie otwierały się dla nikogo.

Coraz bardziej drażniło ją chropowate szkliwo. Ta niedoskonałość stała się

nie do zniesienia. Co chwila przesuwała językiem po zębach, oglądała je od środka za pomocą lusterka z puderniczki. Dwa razy rodziła i zawsze wracała do figury sprzed ciąży. Pozostała bardzo szczupła, ale po tym, jak ciała dzieci prześliznęły się między jej kośćmi i wilgotnymi tkankami, czuła się silniejsza.

Kiedy spotykała się z sobą w szybach witryn sklepowych, widziała, że młodość zostaje już za nią. Nie doszła jednak jeszcze do etapu stabilizacji. Tyle tylko, że wzięła na swoje barki odpowiedzialność miłości. Chciałaby być taką, jaką ją widzą pacjenci odwiedzający jej gabinet. Osobą budzącą zaufanie, która potrafi nakłonić innych do dbania o siebie. A tymczasem ona płakała z powodu zębów.

– *Wiesz, co chcę zrobić? Zamierzam doprowadzić do porządku swoje zęby.*

Siedzieli w kuchni nad miseczkami z musli. Była niedziela.

– *Niby dlaczego?*

– *Są zbyt wrażliwe na ciepło i zimno... Wcześniej czy później muszę to zrobić.*

Gaetano skinął głową bez przekonania. To bez sensu siedzieć godzinami u dentysty z powodu tak nieznacznego defektu. On otworzyłby usta przed wrogiem tylko w ostateczności.

– *To będzie strasznie dużo kosztować.*

Delia przyniosła do domu wycenę leczenia. Okazało się, że koszty nie są aż tak wysokie. Zaczęła raz w tygodniu chodzić do dentysty.

Kładła się na fotelu dentystycznym i po chwili przestawała myśleć o czymkolwiek. Może to dzięki lampie wytwarzającej ostre światło i sztuczne ciepło jak na kurzych fermach. Ramiona trzymała ułożone w taki sposób, że łatwo byłoby jej objąć tego siwowłosego mężczyznę, który poprawiał jej zęby, blizny z wczesnej młodości.

Mogła wybrać bardziej nowoczesnego dentystę, kogoś ze swojego pokolenia, z tych, co studiowali w Stanach Zjednoczonych. Zamiast tego poszła do starego doktora. Pewna ręka doświadczonego praktyka, maseczka prawie jak u spawacza.

Mówił, że szkoda szlifować zdrowe zęby, ale tylko w ten sposób można nałożyć na nie korony. Przy prześwietlaniu szczęki nie założył jej ołowianego fartucha.

Była szczęśliwa z tymi równymi, pięknymi zębami, po których język przesuwał się bez przeszkód. Teraz wszystko inne też się wygładzi. Wybrali się na kolację do meksykańskiej restauracji. Śmiała się jak Julia Roberts albo jeszcze szerzej. Nie wstydziła się otwierać ust przed obcymi ludźmi.

Gaetano zrobił jej potem na ulicy małą scenę zazdrości. Delia wychyliła przy barze parę kieliszków z tequilą i cmoknęła dla żartu jakiegoś metalowca. Do tego jeszcze była ubrana wyzywająco, sukienka z lamy, a na niej skórzana kurteczka jak u poskramiaczki dzikich zwierząt.

- *Kiedy to sobie kupiłaś?*
- *Podoba ci się?*
- *Nie bardzo.*
- *Wraca moda na lata osiemdziesiąte.*
- *W latach osiemdziesiątych moda była szkaradna.*

Gdy wracali do domu, Delia chwiała się na wysokich obcasach. Zaraz za drzwiami zrzuciła buty, miała czarne rajstopy, wyglądała bardzo ponętnie. Ogarnęła go zazdrość i gwałtowne pożądanie.

– *Dziwka...*

Złapał ją z tyłu za włosy, upadli na podłogę. Dzieci nie było w domu, babcia wzięła je do siebie. Tej nocy mogli krzyczeć z rozkoszy, kochać się na dywanie i gdzie tylko zapragnęli.

– *Czy mogłabyś mnie zdradzić, ty dziwko?*

– *Kto wie...*

Wcisnął jej język do ust, poczuł gładkie zęby z białej porcelany. Wszystko skończone. Następnego ranka obudził się przepiękny dzień, królował spokój, ulice błyszczały jak morze. Wspaniały nocny seks ich połączył. Po nieprzespanej nocy razem wyszli z domu po dzieci, dwoje zakochanych w dzinsach i swetrach. Śniadanie zjedli w barze tylko we dwoje, jak kiedyś.

Także później, kiedy już odebrali dzieci i bujali je na huśtawkach w parku, byli z sobą blisko, jakby sklejeni.

Po południu Delia wymiotowała.

Nie mieli w planach jeszcze jednego dziecka, już z dwójką ledwo sobie radzili. Ale pięknie jest drzeć z takiego powodu. Gaetano pogładził jej brzuch.

– *No to wpadliśmy...*

– *Co teraz zrobimy?*

– *Nie martw się. Jakoś to będzie.*

Powinni zacząć się zamartwiać, ale ta niespodziewana wspaniałomyślność natury wywołała w nich dobrze znany dreszcz entuzjazmu. Zasiać życie w kobiecie. Nawet jeżeli dokoła słyszy się, że świat schodzi na psy.

Delia przybrała od razu tę swoją macierzyńską twarz. Pełną niepokoju, przejrzystą.

Oczywiście, niespodziewany prezent został wysłany parę tygodni wcześniej. Przy okazji jednego z rutynowych spotkań w łóżku, pod stałym ostrzałem dziecięcych potrzeb, z chrapliwym oddechem Nica w zasięgu słuchu, przy Cosmie lunatyku, który czasem niespodziewanie przychodził do nich w nocy. Seks powszedni, kasowanie biletu w małżeńskiej podróży.

W środku nocy Delia usiadła na łóżku.

– *Zrobiłam sobie prześwietlenie.*

Włączyła światło.

- *Jakie prześwietlenie?*
- *Rentgen. U dentysty.*
- *Co za problem? Zęby masz dużo wyżej. Śpijmy.*

Okazało się jednak, że to był poważny problem. Delia długo rozmawiała przez telefon z dentystą.

- *Dlaczego mi nie powiedziałaś, że jesteś w ciąży?*
- *Nie wiedziałam...*

Liczyli dni do tyłu, żeby ustalić, kiedy to się mogło stać. Ona patrzyła w lustrze na swoje zęby, nieruchomo, jak porażony strachem królik.

Decyzję podjęli szybko, nie pozostało im dużo czasu do namysłu. Ryzyko było poważne, zniekształcenia, wady rozwojowe... Przypadek zdecydował za nich. Mogli się uważać za rozgrzeszonych, wszyscy radzili przerwać ciążę. Stary dentysta rozłożył ręce, *co ja ci mam powiedzieć...*

Delia mu podziękowała, ale gdy jechała do domu skuterem, ogarnęła ją bezgraniczna nienawiść do tego starego idioty, któremu nie chciało się nawet założyć gumowych rękawiczek. Wyobraziła sobie ojca tamtego popołudnia w barze w Amalfi, jego ciało na ziemi, wśród mew. Zdjął kitel lekarski i wyszedł ze swojego gabinetu tylko po to, żeby umrzeć.

Nie miała już tej swojej macierzyńskiej twarzy. Wróciła dawna Delia – czujna, precyzyjna, zaabsorbowana powszedniością.

Obserwowała Gaetana, żeby sprawdzić, czy czuje choć trochę smutku, czy też tylko ulgę. Wydawał się obojętny. Żartował z dziećmi, nie wyglądał na przygnębionego. Delia nigdy nie zapomni tego straszego wieczoru przed zabiegiem, kiedy nikt nie wspomniał ani słowem o tym, co miało się stać.

I stało się. Szybko, bez komplikacji, ambulatoryjnie. Tak samo jak kiedy na ekranie komputera usuwa się plik, przenosząc go do kosza. Wieczorem była już z powrotem w domu, odpoczywała w tej samej pozycji co poprzedniego dnia o tej porze, z nogami na oparciu tapczanu. To był październik.

Starszy mężczyzna siedzący przy stoliku pod ścianą przypomina Delii dentystę, ma takie same włosy, prawie białe i puszyste. Nagle zrozumiała, dlaczego jego proste plecy przyciągały jej wzrok od pierwszej chwili, kiedy usiadła przy stoliku w tej restauracji. To przez tę obsesyjną myśl, która tonie teraz razem z wszystkimi innymi myślami.

- *Zapłać. Pójdziemy już.*

Rozgląda się wokół siebie. Ten wieczór na początku lata wydaje jej się teraz najgorszym czasem w jej życiu. Zatrzymanym na progu upałów, bezlitosnego słońca. Kanapki, półkolonie w miejskim parku. Będą się snuć w majtkach po dusznym mieszkaniu. Wyleją sok na dywan.

Gaetano też myśli o synach. Teraz częściej niż kiedyś. Myśli o tym, że spędzają dużo czasu sami, rosną z dala od niego, w betonowych ścianach.

Wyobraża sobie Cosma, jak siedzi na kamieniu i grzebie patykiem w żwirze. Chciałby usiąść przy nim. Powąchać go i ugryźć jak słodki baton. *Nie możesz wyrosnąć na takiego człowieka jak ja, człowieka, który nie ma szacunku do samego siebie.*

Zamiast siedzieć w tym restauracyjnym ogródku, zrobiliby o wiele lepiej, gdyby położyli się razem z dziećmi na swoim dużym małżeńskim łóżku i tak zostali przez cały dzień. To byłby dobrze wykorzystany czas. Chciałby to powiedzieć rodzinom, które spacerują w pobliskim parku. Godnym pożałowania i kruchym jak oni. Parę razy tak właśnie spędzili niedzielę. Zostawali wszyscy czworo w łóżku, pod jednym kocem. Być może to był raj. Czas przedwieczny.

– Nie było cię wtedy przy mnie.

– Wydawało się, że niczego nie potrzebujesz... Przynajmniej ode mnie.

Być może wiedziała, że jest w ciąży, czuła to gdzieś w środku. I lecząc zęby, doprowadziła do nieszczęścia.

Psychika człowieka jest jak zamknięte morze, kotłuje się i burzy, podpowiada wciąż nowe sposoby na zamaskowanie jego oszustw.

Na zabieg poszła w sztruksowej kurtce, tej samej, którą wkładała, gdy wieczorem wychodziła wyrzucić śmieci.

– *Nie chciałaś mieć więcej dzieci.*

– *Wiem.*

Gdyby tak któregoś wieczoru objęli się i razem zapłakali, przynajmniej raz, przynajmniej przez kilka chwil. *Gaetano, obejmij mnie, trzymaj mocno. Zamknijmy się razem w ciemności, odprawmy żałobę po tej stracie, o której nikt nigdy się nie dowie, która się nie liczy.*

– Potem zacząłeś wyjeżdżać...

Najpierw do Mediolanu. Później do Düsseldorfu, do pracy przy realizacji kryminału z komisarzem policji obdarzonym nieprawdopodobną intuicją. Czy to przez te cztery odcinki serialu emitowane w telewizji późnym wieczorem rozpadło się ich małżeństwo?

– Rozmawialiśmy przez telefon...

– Zawsze byłeś w złym humorze.

Wieczorami czuł się jak pusty wagon tramwajowy, który przez cały dzień woził po mieście anonimowych ludzi. Nawet z dziećmi rozmawiał krótko. *Idźcie już do łóżek. Śpijcie dobrze.*

Przesiadywał w piwiarniach. Zapach grillowanego mięsa, kiszonej kapusty. Jadł do przesyty, a rachunki składał starannie i przechowywał w portfelu, żeby później dostać zwrot wydatków. Całe godziny spędzał na Skypie z Matilde. Zdejmowała dla niego stanik, pokazywała piersi. Nie wracał do domu nawet w weekendy z powodu tego cholernego wulkanu, który wybuchnął na Islandii. Czarne niebo, odwołane loty.

Zostawił ją wtedy samą. Czuli się jak ogłuszeni.

Od przyjaciółki Alberty usłyszała: *Tak właśnie mężczyźni reagują na nasze cierpienie. Wychodzą z psem na spacer albo idą poćwiczyć na siłownię.*

Alberta miała pewne uprzedzenia.

– *Być może wiedzą, że i tak nie pomogą.*

Śmiały się nad ruchomą taśmą z japońskim sushi.

Delia patrzy na Gaetana, przez chwilę zapragnęła przytknąć głowę do jego czoła, tak jak to robili kiedyś, żeby połączyły się ich myśli.

– Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

– Tkwiliśmy już wtedy w gównie.

– To mnie załamało...

– Wszystko potoczyłoby się tak samo. I tak byśmy się rozwiedli, tyle tylko, że mielibyśmy córkę z wadą serca... albo bez jednej rączki.

– A może przyniosłaby nam szczęście.

– Szczęście nie spada z nieba na przypadkowych ludzi. Szczęście wybiera, a nas, droga Delio, nie ma na liście.

– Nikt nam nie pomógł.

Patrzę na siebie, jakby stali nad urwiskiem i jakby się bali, że za chwilę do niego wpadną. W którym miejscu zaczęła pękać ziemia? Trudno byłoby je znaleźć. Uśmiechają się do siebie.

– Może po prostu byliśmy zmęczeni.

– Wystrzępiliśmy się.

– Kiedy zrozumieliśmy, że nam się nie uda?

Ale nawet wtedy jeszcze przez jakiś czas parli naprzód, udawali, że nie dzieje się nic złego.

– Być może wtedy... w szkole Nica...

Gaetano zamyśla się. Bez trudu odszukuje w pamięci tamten poranek. Kurs reanimacji. Stali nad manekinem. Przed przytknięciem warg do jego ust należało zakryć je gazą.

– Za mocno pompowałem... Nie jest łatwo wejść we właściwy rytm.

– Zrozumiałam jedno: nie potrafiłabym nikogo uratować. Żadnemu z nas dwojga by się to nie udało.

– Bo to nie jest prosta sprawa. Trzydzieści uderzeń w serce, potem dwa dmuchnięcia w usta, pamiętać o tym, żeby głowa była odchylona, bo w przeciwnym razie opadnie język... Czy można to opanować?

– W Japonii mają to opanowane. Pięćdziesiąt procent populacji potrafi udzielić pierwszej pomocy.

– No tak, w Japonii... My jesteśmy zbyt pobudliwi.

Ożywia się, prostuje ramiona, jego ciało zajmuje teraz więcej przestrzeni.

– Czy możesz to sobie wyobrazić, że znajduję kogoś leżącego na ulicy

i zaczynam mu robić wszystkie te rzeczy, których nas uczyli? Najwyżej potrzynam mu głowę i zacznę się modlić.

To ona nalegała, żeby się zapisali na kurs reanimacji.

– *Zróbmy to dla dzieci. Musimy się nauczyć, może się przydać...*

Jemu nie chciało się wstać z łóżka tak wcześnie.

– *Przecież to sobota! Co za męka!*

I znaleźli się w tej absurdalnej sytuacji, w pomieszczeniu z innymi rodzicami. Gaetano ma pognieciony szalik na szyi i podkrążone oczy scenarzysty. Jest jednym z niewielu ojców, przeważają kobiety.

– *Kobiety są bardziej przezorne.*

– *Są bardziej nerwowe.*

Najpierw teoria ilustrowana filmem wyświetlanym z projektora w zaciemnionej sali. Potem ćwiczenia praktyczne przy zapalonym świetle, na dwóch fantomach, noworodka i dziecka.

Delia uważnie słuchała tego, co mówił instruktor, teraz ma spróbować swoich sił. Stoją przy fantomie ułożonym na ławce. To tylko lalka z różowego plastiku, ale robi wrażenie.

– *Przed wszystkim należy wynieść dziecko z zagrożonej strefy, mogą nastąpić dalsze komplikacje.*

Trzeba podejść do manekina i wykonać kolejno wszystkie czynności. Powiedzieć coś do dziecka, *hej dzieciaku!*, następnie uszczypnąć je w kark. Jeżeli nie zareaguje, należy ułożyć je prosto, głowę w jednej osi z resztą ciała, tak, żeby język nie opadał, pochylić się nad jego buzią, prawie dotykając jej policzkiem, i sprawdzić, czy oddycha.

I módlmy się, żeby oddychało!

Jeżeli nie, trzeba rozpocząć sztuczne oddychanie.

Studentka medycyny, która pomaga w przeprowadzaniu kursów reanimacji w szkołach, jest ładniutka. Ma krótką ciemną fryzurkę i zabawną buzię. Wygląda, jakby wyszła z filmu Tima Burtona, *Śpiąca Królewna* w wersji *dark*. Gaetano przygląda się jej i myśli, że w telewizji nigdy by jej nie wybrano do tej roli.

Dziewczyna podaje Delii kawałek gazy, nie wiadomo, ilu już ludzi dotykało tych fantomów. Delia pochyła się, otwiera usta. Musi je otworzyć dość szeroko, żeby nimi objąć buzię sztucznego dziecka. Krępuje ją ta sytuacja, to, że musi się przyklejać ustami do plastikowej lalki na oczach wszystkich tych ludzi. Jest w tym coś obscenicznego. A przynajmniej bardzo smutnego. Pompuje powietrze do fantomu pięć razy, powoli, zgodnie z instrukcjami. Sprawdza, czy klatka piersiowa symulatora się uniosła. Puszczą gumowy nos, po chwili znów zaczyna wdmuchiwać powietrze.

Wykonuje wszystko dość prawidłowo. Także przy masażu serca odpowiednio usztywnia ramiona.

Po niej przyszła kolej na jednego z ojców. Spóźnił się, tłumaczył, że wraca dopiero z pracy. Miał na sobie marynarkę i krawat i był jeszcze mokry od deszczu. Delia widziała, jak podał rękę żonie, która była w ciąży, i poczuła ukłucie w dole brzucha. Od tej chwili nie umiała się już skupić na lekcji. Obserwowała tych dwoje. On uważał na każde słowo studentki, przerwał jej parę razy, żeby zadać bardzo sensowne pytania. Kiedy przyszła jego kolej, stanął nad fantomem tak skoncentrowany, jakby to było prawdziwe dziecko.

Nie popełnił ani jednego błędu. Opisał dokładnie na głos wszystkie etapy resuscytacji, używając przy tym właściwych terminów medycznych. Później pochylił się, ścisnął nos fantomu i pompował powietrze w regularnych odstępach czasu.

Gaetano już od dłuższej chwili miał tego serdecznie dość. Nie uważał, nie pamiętał poszczególnych czynności, wstydził się mówić w obecności tych wszystkich ludzi, chciał się stamtąd urwać, jak ze szkoły.

Miał silne ramiona, w domu podciągał się na drążku. Był jednym z niewielu w grupie, kto mógłby dobrze wykonać masaż serca. Na to właśnie liczył. Ale studentka zganiła go:

– *Zapomniał pan ułożyć głowę w jednej osi z resztą ciała. W ten sposób powietrze nie będzie przepływać.*

– *Dobra, dobra...*

Odchylił głowę fantomu zbyt gwałtownie. Bez wstrętu przytknął usta do gumy, ale powietrze pompował zbyt mocno. Roześmiał się.

– *Rozerwałbym mu płuca.*

Po wyjściu ze szkoły zatrzymali się w barze, tym, który śmierdział psami, tuż przy parku. Oboje byli zmęczeni, szkolenie trwało całe rano. Musieli pokazać, jak zareagowaliby w przypadku zatrzymania funkcji życiowych u niemowlaka i u starszego dziecka.

– *To było interesujące.*

– *To był koszmar.*

Nadgryzł rogalik i mówił dalej z pełnymi ustami.

– *Nic już nie pamiętam.*

– *Przynajmniej jedno z nas dwojga musi umieć udzielić pierwszej pomocy, ratować innych, w razie potrzeby ocalić życie naszych dzieci.*

– *Ja nie jestem w stanie ocalić nikogo. Lepiej, jak zaraz wezwiesz pogotowie. Albo wezwij tego tam...*

Do baru wszedł mężczyzna z kursu, ten w marynarce i z krawatem. Uśmiechał się, ramieniem obejmował żonę. Niczym się nie wyróżniali, ona nie miała makijażu, włosy spięte gumką i kalosze w kolorowe grzybki, on nosił kurtkę nieprzemakalną, pewnie była przesiąknięta zapachem potu i miasta. Delia przesunęła po nich spojrzeniem, nie zatrzymując go na żadnym z nich. Mężczyzna

odezwał się do niej.

– *Bardzo dobrze sobie pani radziła.*

Delia podniosła oczy, ale zaraz spuściła je znowu na stalowy, poplamiony kawą blat kontuaru.

– *Nieprawda, mam zbyt słabe ręce.*

Gaetano zostawił na ladzie niedopite cappuccino i wyszedł z baru. Zapalił papierosa i powiedział do Delii podniesionym głosem:

– *Spodobał ci się ten wymoczek.*

– *Tak, zrobił na mnie pozytywne wrażenie. Widać, że to odpowiedzialny człowiek.*

– *Zwykły kretyń, nieudacznik... i jeszcze ten modulowany głos...*

– *To dobry ojciec... Robi wszystko, żeby umieć pomóc swoim dzieciom w przypadku zagrożenia życia.*

– *W przypadku zagrożenia życia to on się zesra ze strachu.*

– *A ty?*

– *Ja też, ale przynajmniej teraz nie robię z siebie bohatera. Ten facet myślał tylko o tym, jak by to było fajnie przelecieć tę studentkę. Ja ci to mówię, widziałem, jak na nią patrzył, gdy się przyssał do symulatora.*

– *Tobie wszystko kojarzy się z seksem.*

– *Kojarzy się wszystkim, na całym świecie. A ja należę do tego świata.*

– *O każdym człowieku masz coś złego do powiedzenia... żeby umniejszyć jego wysiłki...*

– *Jakie wysiłki! Delia! Co niby takiego wspaniałego robi ten facet?*

– *Szanuje ludzi... jest oddany swoim dzieciom... żonie.*

– *Widziałaś tę jego żonę?*

– *Miła.*

– *Miła? Ona jest o krok od samobójstwa.*

– *Dlaczego dla ciebie wszyscy są gorsi od nas? Może po prostu nie chcesz dopuścić do siebie myśli, że są lepsi, że się bardziej kochają, liczą się z potrzebami innych ludzi, troszczą się o nich...*

– *Bo co, ja się nie troszczę?*

– *Nie zawsze. Właściwie prawie nigdy.*

Gaetano, naburmuszony, skierował się w stronę parku, który zaczynał się zaraz przy barze. Był zły na deszczową pogodę, na psy, które biegały po trawie. Szli przez chwilę obok siebie, starając się omijać psie kupy. Obrócił się do Delii.

– *Ty mnie już nie kochasz.*

Ona wydusiła z siebie jakąś ripostę, z tych oględnych, wymijających. Chciała zneutralizować uczucie klęski tymi samymi co zawsze kostkami stwardniałego cukru. Gaetano z pociemniałą, zrozpaczoną twarzą wycelował w nią palec.

– *Nie jesteś ze mną szczerą.*

Delia nabrała zwyczaju malowania się w aucie, gdy odwoziła Nica do szkoły. Zatrzymywała się wcześniej, przed barem, włączała światła awaryjne, przeciągała różem po bladych policzkach. Coraz częściej myślała o tamtym mężczyźnie, mężu innej kobiety. Brzydszej, bardziej zaniedbanej niż ona, ale pewnie znacznie szczęśliwszej. On również odwoził syna do szkoły. Na skuterze, w tej swojej nieprzemakalnej kurtce. Żona była w ciąży, więc wziął na siebie ten obowiązek i przed pracą zatrzymywał się w szkole. Delia spoglądała na niego ukradkiem, nie podnosząc wzroku, gdy pochyleni obok siebie zdejmowali dzieciom kurtki i zawieszali je na kołkach.

Gaetano w tym czasie spał jeszcze albo wypróżniał się w ubikacji i delectował świętym spokojem. A może stał na balkonie w samych gaciach i palił pierwszego papierosa w towarzystwie gołębi. Delia patrzyła na mężczyznę w kurtce przeciwdeszczowej, kiedy głąskał głowę synka. Był to gest pospieszny i zarazem czuły. Napełnił ją spokojem. On klęczał jeszcze, kiedy chłopczyk odwrócił się i pożegnał go poważnie, jak mały mężczyzna.

– *Cześć, tato.*

Delia stała przy Nicu, który ostatnio bardzo się cofnął w rozwoju, nie chciał, żeby zostawiała go samego w przedszkolu, płakał każdego ranka. Wkładała mu do jednej kieszeni czarny wężyk lukrecji, do drugiej chusteczkę do nosa.

Z mężczyzną poznanym na kursie reanimacji spotkała się potem parę razy w barze. On czasami zatrzymywał się tam na kawę, ona też nabrała takiego zwyczaju.

Nie zadawała się z innymi matkami, tymi, które organizowały loterie charytatywne i szyły kostiumy na szkolne przedstawienia. Trzymała się na dystans od stałych grup.

Kiedyś zamieniła kilka słów z mężczyzną z kursu. Podszedł do niej, ubrany w tę swoją nieprzemakalną kurtkę, z kaskiem w ręce. Od tego czasu witali się po imieniu.

– *Dzień dobry, Delio.*

– *Dzień dobry, Giancarlo.*

Te spotkania sprawiały jej dużą przyjemność, być może nawet czekała na nie. W barze stawała zawsze w tym samym miejscu przy kontuarze, tuż obok kasy (o tej porze panował tam straszny chaos). Wystarczał jej sam gest pozdrowienia, skinienie głową, ruch ręką. Kiedy się nie zjawiał, nic strasznego się nie działo, ale na jego widok lepiej się czuła. Wprawiał ją w dobry nastrój, budził zaufanie. Zaczęła myśleć o nim jak o kimś bliskim. Wracał jej w pamięci obraz jego dłoni, spokojnych i pewnych, gdy ćwiczył na fantomie masaż serca.

Jej własne serce niepokoiło ją czasem. Bywało, że czuła w jego okolicach przykry ucisk, i musiała wtedy poruszyć gwałtownie ramionami, żeby się od niego

uwolnić. Gaetano nie potrafiłby jej uratować, gdyby zaszła taka potrzeba. Był nieuważny, skoncentrowany na swoich frustracjach. Kochała go, ale nie miała do niego zaufania. Poza tym zmęczyła się tą wieczną huśtawką przeciwstawnych, zwalczających się uczuć.

Tymczasem Giancarlo emanował spokojem. Nie był przystojny, miał masywną sylwetkę, był przeciętny. Prawdopodobnie łyślał (strzygł włosy króciutko, maszynką), za to miał szerokie plecy jak mur, na którym można się oprzeć, oraz małe żyłki w oczach i uśmiech rozjaśniający całą twarz, łącznie z czołem.

Czasem śmiali się razem. Żartowali na temat rozgdakanych matek wystających pod szkołą.

– *Czy one tu zawsze stoją?*

Delia uśmiechała się.

– *Nie pracują?*

Delia potrząsała głową.

– *Nie. Mają to szczęście...*

– *Ciekawe, na co tutaj czekają.*

Delia śmiała się, ale myślała wtedy, że może czekają na to samo co ona. Na cudzego męża, na mężczyznę, który by na nie spojrział, który zmieniłby ich życie, kto wie... Delii nigdy nie przyszło do głowy, żeby zdradzić Gaetana. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła nawiązać intymne stosunki z kimś innym.

Ale kiedyś miała sen. Leżała na wielkiej żółtej łące, Giancarlo w kurtce przeciwdeszczowej wdmuchiwał jej do ust powietrze tak samo, jak to robił z fantomem, w tym samym spokojnym rytmie. Potem naciskał na jej klatkę piersiową, wyszukawszy najpierw miejsce, gdzie bije serce, bacząc, by nie złamać jej żeber. A ona czuła, że jego silne dłonie przywracają ją do życia, jakby była śpiącą królową.

Zaczęła podglądać tego człowieka i jego rodzinę, śledziła ich życie. Widziała go z żoną na szkolnym przedstawieniu przed Bożym Narodzeniem. Ona trzymała ręce na brzuchu, on stał obok z małą kamerą w ręce jak większość ojców. Gaetana nie było, wyjechał do Mediolanu, pisał scenariusz jednego z tych programów telewizyjnych, w których ludzie kłócą się z sobą przed publicznością. Nawet gdyby Gaetano był na przedstawieniu, nie sfilmowałby syna w przebraniu kominiarza. Nienawidził tego maniakalnego przymusu uwieczniania rodziny na amatorskich filmikach. Delia wytknęła mu to kiedyś.

– *Nasze dzieci nie będą miały pamiątek.*

On zareagował uśmiechem: *to nic strasznego.*

Delia zrobiła parę zdjęć komórką, kiedy Nico zbliżył się do proscenium. Miał płaczącą minę. Na jej widok zawołał: *Ja chcę pizzę! Jestem głodny! Daj mi pizzę!* Właśnie tak, w samym środku przedstawienia. Oczy wszystkich skierowały

się na nią.

Wpięła sobie w sweter znaczek Save the Children, założyła okulary, żeby lepiej widzieć z daleka. Jeszcze chwilę wcześniej była w znakomitym nastroju, teraz czuła się jak nieporadna matka rozkapryszonemu dzieciaku. Małego tyrana bez charakteru, jak jego ojciec.

Zaczęła się przeciskać do przodu między stojącymi rodzicami. *Przepraszam, przepraszam...* Doszła pod scenę i jedna z nauczycielek podała jej małego chłopczyka w kostiumie kominiarza uszytym przez jakąś inną matkę, jedną z tych, które umiały się właściwie zachować. Nico skarżył się, że wszystko go swędzi. Rozebrała go do podkoszulka.

Włożyła mu do ręki kawałek pizzy kupionej w barze. Potem patrzyła, jak je, i myślała, że traci kontrolę nad ich życiem, wcześniej czy później wszystko wybuchnie i wylecą w powietrze. A Gaetano popełnił błąd, że złożył wszystko na jej barki, które wcale nie są silne.

Przyszedł jej na myśl kurs reanimacji. Gdyby jej syn zaczął się dusić kawałkiem tej gumowej pizzy, ona nie potrafiłaby go uratować. Patrzyłaby na niego, jak sinieje z braku tlenu, i nie ruszyłaby nawet palcem. Czasami jej się to zdarzało. Zatrzymywała się, mając przy tym wrażenie, że już tak zostanie do końca życia. W jednej chwili przechodziła ze stanu hiperaktywności do totalnej inercji.

Ich rodzina jest dysfunkcyjna, syn jest taki sam jak ojciec, nie respektuje reguł. Często opowiadała Gaetanowi o tamtych ludziach, nie umiała się powstrzymać. Byli spokojni, nigdy się nie kłócili, ich synek był zrównoważony i bezinteresowny, chętnie się wymieniał z kolegami pokemonami, także z Nikiem, który był okropnym egoistą i nigdy nikomu nic nie pożyczał. Mieli małego pieska, żona nosiła zakupy z targu w koszyku z rafii. Wydawali jej się skromni i oszczędni, ale nie było widać, żeby im czegoś brakowało. Wydawali jej się szczęśliwi.

Gaetano podkpiwał sobie z niej. *Zamieszkać z nimi, jeżeli tak ci się podobają! Jak ci może odpowiadać ktoś taki? Zawsze unikaliśmy ludzi tego pokroju, porządnych i opanowanych, którzy nie jedzą, żeby nie srać. Nasze dzieci jedzą i srają. Czy to znaczy, że są nienormalne? A jeżeli nawet, to co z tego? To są nasze dzieci, więc są do nas podobne. Wcale nie jest powiedziane, że ich syn będzie szczęśliwszy od nich. Tego nikt nie może wiedzieć.*

Ale Delia to wiedziała. Ten chłopczyk, choć jeszcze malutki, składał razem rękawiczki i chował je do kieszeni kurtki. Jej synowie wszystko gubili, bluzy zostawiali na ławce w parku. Pewnego dnia Cosmo wrócił do domu bez jednego buta. Przeszedł tak spory kawałek i nawet tego nie zauważył.

Ich dwoje dobrało się drogą abstrakcji, potrafią chodzić po ziemi i równocześnie latać po niebie, samotni i dalecy od wszystkiego. I będą żyć dalej tak samo jak dotąd, gubiąc części jak stary samochód, gruchot, który wcześniej czy później odmówi posłuszeństwa i stanie na drodze.

Uważnie obserwowała Giancarla, obserwowała też jego Claudię, brzydszą od niej, jakby wyblakłą. Należała do tych kobiet, które w ciąży nabierają niewiele wagi i przypominają zwiędłe gruszki. Delia zastanawiała się czasem, czy tych dwoje łączyła wielka namiętność. Albo przyjaźń, która z czasem stała się nienaruszalna, twarda jak opoka. A może są razem dlatego, że popiół się nie pali... Namiętność z czasem zamienia się w laguny, w przepaści, których nie da się wypełnić. Gaetano wciąż się czegoś domagał i wrzeszczał na dzieci. Być może ci dwoje nigdy się nie kochali tak jak oni, ale byli z sobą dobrze zsynchronizowani i darzyli się szacunkiem.

A jej teraz najbardziej zależało właśnie na szacunku. Gaetano miał rację, kiedy krzychał: *to ty się zmieniłaś!*

Chciałaby mieć całkiem inną rodzinę. Chciałaby mieć przy sobie innego mężczyznę. Bardziej rozsądnego i dbałego. Kiedy plecak ich syna spada z kołka, ona podnosi go z podłogi i wiesza porządnie. Plecak syna Giancarla nigdy nie spada z kołka. Ten chłopczyk wie, jak go powiesić, żeby został na swoim miejscu.

Ich dzieci są miękkimi ramionami ich porażki.

Jakiś czas później widziała, jak się kłócili na targu niedaleko szkoły. Wyczuła między nimi napięcie. Poszło o błahostkę – Claudia chciała, żeby Giancarlo trzymał szeroko rozchylone uchwyty torby z rafii, by dało się włożyć do niej kapustę, on nie mógł tego zrobić, bo jedną rękę miał zajęętą przez kask. Delia stanęła w kolejce do straganu i schowała się za jakąś kobietą, żeby usłyszeć, o czym mówią.

Kiedy patrzyła na leżące przed nią jabłka i karczochy, pomyślała, że zrobiła się obrzydliwa. Zazdrości ludziom szczęścia. W jakimś zakamarku jej ciała czekał już złośliwy śmiech. Może tamci też skończą w takim samym gównie jak oni. Wiedziała, że to się właśnie tak zaczyna, od sprzeczki z powodu kapusty, którą trudno zmieścić w torbie.

Kapusta spadła na ziemię, Delia ją podniosła. Giancarlo uśmiechnął się do niej i powiedział: *dziękuję*. Ciężarna żona obróciła się i spojrzała z irytacją na tę zażyłość, na to łagodne *dziękuję*, na ten uśmiech.

Kto wie, gdyby Delia miała zły charakter i gdyby się trochę postarała, może udałoby się jej rozbić tę rodzinę albo przynajmniej maznąć ją brudną ścierką.

Claudia urodziła w marcu. Teraz przychodziła po syna do przedszkola z małą Evą-Marią w nosidelku.

Przed kilkoma dniami Delia spotkała Giancarla w barze. Robił wrażenie, jakby nie chciało mu się stamtąd wychodzić. Wyglądał na zmęczonego. Jakby za późno się obudził i przed wyjściem nie zdążył się ogolić. Zarost sprawiał, że wydawał się niechlujny i zaniedbany. Powiedział jej: *jesteś w świetnej formie*.

Delia wyszła z domu bez makijażu. Spojrzała na swoje odbicie w kawałku lustra między butelkami z alkoholem. Rzeczywiście, miała twarz jasną

i wypoczętą.

– *Rozwiodłam się z mężem.*

Giancarlo milczał przez chwilę.

– *Bardzo mi przykro.*

Ale Delia wcale nie była smutna. Czuła się silna. To był ostatni dzień roku szkolnego.

– *To było nieuniknione.*

Wypowiedziała to słowo ze spokojem. Miała wypoczętą twarz, bo tej nocy po raz pierwszy od długiego czasu naprawdę dobrze spała. Poza tym dzisiejszego ranka plecak Nica nie spadł z wieszaczka. Była pełna nadziei. Teraz, kiedy została sama, będzie jej łatwiej wychować chłopców. Wyszła z chaosu, który on tworzy wokół siebie. Morze się wygładziło, zostawiło na plaży to, co przedtem kotłowało się we wzburzonej wodzie, i ona mogła się teraz temu przyjrzeć.

Giancarlo wyczuł to jej uspokojenie, odgadł, że zrobiła jakiś ważny krok do przodu.

Spojrzał na nią oczami pełnymi tęsknoty, tej samej, z którą ona patrzyła na niego przez parę ostatnich miesięcy.

Nowo narodzona dziewczynka nie spała nocami, on był śmiertelnie zmęczony, dlatego musiał pić tyle kawy.

Nie spuszczał z niej wzroku, nie zauważył nawet, że wciąż trzymał w ustach łyżeczkę, którą posłodził kawę. Brakowało mu czegoś ważnego. Ale wszystkim czegoś brakuje.

Gdyby Delia została w tym barze dłużej, pewnie zaczęłyby tego szukać w niej, w jej jasnej, wypoczętej twarzy.

Mogliby się zamknąć w jej małym samochodzie zaparkowanym przed barem z włączonymi światłami awaryjnymi, w tym samym, w którym co rano różowała sobie policzki, żeby nie wyglądać tak strasznie blado. Mogliby się całować, szukać ciepła pod letnimi ubraniami wilgotnymi od potu.

Gdyby tylko jego spojrzenie zatrzymało się na niej parę miesięcy wcześniej, kiedy padał deszcz, a ona była tak zdesperowana, że zbliżyłaby się do każdego mężczyzny, który nie był Gaetanem...

Ale tego ranka jest za późno. Nie ma ochoty wpakować się do życia łatanego i sztukowanego. Uścisnęła go przed wyjściem z baru. Poczowała zapach obcego człowieka, który rano wyszedł z obcego domu.

– *Dziękuję, Giancarlo.*

On nie rozumiał, za co mu dziękuję. Chciałby ją jeszcze chwilę przytrzymać przy sobie, ale ona się od niego oderwała. Równie gwałtownie, jak odrywała się od ojca, gdy starał się ją zatrzymać dłużej w swoich ramionach.

Delii przychodzą na myśl silne dłonie na gumowym fantomie, które ćwiczyły masaż serca.

Delia myśli o swoim sercu.

Na ulicy przed barem wisi wielki afisz, apel do poczucia solidarności. Jest na nim zdjęcie afrykańskiej kobiety wyblakłej na włoskim deszczu. U dołu zamieszczono numer bezpłatnej infolinii, spłowiąły teraz i ledwo widoczny. Przechodziła obok niego dziesiątki razy, teraz odczytuje słowa, których dotykała spojrzeniem każdego dnia: OCALMY JĄ. Kupuje bukiet kwiatów głogu od obwoźnego kwiaciara, daje pięć euro żebrakowi z psem. Jest Niemcem, ma nogę zniekształconą od uderzenia samochodu, któremu bardzo się spieszyło na światłach.

– Jak ci powiedział ten reżyser? Jak się mówi, gdy scenariusz jest nieudany... nie działa?

– Mówi się: *źle posialiśmy*.

– I co wtedy trzeba zrobić?

– Trzeba zacząć od nowa.

– Posiać lepsze nasiona na lepszym terenie.

– Zawsze na to liczymy.

Patrząc na nią tego wieczoru, jest tego bardziej pewny niż kiedykolwiek – chciałby ją na chwilę przytulić, żeby sprawdzić, jak się poczuje, co stracił.

Delia też jest teraz szczerą. Patrzy na niego i nie ciąży jej to.

– Chciałabym się jeszcze kiedyś zakochać. Nie możesz sobie wyobrazić, jak bardzo bym tego chciała. Spróbować jeszcze raz od nowa. Z kimś innym.

– Teraz wybrałabyś lepiej.

– Wiem, jakie błędy popełniłam.

– Twoim błędem było to, że wybrałaś mnie.

– Nieprawda. Gdybym mogła się cofnąć...

– Nie oszukuj. Odwróciłabyś się na pięcie i odeszła.

– Nie. Zrobiłabym to samo.

– Mówisz tak, bo mamy dzieci.

– Mówię tak, bo mieliśmy siebie.

– A czego byś nie powtórzyła?

Delia wzrusza ramionami, zakłada włosy za uszy po raz nie wiadomo który tego wieczoru.

– Nie poprawiłabyś sobie zębów. Prawda, że nie poprawiłabyś zębów?

– Teraz przynajmniej mogę się śmiać.

Gaetano patrzy na nią, jak się uśmiecha... Patrzy na jej piękne zęby, które zakryły te prawdziwe, zakryły jego pocałunki.

– Powiedz to.

– Co takiego?

– Że mnie już nie kochasz. Powiedz to teraz, kiedy z sobą nie walczymy...

Będzie mi łatwiej przyjąć to do wiadomości.

Delia uśmiecha się i pokazuje zęby, które połknęły raj.

– Nie kocham cię już, Gaetano.

On też się uśmiecha i kiwa głową. Potem jego oczy się zatrzymują.

– Ty też to powiedz.

– Ja nie mogę tego powiedzieć.

– Powiedz.

– Już cię nie kocham, Delio.

– Widzisz? Potrafimy to powiedzieć.

Gaetano przeczesuje ręką włosy. Delia patrzy na jego nadgarstek, silny, z wyraźnymi żyłami. Ciekawe, ile jeszcze lat przeżyją osobno. Oni też kiedyś będą jak ci starsi ludzie przy stoliku pod ścianą. Kiedy dzieci dorosną. Jak długo trzeba na to czekać? Spotkają się, żeby pogratulować któremuś z nich dyplomu uniwersyteckiego. Będą wtedy tylko dodatkiem do głosu syna, który nauczył się mówić za nich, lepiej od nich. Uścisną się trochę wzruszeni. Do tego dnia zapomną smak intymności i nienawiści, wymażą z pamięci to ciało, które mają teraz przed sobą. Doświadczą nowych intymności i nowych złości. Przejdą obok siebie z miłym uśmiechem na twarzy, dwa ciała oczyszczone z tragedii miłości. Bez najmniejszego napięcia, bez urazy, bez bólu.

Starszy mężczyzna podniósł się od stolika pod ścianą. Stoi teraz przed nimi i uśmiecha się. Ma niebieskie oczy, małe i głęboko osadzone.

– Przepraszam, ale mam wrażenie, że kelnerka się pomyliła, zamieniła nasze rachunki. Zanim przyszliście, siedzieliśmy przy waszym stoliku, potem przenieśliśmy się pod ścianę. Moja żona woli siedzieć z brzegu. Zamówiliśmy butelkę szampana i wypiliśmy ją. Nie chciałbym, żeby państwo musieli za nią płacić.

Gaetano wcześniej nawet nie spojrzał na rachunek, robi to dopiero teraz, kiwa głową nad karteczką z rzeczywiście wygórowaną sumą.

– Proszę, to należność za szampana...

Starszy mężczyzna wraca na swoje miejsce, pomaga żonie okryć ramiona, bierze do ręki butelkę.

– Zostało trochę...

Znowu podchodzi do ich stolika, żeby rozlać resztę szampana do ich kieliszków.

– Wnieśmy toast za wasze zdrowie!

Wszyscy czworo stoją teraz blisko siebie. Delia przygląda się kobiecie. Jest piękna, pomimo wieku. Czarna kredka do oczu daje naturalny efekt, jedwabny szal mieni się kolorami. Jest w niej coś egzotycznego, coś z pirata. Na pewno ma bogatszą osobowość niż ona. Kobieta, która zwiedziła świat i przywiozła do domu nowe doświadczenia i stare sztuczki.

– Wnieśmy toast za życie.

– Coś państwo świętują?

Starszy mężczyzna odpowiada cichym głosem:

– Tak, moje zmartwychwstanie...

Żona potrząsa głową, wpatruje się w ciemność, coś błyszczy w oddali.

– Często tu przychodzicie?

– Pierwszy raz. Mają tu dobrą kuchnię.

– Mogłaby być lepsza...

Śmieje się, głaszcze po ramieniu. Jest gadatliwy. Zaczyna mówić i nie wydaje się, żeby chciał szybko skończyć. Jest na emeryturze, przez całe życie pracował w filii pewnej amerykańskiej firmy. Pyta Gaetana, czym się zajmuje.

– Wymyśla pan historie... To musi być bardzo ciekawe zajęcie.

– Nic nie wymyślam. Kradnę.

– Trzeba mieć talent, żeby wiedzieć, co ukraść.

– Z tym nie mam problemu.

– Być może zamieści pan nas w którejś z pańskich historii.

– Kto wie...

Kobieta mówi żartobliwie, że są za starzy, żeby zainteresować młodego scenarzystę. Gaetano powtarza: *kto wie...*

Mężczyzna wyznaje, że kiedyś też miał artystyczne ambicje.

– Jak prawie wszyscy Włosi.

Śmieje się i dodaje, że nieźle śpiewał. I zaraz się poprawia, patrząc przy tym na żonę:

– Byłem bardzo obiecującym barytonem. Potem się zakochałem... założyłem rodzinę...

Mówi, że nigdy nie żałował. Śpiewa czasem w domu przy akompaniamencie muzyki z płyt CD.

– W naszych czasach spełnienie zawodowe było chimerą.

Gaetano myśli: *stary nudziarz*, ale Delia ma lunatyczne spojrzenie, jak zawsze, kiedy jest zafascynowana czyjąś osobowością.

Kobieta zalotnym gestem okrywa ramiona szalem.

– Niczego ci nigdy nie brakowało, nie możesz się skarżyć.

– Czy ja się kiedyś skarżyłem?

Krygują się jak para podlotków. Zaraz pewnie zaczną się przekomarzać. Niespodziewanie starszy mężczyzna mówi poważnym, głębokim głosem.

– To były cudowne lata. Ani przez chwilę nie żałowałem.

Nastąpiła opowieść o wspólnym życiu. Pierwsze lata pełne poświęceń, wynajęte mieszkanie niewiele większe od komórki na poziomie ulicy w starej części Rzymu. Smród kotów i Tybru, szczury wielkie jak niemowlęta. Ale i pierwsze podróże, najpierw Paryż. Potem córki, jedna z ciężką wadą serca. Choroba zabrała im kilka lat szczęścia i wszystkie oszczędności.

Mężczyzna znów się śmieje i poprawia żonie szal na ramionach. Robi to z wdziękiem.

Gaetano zauważa to, bo śledzi wszystko, na co patrzy Delia. Chciałby już skończyć tę rozmowę. Wyciąga rękę, próbuje powiedzieć: *do zobaczenia*. Ale Delia jest jak urzeczona. Patrzy w obwiedzione czarną kredką oczy starszej kobiety.

– A córka? Jak się czuje?

– Mieszka w Ameryce z dwójką dzieci.

– Z dwójką dzieci i żoną.

Kobieta daje mężowi kuksańca.

– Tego nie musiałeś dodawać.

– Co w tym złego? Kochają się. Ta dziewczyna to święty człowiek. Nasza córka jest trudna we współżyciu, ma wieczne pretensje do losu.

– Dużo wycierpiała.

Mężczyzna parska z irytacją, unosi opaloną dłoń.

– Tak, tak, ale jest mnóstwo ludzi, którzy wiele wycierpieli, a nie są tak uciążliwi dla innych jak ona.

Ni z tego, ni z owego mówi, że ma nowotwór. Ścisłej, miał już kilka nowotworów. Chociaż może to jest zawsze ten sam rak. Krąży po organizmie i atakuje różne narządy jak terrorysta, który rozmieszcza bomby w wielu miejscach. Przeszedł kilkanaście operacji i zawsze wychodził obronną ręką.

– Żona mnie zaraz zgani, że opowiadam o swoich problemach... ale nie mogę się powstrzymać, jestem strasznym gadułą.

– Twoje problemy państwa nie interesują.

– A ja się państwem bardzo interesuję. Wydaje mi się, że już was kiedyś spotkałem, tylko nie pamiętam gdzie. Czy mieszkacie gdzieś w sąsiedztwie? Może widziałem was w parku, może w księgarni...

– Być może... Tak...

Delia też ma wrażenie, że już gdzieś widziała tego mężczyznę. Pewnie kiedyś przeszli obok siebie na ulicy.

– Mam podziurawiony żołądek. Jestem fenomenem, maskotką wydziału onkologicznego. Kiedy przychodzę, lekarze witają mnie oklaskami. W poniedziałek muszę tam wrócić, mam guza rozmiaru karczocha, tutaj...

Wskazuje na miejsce pod paskiem i uśmiecha się. Gaetano patrzy na niego.

– Ale przed chwilą zjadł pan smażony kotlet...

– Korzystam z życia. Dopóki mogę, korzystam z życia.

Delia zastanawia się nad słowami, które naznaczyły ten wieczór. Słowa wypowiedziane i słowa przemilczane. Przygnębienie i radość życia.

Wielu gości zapłaciło już za kolację i wyszło z restauracji... zaraz znikną na zawsze. Delia ma ochotę uściskać tego staruszka, poczuć go przy sobie przez kilka

sekund.

Żona pomaga mu założyć marynarkę.

– Co będzie, nie wiadomo. Ważne, że dzisiejszego wieczoru jestem żywy, zjadłem ze smakiem kotlet i rozmawiam z wami. Uwielbiam rozmawiać z ludźmi...

– Gdyby mógł, robiłby to zawsze.

Żegnają się. Kobieta stoi już na chodniku, zapala papierosa.

– Spotkajmy się kiedyś...

Delia uśmiecha się, potakuje. Nie powiedziała tym ludziom, że są z Gaetanem rozwiedzeni. Ona nie rozmawia z obcymi o swoich problemach. Starszy mężczyzna przetrzymuje jej dłoń w swojej.

– Czy mogę was prosić o przysługę? Nie proszę o to wszystkich... Do was od razu poczułem sympatię. Myślałem przez cały wieczór: *muszę ich o to poprosić.*

Teraz na nowo jest daleki, jak gdyby jego dusza nagle uniosła się ponad parasole chroniące stoliki restauracyjnego ogródka.

– Pomódlcie się za mnie.

Gaetano najpierw kiwa potakująco głową, ale zaraz potem zdobywa się na szczerłość.

– Ja chyba nie umiem się modlić.

– Wystarczy zamknąć oczy i skupić się na dobru.

– To dla mnie zbyt abstrakcyjne. O ile wiem, przy modlitwie należy myśleć o tym, kto ma jej wysłuchać.

– A pan nie ma nikogo takiego?

Widać, że starszy mężczyzna jest rozczarowany.

– Przez cały wieczór myślałem sobie: *tych dwoje może dla mnie dużo zrobić...*

– Skąd panu to przyszło do głowy?

– Nie wiem. Miałem takie wrażenie.

Mężczyzna szuka oczu Delii.

– Czy pani myśli, że mogłaby się za mnie pomodlić?

– Tak, oczywiście.

Mężczyzna uściśnął im silnie ręce, przytrzymał je dłużej, niż to było konieczne.

– Nikt nie ocali się sam.

Patrzą za nim, jak idzie do pandy zaparkowanej nieopodal, przy chodniku. Teraz widzą, że mężczyzna nie trzyma się pewnie na nogach. Samochód prowadzi żona. Zamyka drzwiczki za mężem, obchodzi pojazd i siada za kierownicą.

– Dlaczego mu nie powiedziałaś, że jesteśmy niewierzący?

– Nie chciałem mu sprawić przykrości... Jest w takim stanie... Poza tym w coś jednak wierzę.

Delia pyta, w co wierzy. Gaetano, ze wzrokiem wbitym w ziemię i rękami w kieszeniach jeansów, mówi:

– Bo ja wiem... Może w determinizm, łańcuch przyczynowo-skutkowy... To znaczy, jeżeli jesteśmy tu teraz razem, jeżeli to jesteśmy właśnie my, ty i ja, a nie ktoś inny, to chyba ma jakieś znaczenie, prawda?

Słowa starszego mężczyzny utkwiły w niej. Idzie obok Gaetana, mijają razem śmietniki i plastikowe worki porzucone obok nich. Nikt nie ocali się sam.

Gaetano chciałby zawrócić, żeby dowiedzieć się czegoś więcej od tego człowieka, ale idzie przed siebie, zatopiony w myślach.

– Gdyby nam ktoś wtedy pomógł...

– Kto?

Gaetanowi przychodzi do głowy figura mentora. Zawsze starał się wykreować kogoś takiego w swoich scenariuszach. Postać drugoplanową, która popycha bohatera, pomaga mu przeprawić się na drugi brzeg, gdzie może znaleźć prawdę o sobie samym. Ale nigdy mu się nie udało stworzyć takiej postaci. Może dlatego, że nie rozumiał życia.

Myśli o spokoju tego mężczyzny, świadomego, że pożera go rak. Prawdę mówiąc, wcale nie wyglądał na chorego, miał zaróżowioną, zdrową skórę. Przez chwilę Gaetana ogarnęły wątpliwości.

– Może kłamał...

– Dlaczego miałby kłamać?

– Żeby zrobić na nas wrażenie. A może to jakiś wariat?

– Nie wyglądał na wariata. Nie potrafisz uwierzyć, że można dojść do kresu życia ze spokojem i wdzięcznością?

Gaetano zatrzymał się przy automacie, żeby kupić papierosy. Widzi, że Delia osuwa się na kolana przy rolecie sklepowej. Podchodzi do niej, stara się ją podnieść. Ale łatwiej jest przykucnąć obok niej.

– Co ci jest?

Delia ma złączone ręce, klęczy.

– Co ty robisz?

– Modlę się za tego staruszka.

– Co on cię obchodzi?!

– Zrób to razem ze mną.

– Ja naprawdę nie umiem.

Waha się, rozgląda dokoła, żeby sprawdzić, czy ktoś na nich patrzy.

– Teraz to my wyglądamy na parę wariatów.

– Może ktoś nas wysłucha.

– Nikt nas nie wysłucha, Delio. Nikt nas nigdy nie wysłuchał.

Ale klęka przy niej na asfalcie. Czuje się idiotycznie, bolą go kolana.

– Nie mógł wybrać bardziej niefortunnych orędowników niż my.

– Skup się.
– Ale na czym?
– Na tym człowieku.
– Mam dość własnych problemów.
– Widział, jak rzuciłam ci w twarz lodami. Wszystko widział.
– I co z tego?
– Może chciał nam pomóc. Coś powiedzieć... Żebyśmy się nie zachowywali jak dwoje kretynów. Tylko tyle.

Dlaczego nie spotkali go wcześniej... Zaprosiliby go do domu, posadzili przy stole, jakby był dziadkiem ich dzieci. Być może ocaliliby ich wszystkich.

Rzuciliby na nich czary, sprawił, że zostaliby zawsze razem, uwięzieni w miłości.

Gaetano się nie modli. Naprawdę nie potrafi. Nie umie skupić się na czymś, co nie należy do tego świata. Zdaje się na nią, na tę jej niesamowitą twarz.

– Może już pójdziemy?

Oni należeli do pokolenia wyprzedaży, remake'ów. Przed nimi spróbowano już wszystkiego, oni mogą tylko powrócić do tego, co wymyślili inni, może z nowym spojrzeniem, ale bez olśnienia. Stare rany, wymalowane twarze emo. Co jest nowego w ich epoce? Sushi na wynos, Halloween, Facebook. Najśmielszym pomysłem na życie znajomych Delii i Gaetana była organizacja eventów. Bezustanna impreza na gruzach. Egoizm, z którym można się obnosić jak z torebką na pasku. Ale to był ich świat i w nim muszą żyć, oni i ich dzieci. Wciąż czujnie nasłuchując każdego pozytywnego sygnału.

Przeszli obok podpalonego skutera, ale nawet go nie zauważyli. Przyzwyczaili się do przemocy zastygłej jak morze benzyny w tym mieście, które teraz zdaje się zatopione w ciszy.

Ciekawe, czy kiedyś, w przyszłości będą z przyjemnością patrzeć wstecz na swoje minione życie.

Są jeszcze młodzi. Bardzo młodzi – mógłby powiedzieć ktoś, kto zobaczyłby ich odbicie w szybie zaparkowanego samochodu.

Nikt nie ocali się sam.

Słyszą, jak echo tych słów odbija się o chodnik parę kroków przed nimi. Potępienie albo pociecha.

Idą blisko siebie. Jak kiedyś, jak dwa psy, które uciekły i teraz wracają. Zapach ziemi, piękny i zniechęcający. Przez chwilę zdawało się, że zaraz złapią się za ręce, ale to był tylko błysk przeszłości... pomyłka. Są zmęczeni, łatwo mogą ulec roztargnieniu, zapomnieć, w jakim punkcie życia się znajdują. Czy teraz to jest teraz, czy rok wcześniej.

– Chciałbym wejść do mieszkania, zobaczyć dzieci.

Powinna odmówić. Otwiera kluczem drzwi klatki schodowej. Wchodzą do

kabiny windy, jadą do góry. Milczą, wbijają wzrok w kawałek drewnianej ściany, we fragment ręki. W windzie jest lustro, w którym przeglądali się tyle razy. Gaetano przez chwilę patrzy na siebie, oczy szeroko otwarte, zaczerwienione od wina.

Kim jestem? Kim ty jesteś? – pyta tego mężczyznę. Ciało pod ubraniem przez chwilę nie należy do niego. Należy do odbicia, które widziało go w tym miejscu setki razy. Patrzy na plecy Delii. Ona ma wzrok utkwiony w drzwiach.

Dzieci leżą pośrodku małżeńskiego łóżka. Przytulone do siebie jak dwa zwierzątka, które zetknęły się na dnie morza. Gaetano podchodzi do nich, wyciąga rękę, lekko ich dotyka.

– Wszystko w porządku.

Zapach mieszkania nie wzbudził w nim wstrętu. Przez jakiś czas tak było, za każdym razem, gdy wracał do domu. Śmierć myszy od trucizny wetkniętej w ser.

Teściowa siedzi przed telewizorem. Spała, a teraz, nie do końca rozbudzona, macha do niego na przywitanie pilotem. On śmieje się.

– Masz rację, mnie też wyłącz.

Rozgląda się dokoła. Zauważa, że wszędzie panuje porządek, brakuje biurka, bawialnia powiększyła się jego kosztem. Delia stoi za jego plecami. Przypomina tę zakonnicę z filmu, która chodziła krok w krok za wariatem. W strachu, że się do niej obróci.

– Chciałbym, żeby w najbliższą niedzielę chłopcy nocowali u mnie. To moja niedziela, prawda?

– Tak, to twoja niedziela.

Skulił się w sobie, jakby się czegoś wystraszył. Położył jej rękę na głowie, żeby ją pocałować w policzek. Delia czuje tę dłoń, nieoczekiwanie spokojną. Gaetano wychodzi, nie zjeżdża windą, zbiega po schodach.

Delia otwiera lodówkę, wyjmuje resztki zapiekanki ziemniaczanej. Je na stojąco, przy oknie.

– Nie jadłaś kolacji?

– Nie, mam. Jestem głodna.

Gaetano przechodzi przez ulicę. Nie patrzy do góry. Nie jest pewien, czy zobaczyłby cień za firanką w kuchennym oknie. Boi się przegrać.

Być może pod swoim domem natknie się na brązowego fiata Matilde. Zapuka w okno i ujrzy tę twarz gotową na przyjęcie uderzenia.

Wyjdź! Nie rób przedstawienia.

